

X.R. TRIGO



POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z DZIEJÓW STAROŻYTNEGO RZYMU

# SEN O RZYMIE

Potężne imperium Oktawiana Augusta  
podbija tereny Hiszpanii

BELLONA

X.R. TRIGO

SEN  
O RZYMIE

*BELLONA*

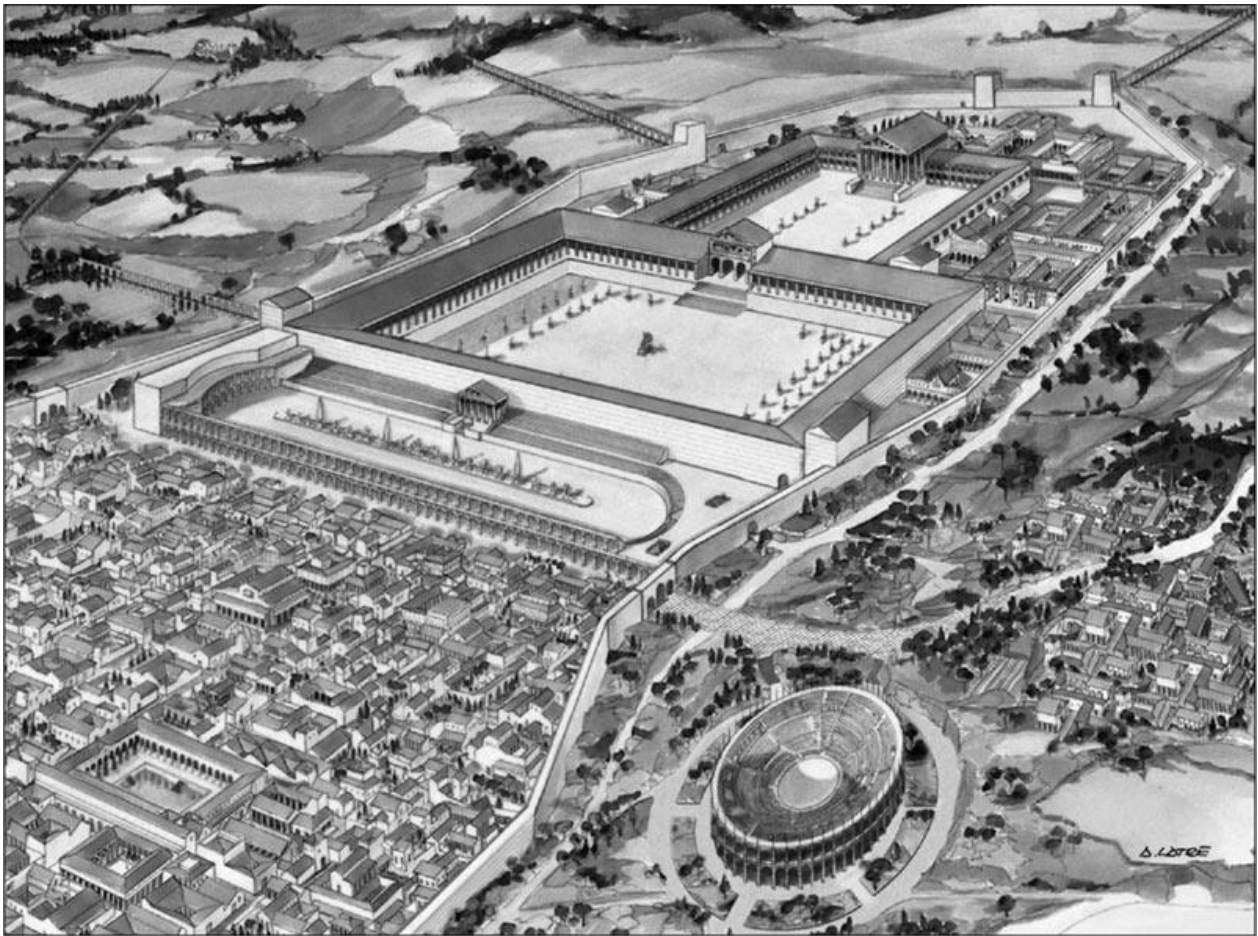
*Dla Misericòrdii*

*Miłość jest architektem wszechświata.*

HEZJOD

*Smutniejszym od śmierci jest sposób, w jaki się umiera.*

MARCJALIS



Starożytne Tarraco

1.

*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Sulla Likinos, jak przez wiele ostatnich dni, bez przeszkód przemierzał znajomą drogę. Przebiegł w dół uliczkami, kryjąc się w cieniu murów i dotarłszy do zamkniętego o tej porze forum, pochylił się, jakby wykonywał jakieś ćwiczenia gimnastyczne, i ruszył dalej na czworakach. Znajdował się w za dużej odległości od strażników, żeby zauważyli, skąd przyszedł, ale wolał nie ryzykować. Po raz pierwszy czuł się wolny i oprócz nieprzewidywalnego gniewu bogów wolał unikać wszelkich innych przeciwności losu.

Na wszelki wypadek starał się ukryć swą szczupłą postać przed czujnym spojrzeniem żołnierzy, chociaż z daleka mógł przypominać przemykającego psa czy owcę. Niemal przywierając do ziemi, obserwował jak stali nieruchomo przed wejściem na teren miejskiego forum, dzierżąc w rękach swoje włócznie.

Wiedział, że strażnicy nie pilnowali znajdujących się tam świątyni czy tawern, a tym bardziej *tabularium*, czyli archiwum, które Rzymianie zapełniali zwojami, tabliczkami i papirusami pochodzącymi nawet sprzed dwustu lat, uważając, iż dobre rządy miały wiele wspólnego ze skrupulatnym zapisywaniem w rejestrach informacji związanych ze wszystkimi sferami życia ich obywateli.

Żołnierze otrzymali jedynie rozkaz czuwania nad materiałami budowlanymi potrzebnymi do rozbudowy miasta, które od kilku miesięcy piętrzyły się na placu. Od kilku dni ktoś regularnie je podkradał i jak na razie nie znaleziono sprawców.

Żółty marmur z Numidii czy czerwony porfir z Egiptu były bardzo cennymi materiałami, nie wspominając o stosach cegieł czy skalnych bloków pochodzących z kamieniołomów El Médol. Oktawian August miał zamiar zmienić Tarraco w drugi Rzym. Sulla nigdy nie był w stolicy imperium, ale z tego, co o niej słyszał, doszedł do wniosku, że cesarz miał przed sobą dużo pracy.

Pomijając zawsze ożywiony ruch w porcie, Tarraco było znane z panującego w nim spokoju. Tej nocy jednak na ulicach słyhać było poruszenie, odległe nawoływania i odgłosy kroków w ciemnościach. Sulla przestraszył się, że to jego szukają, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Od wielu już tygodni ryzykował, żeby spotykać się potajemnie z Adrianą. Znał na pamięć długość każdej uliczki, przemykał się między świątyniami i budynkami niczym ryba lawirująca między słupkami portowej przystani, na którą często chodził, żeby pomarzyć o dalekich krajach.

Z nadejściem lata miał utrudnione zadanie. Słoneczne światło do późna oświetlało ulice Tarraco i mógł spotkać się z Adrianą dopiero, kiedy z morskiej toni na niebo wychodził księżyc przypominający świecąca tarczę gotowego do walki wojownika. Początkowo intensywność jego światła skrywała się za pomarańczową zasłoną, ale w miarę jak księżyc wznosił się coraz wyżej nad horyzont, coraz bardziej przypominał płomień lampy oliwnej, zawieszanej przez bogów na niebie.

W dniu, w którym miało miejsce to wydarzenie, księżyc po raz pierwszy tego lata był w pełni. Wydawało się, jak gdyby chciał swą poświatą wskazać Sulli Likinosowi drogę wśród ciemności.

Chłopak postanowił nie wracać, jak to miał w zwyczaju, wzdłuż muru otaczającego miasto w jego górnej części.

Przez dwieście lat, od czasów założenia miasta przez Publiusza i Gnejusza Korneliuszy Scypionów jako bardziej wysuniętego niż Empúries przyczółku do walki z Kartaginą, Tarraco przeżywało wzloty i upadki. Obecnie, pod rządami Oktawiana Augusta uwarunkowanego w pewnym stopniu swoją chorobą, miasto stało się głównym punktem kampanii skierowanych przeciwko Kantabrom i Asturom z północnej *Hispanii* i weszło w fazę znaczącego rozwoju. W mieście kwitł handel, oddziały ariergardy zbudowały swoje koszary, a mędrcy i poeci licznie wychodzili na jego ulice w poszukiwaniu doznań wzbogacających ich dotychczasową wizję świata.

Idąc wzdłuż murów, schodziło się z niewielkiego wzgórza, by wkrótce poczuć słone powietrze zapowiadające bliskość morza. Likinos mieszkał niedaleko przystani morskiej w stosunkowo małym *domusie*, stojącym wśród najbiedniejszych domów czynszowych, tak zwanych *insulae*, w najbardziej ponurej i śmierdzącej części miasta. Dalej mieściły się już tylko składy towarów i port. W takim miejscu dom Likinosów z wewnętrznym *atrium*, którego wszyscy im zazdrościli, wyglądał niczym *domus* patrycjusza. Wszyscy jednak wiedzieli, że panował w nim smutek. Matka Sulli zmarła kilka lat wcześniej na tajemniczą gorączkę, a jego ojciec, Kaenos, dowódca głównej floty handlowej pływającej pomiędzy Tarraco a leżącą niedaleko Rzymu Ostią, większość czasu spędzał w morskich podróżach.

Dlatego też jego syn mieszkał samotnie w rodzinnym domu tylko w towarzystwie dwóch niewolników, którzy jednak mieli nadzieję, że będą mogli kiedyś wyruszyć w podróż ze swoim panem. Pod presją rodzinnej tradycji również Sulla czuł się w obowiązku okazać chęć towarzyszenia ojcu, chociaż w rzeczywistości nie miał najmniejszej ochoty na morskie podróże i ojciec zrozumiał to już dawno. Tymczasem chłopak pochłonięty był nauką i poszukiwaniem swojego miejsca w rzymskim społeczeństwie. Uczęszczał na lekcje do najlepszego preceptora w Tarraco, Apollodorosa z Efezu, i nie ukrywał,

że jego wielkim marzeniem było pójść w jego ślady i zostać nauczycielem.

Kiedy ukucnął, szykując się do przebycia najniebezpieczniejszego odcinka drogi biegnącego naprzeciwko wejścia do forum, ze zdziwieniem odkrył, że nie było nigdzie widać strażników. Zamiast więc położyć ręce na ziemi i przemknąć na czworakach niczym kot, zatrzymał się na chwilę, żeby przyjrzeć się najnowszym postępom w budowie świątyni wznoszonej na cześć Oktawiana Augusta, skąpanej teraz silnym światłem księżyca.

W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa i ziół, jakie Rzymianie mieli zwyczaj dodawać do potraw: kolendry, ruty, kminku czy lubczyku. Ktoś też przygotowywał wonny moszcz, z pewnością przeznaczony na *defrutum* na kolejnych kilka dni. Sulla, od dawna niejadający kolacji o zwykłej porze, a bardzo lubiący tę potrawę, poczuł nagły głód, który z żołądka przeniósł się do głowy, całkowicie opanowując jego myśli.

Przyglądając się budowanej świątyni, przypomniał sobie, jak jego rodzina nie chciała uznać cudzoziemskich religii. Kiedy matka jeszcze żyła, często siadał z nią w *atrium* i z przyjemnością słuchał rodzinnych historii, szczególnie tych o przodkach żyjących przed najazdem Rzymian. Lecz ojciec Sulli, Kaenos Likinos, porzucił swoje dotychczasowe zajęcie rybaka i oddał się w służbę cesarzowi. Jego znajomość Morza Śródziemnego i żeglarskie doświadczenie sprawiły, że wkrótce awansował w szybko rozrastającej się flotylli handlowej. Zapotrzebowanie Rzymu na towary z prowincji rosło w oszałamiającym tempie. Z tego powodu Sulla już dawno nie starał się kultywować pamięci po przodkach. Decyzja ojca nauczyła go jednego: nie ma rzeczy niezmiennych. Chociaż życie miało swój pewny koniec, ludzie nie mogli planować własnego losu na podstawie sztywnych starożytnych mądrości.

Chłopak pomyślał nagle, że ojciec nie pochwaliby jego conocnych wędrówek do górnej części Tarraco, w czasie których wystawiał się na niebezpieczeństwa i ryzyko.

Był pod tak wielkim wrażeniem wspaniałego, chociaż prowizorycznego ołtarza, że przez chwilę wydawało mu się, że nic i nikt nie będzie go w stanie stamtąd ruszyć. Nie powinien był się zatrzymywać, ale przecież w żaden sposób nie mógł przewidzieć konsekwencji.

Gdzieś w pobliżu usłyszał hałas. W pierwszej chwili nie był pewien, skąd on dochodzi. Słysząc było jęki, jakby zawodzenie, które rosło na sile, by chwilę później ucichnąć. Wkrótce słysząc je było ze wszystkich stron. Tym razem rozlegało się głośniejsze, z większą intensywnością, niby wołanie o pomoc odbijające się o mury otaczające forum i niesione w ciszy wiatrem po coraz lepiej oświetlonym przez księżyc mieście.

Sulla nagle się ocknął. Jeszcze zdąży uciec. Jeśli natychmiast zawróci, nikt go nie zauważy. Wiedział, że jeśli go złapią, nie będzie mógł kontynuować



nocnych schadzek z Adrianą, bez której nie mógł już żyć.

Znów usłyszał jęk, tym razem bardziej ponury i cichy. Wahając się między ucieczką a pozostaniem na miejscu, tak mocno napiął mięśnie nóg, że aż poczuł bolesny skurcz. Rozmasowując prawą nogę, zastanawiał się, czy będzie w stanie iść. I właśnie wtedy ujrzał postać.

Leżała przy kolumnadzie, próbując podnieść się z ziemi, niczym biała plama jaśniejąca w ciemnościach. Nie było wątpliwości, że to ona wydawała z siebie te jęki.

Zaciekawiony chłopak, nie zważając na konsekwencje, podszedł bliżej.

Ujrzał mężczyznę. Sądząc po bogatym stroju, z pewnością był patrycjuszem lub bogatym kupcem, ale na Sulli nie zrobiło to żadnego wrażenia, chociaż dopóki nie poznał Apollodorosa, który przybył do miasta z cesarzem, jak wielu chłopców z niższych klas społecznych większość czasu spędzał w porcie wśród zapachu ryb i pokrzykiwań marynarzy.

Chłopak pochylił się, by przemówić do mężczyzny, i zdał sobie sprawę, że go zna. I to doskonale! Na jego oczach, ze sztyletem wbitym w prawy bok, konał Manni, gubernator Tarraco, ojciec Adriany!

Przerażony Sulla, po raz pierwszy zdając sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, cofnął się o dwa kroki do tyłu. Słyszając jednakże jęki umierającego, ponownie do niego podszedł i zaczął szeptać kojące słowa.

– Co mogę zrobić? Jak mogę wam pomóc? – zapytał, patrząc na rękojeść sztyletu widoczną na tle krwawej plamy rozlewającej się po szacie mężczyzny.

– Lukanos...! Mój syn...! – odpowiedział ostatkiem sił Manni; po chwili jego ciałem wstrząsnął dreszcz i głowa opadła mu na podstawę kolumny.

Sulla nie raz był świadkiem portowych bójek, z których walczący wychodzili ze śmiertelnymi ranami. Widział kilku umierających ludzi i każdy z nich w ostatnich chwilach życia wołał najbliższą sobie osobę: matkę, syna czy siostrę.

Gubernator leżał nieruchomo w nienaturalnej pozie. Chłopak nie przestawał do niego mówić, chociaż wiedział, że to nie miało już sensu, ale jego ściśnięte bólem gardło dusiło w sobie potok słów, który pragnął wyrzucić z siebie w spowite ciemnościami Tarraco. Potem uniósł ciało gubernatora i otoczył ramionami jak dziecko pragnące przytulić się do kogoś przed zaśnięciem.

2.

Każdej nocy po pożegnaniu z Sullą Adriana martwiała ze strachu, nie mogąc przez chwilę złapać oddechu. Chłopak przeskakiwał przez niski mur otaczający ogród, a ona, stojąc w drzwiach i patrząc jak znika, biła się z myślami, czy nie powinna pójść za nim. Wiedziała, że wierny i milczący Lucjusz czuwał nad nimi w pałacu, ale poza jego murami świat wyglądał zupełnie inaczej, a na ulicach Tarraco jeszcze nie można było czuć się równie bezpiecznie jak w Rzymie.

– W moim towarzystwie nic ci się nie może stać, ale jeśli ktoś zobaczy cię samego, może sobie pomyśleć bóg wie co – mówiła mu, przestraszona.

– Jesteś córką gubernatora, na razie nikt nie może zobaczyć nas razem – odpowiadał Sulla, po czym zniknął w ciemnościach, ryzykując spotkanie z legionistami patrolującymi tę część miasta.

Chociaż czasami napomykali o przyszłości, zazwyczaj w rozmowie unikali tego tematu, ponieważ nie potrafili dojść do zadowalających oboje wniosków.

Sulla zniknął w ulicze już jakiś czas temu, ale Adriana nadal patrzyła w dal, jakby oczekując, że zaryzykuje i wróci, by skraść jej ostatni pocałunek. Wmawiała sobie, że paraliżujący ją strach wynikał ze zmartwienia o nocne eskapady jej ukochanego, chociaż wiedziała, że w rzeczywistości istniała o wiele poważniejsza przyczyna. Sulla był pierwszym mężczyzną, z którym była tak blisko. Podczas gdy wszyscy spali, oni ukrywali się w zaroślach w północnej części ogrodu i całowali się, a ich serca zaczynały bić w piersiach jak oszalałe. Żeby je uspokoić, wystarczyło zrobić jeszcze ostatni krok, jednak Adriana nadal nie mogła się na to zdobyć, chociaż spotykali się potajemnie już od miesiąca.

Tymczasem niespokojny Lucjusz czuwał nad nimi ukryty wśród drzew. Mimo że już wcześniej postanowił, iż pozwoli Adrianie samodzielnie odnaleźć szczęście, przez cały czas dręczyła go myśl, jak powinien się zachować, jeśli pewnego dnia dojdzie do zbliżenia, które wydawało się nieuniknione. Wielokrotnie prosił córkę gubernatora, żeby spotykała się z Sullą nieco rzadziej, ale młodzieńcza namiętność była silniejsza od rozumu.

Adriana dziwiła się, że Sulla nie protestował, gdy powstrzymywała jego miłosne zapędy. Zamiast dalej nalegać, chłopak zaczynał opowiadać jej na przykład o ostatniej podróży ojca do Rzymu lub o wykładach Apollodorosa, który

był również jej nauczycielem i dzięki któremu ich drogi przypadkiem się zetknęły.

– Wczoraj poznałem nowego ucznia, niejakiego Perthusa, wieśniaka z gór Ausy. Jest tak nieśmiały, że Apollodoros nie będzie miał z nim łatwo, ale zdaje się, że został polecony przez Antoniusza Musę, osobistego medyka Oktawiana... – opowiadał pewnego razu, jak zwykle trzymając ją za rękę; kiedy to robił, serce Adriany zaczynało bić spokojnym rytmem.

– Nie powinieneś tak o nim mówić – oburzyła się wtedy. Córka gubernatora nie lubiła, kiedy pogardzano tubylcami, a tym bardziej, jeśli robił to Sulla. – Ty również pochodzisz z hiszpańskiej rodziny, a wkrótce zostaniecie uznani za pełnoprawnych rzymskich obywateli.

– Najpierw Rzymianie muszą wygrać wojny na północy, a obawiam się, że to nie będzie łatwe. Mówiłem ci przecież, że moja rodzina została zromanizowana dwadzieścia lat temu, za panowania wielkiego Juliusza Cezara, który wyniósł Tarraco do kategorii kolonii. Poza tym szkoda, że nie widziałeś tego Perthusa. Nadal ubiera się w owczą skórę. Apollodoros będzie musiał się napracować, żeby go czegoś nauczyć, i wygląda na to, że będziemy mieli razem niektóre lekcje.

Adriana wiedziała, o czym mówi jej ukochany. Ona również pobierała nauki u starego nauczyciela – Rzymianina, który zdobył sławę w Grecji dzięki swoim niekończącym się sporom dialektycznym prowadzonym z mędrkami ze szkoły ateńskiej. Od roku każdego ranka Apollodoros zjawiał się w domu gubernatora, by do południa zajmować się edukacją dziewczyny. Jego ulubionym tematem było prawo miejscowej ludności do życia w pokoju oraz to, że Rzymianie powinni zapewnić rdzennym mieszkańcom wykształcenie i pomagać w rozwijaniu takich dziedzin jak rolnictwo czy handel.

Dzisiaj o Asuańczyku zaczęła mówić Adriana, lecz Sulla zręcznie zmienił temat i zaczęli rozmawiać o pogłoskach krążących po mieście. Gubernator wydał rozkaz podwojenia liczby patroli, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, przed jakim niebezpieczeństwem miały chronić ani przeciwko komu skierowany był spisek, który podobno szpiedzy wykryli w najgorszych spelunach Tarraco.

– Twój ojciec, gubernator Manni – powiedział Sulla – powinien uważać na obcych, a Perthus jest jednym z nich.

– Nie przesadzaj – odrzekła Adriana. – Kiedy cesarz przebywa w mieście, nikt nie odważy się nic zrobić. To byłoby samobójstwo. Czasy, w których twój lud sprzeciwiał się zaciekle panowaniu rzymskiemu, już dawno minęły. Generałowie walczący na północnych ziemiach w końcu stłumią ostatnie ogniska zapalne buntu. Gdy tylko Oktawian August wyzdrowieje, ponownie stanie na czele wojsk.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym nadszedł czas pożegnania. Adriana, patrząc z niepokojem na sączące się do atrium światło księżyca, pozostała w ogrodzie i poprosiła przed *lararium* opiekuńcze bóstwa domowe, by czuwały nad jej ukochanym.

Stosownie do woli cesarza, jako dobra Rzymianka, została wychowana zgodnie z najstarszymi rzymskimi zwyczajami. Nie wierzyła jednak w żadnych bogów. Wydawało jej się niemożliwe, by za wszystkimi sprawami stało tak wiele potężnych istot wyższych. Jak one się dogadywały między sobą?

To właśnie Apollodoros nauczył ją takiego myślenia. Nie bez powodu jej nauczyciel był gorliwym zwolennikiem Arystotelesa. Z tym większą przyjemnością tłumaczył swej uczennicy podstawy logiki, że dziewczyna potrafiła korzystać z niej w praktyce. Każdy powód był dla niej dobry, aby tworzyć sylogizmy, na podstawie których, po ustaleniu istoty pewnych rzeczy, dochodziła do zupełnie nowego wniosku. Kiedy rozmyślała o pięknie otaczającego ją świata, dziwiła się jednocześnie, że było dziełem tak różnych od siebie bogów. Zaprzeczenie temu faktowi wydawało jej się niemal obłądą. Być może naprawdę istniało wielu bogów i każdy miał pod opieką coś innego. Nie wydawało się jej to logiczne, choć wiarę w nich Rzymianie odziedziczyli po greckich mędrkach.

Tymi wątpliwościami nie mogła dzielić się z Sullą. Jednak nie dlatego, że był prymitywny jak inni tubylcy, o których słyszała, ale z powodu jego odmiennego spojrzenia na życie. Sulla chciał z niego korzystać, osiągnąć dobrą pozycję w rzymskim społeczeństwie i zapomnieć o swoich korzeniach.

Te różnice między nimi, zamiast odstraszać, zachwyciły Adrianę. Ich dyskusje, z czasem coraz bardziej żarliwe, wynikały z czegoś trudnego do określenia, jakiegoś nigdy niezaspokojonego do końca pragnienia. A rodzące się między nimi uczucie nie pozwalało Adrianie dłużej zwodzić ukochanego.

Córka gubernatora z trudem stłumiła ziewanie i postanowiła wrócić do swej komnaty, żeby oddać się zasłużonemu odpoczynkowi. Postanowiła, że spróbuje zasnąć, chociaż z góry wiedziała, że będzie to trudne, ponieważ jej myśli cały czas krążyły wokół Sulli. Być może była to kara bogów za to, co o nich myślała.

– Czy coś się stało, centurionie? – zapytała ze zdziwieniem na widok Lucjusza, który pojawił się nagle przed nią, nie zachowując ustalonych norm.

Lucjusz nie odpowiedział, ale po wyrazie jego twarzy można było wnioskować, że coś musiało się wydarzyć. Centurion ze smutkiem często wspominał zmarłą matkę Adriany; z powodu częstych nieobecności gubernatora i Lukanosa Lucjusz stał się opiekunem dziewczyny i chociaż traktował ją niemal jak własną córkę, nie potrafił mierzyć się z trudnymi sytuacjami. Marni został gubernatorem Tarraconensis – jednej z prowincji, na które została podzielona *Hispania* – wkrótce po przybyciu Oktawiana Augusta do miasta. Dziewczyna odziedziczyła po nim talent do zarządzania, czym często zaskakiwała żołnierzy.

– Pani...

– Wyduś to wreszcie! Nie mogłam spać, dlatego wyszłam do ogrodu, ale nie mam zamiaru czekać w nieskończoność, żebyś powiedział mi, o co chodzi.

Pomimo pozornej stanowczości dziewczyny centurion zauważył w jej

spojrzeniu błysk niepewności. Tym razem jednak nie miał zamiaru karcić jej za jakiś wybryk czy schadzki z Sullą. I, prawdę mówiąc, Lucjusz wolałby umrzeć, niż przekazać jej tę nieuchronną wiadomość.

– Chodzi o waszego ojca...

– Co z nim? Przecież jest na jakimś spotkaniu. Chcesz mnie uprzedzić, że może wrócić do domu pijany? Zdążyłam już poznać męskie zwyczaje.

– Nie, pani. Wasz ojciec... – Lucjusz przełknął ślinę. – Wasz ojciec nie żyje! Został zamordowany!

– Co ty wygadujesz? Mogę cię ukarać za tego rodzaju żarty!

– To nie żart. Jak mógłbym w ten sposób żartować? – Zaskoczony i nieświadomy, że dziewczyna nie zrozumiała jego słów, nagle poczuł ogarniającą go słabość. W tym momencie nie byłby w stanie stawić czoła żadnemu przeciwnikowi. Jakby raptem przypomniał sobie o wszystkich stoczonych przez siebie bitwach, być może zbyt wielu jak na ogrom potworności, jakie był w stanie znieść człowiek.

Tymczasem Adriana w końcu zrozumiała, co się stało. Objęła rękami brzuch i zgięła się w pół. W głębi duszy zawsze obawiała się, że to może się kiedyś wydarzyć. Marni żył pod ciągłą presją oraz w otoczeniu coraz większej liczby zdeklarowanych wrogów, których zyskał po objęciu funkcji gubernatora, jakiej pragnęli dla siebie sławni i zasłużeni generałowie.

Po policzkach Adriany zaczęły spływać łzy. Wątpliwość ustąpiła miejsca pewności, poczuła ból, wewnętrzną pustkę i dziwne zawroty głowy. Spojrzała na centuriona, jakby chciała dać mu szansę, by wszystkiemu zaprzeczył.

– Pojmano jego zabójcę z rękami splamionymi krwią. Wszystko wskazuje na to, że z całą pewnością...

Lucjusz chciał ją pocieszyć tą wiadomością, jednak miał świadomość, że nie może powiedzieć całej prawdy. Kiedy dziewczyna w końcu ją pozna, poczuje o wiele bardziej przeszywający ból niż ten po stracie ojca, z którym tak naprawdę niewiele ją łączyło.

3.

*Llerda, lato 26 r. p.n.e.*

Lukanos za każdym razem dochodził do tego samego wniosku: podróż do Llerdy była dobrym pomysłem, biorąc pod uwagę wydarzenia, które wkrótce miały nastąpić w Tarraco. Gubernator cieszył się, że jego syn miał zamiar poznać terytorium i wyzwania, z jakimi musieli zmierzyć się Rzymianie, podbijając i pacyfikując *Hispanię*. Rozwój eksportu różnorodnych surowców, jakie Półwysep Iberyjski mógł zaoferować imperium rzymskiemu, tym bardziej wskazywał, że syn gubernatora nie mógł zwlekać ze swym zadaniem. Rzym rozrastał się i potrzebował ogromnych ilości towarów: minerałów, wina, oliwy. Rzym chciał być wielki, a Lukanos miał zamiar skorzystać na tej nienasyconej zachłanności.

Jego niedawna kłótnia z siostrą, kiedy Manni nakrył ich szarpiących się w *triclinium*, jedynie przyspieszyła termin wyjazdu. Gubernator uznał, że rozłąka dobrze zrobi rodzeństwu, i choć początkowo Lukanosa to zabolalo, bez wahania przyjął propozycję ojca, postanawiając, że nadszedł moment, by wprowadzić w życie swój plan.

– Natychmiast zostaw ją w spokoju! Oszalałeś? – krzyknął gubernator na widok Lukanosa ciągnącego z całą siłą siostrę za ramię.

– Oczywiście, ojczu! Tylko się wygłupialiśmy, prawda, Adriano?

Dziewczyna nie odpowiedziała, więc Manni kazał Lukanosowi opuścić pomieszczenie. Jednak nawet kiedy zostali sami, Adriana nie wyjawiała ojcu powodów sprzeczki, a tym bardziej tego, że Lukanos wprost oświadczył, że szaleje z miłości do niej i jeśli tylko ona się zgodzi, mogą stać się sobie znacznie bliżsi.

Jednak główny powód, dla którego Lukanos jechał doliną rzeki Segre, był zupełnie inny. Mało go obchodziło, że cel jego podróży, Llerda, była miastem wzorcowym, chociaż nadal zbyt małym, aby konkurować z Tarraco; jego myśli przez całą podróż po *Cardo Maximus* ulatywały ku Rzymowi, gdzie pomimo młodego wieku udało mu się zawrzeć korzystny układ z kilkoma rzymskimi senatorami. Całkiem niedawno podjął również decyzję, w jaki sposób pokonać wszelkie czyhające na niego trudności.

Pierwszy transport win wyprodukowanych nad brzegiem Ebru spotkał się z fantastycznym przyjęciem, a jemu udało się przekonać współników o innych możliwych źródłach zysków. Trudno było stwierdzić, po kim syn gubernatora

odziedziczył obsesję na punkcie władzy i bogactwa.

Otoczona rozległymi żyznymi polami Llerda była ponurą fortecą, którą stosunkowo niedawno zaczęto rozbudowywać w miasto w rzymskim rozumieniu tego słowa. Lukanos był tu kilka miesięcy wcześniej z ojcem, zanim poznał Wergiliusza, którego Manni uważał za intryganta i podejrzaną postać.

Pomimo że Lukanos był od Wergiliusza o dziesięć lat młodszy, mężczyźni doskonale rozumieli się w prowadzonych wspólnie interesach. Wergiliusz Poncjusz, syn rzymskiego senatora, jako duumwir mianowany przez Oktawiana Augusta sprawował pieczę nad gospodarką oraz prawodawstwem miasta, a jego dom mieścił się przy Decumanus Maximus.

– Lukanosie! Wiedziałem, że wkrótce się zjawisz – zawołał Wergiliusz na widok młodzieńca wprowadzanego przez jednego z niewolników.

– Nie wątpię. Jesteś przecież najlepiej poinformowanym człowiekiem w cesarstwie, przyjacielu. Zapewne wiesz zatem, że nasz plan właśnie wszedł w stadium realizacji. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że dzięki niemu rozwiążemy wszystkie nasze problemy.

– Niech ci się tak do tego nie spieszy. Jeśli, jak twierdzisz, wszystkie problemy znikną, co wtedy poczną tacy ludzie jak my?

Lukanos odpowiedział na ten komentarz jedynie uśmiechem. Nie lubił charakterystycznej dla Wergiliusza ironii i wybuchowości, ale duumwir był jego najpotężniejszym sojusznikiem i łącznikiem z Rzymem, do którego syn gubernatora miał zamiar kiedyś się udać, żeby skorzystać z przyjemności, jakie podobno to miasto oferowało. Lukanos urodził się w roku śmierci Juliusza Cezara i spędził dzieciństwo bawiąc się na ulicach stolicy imperium, kiedy jeszcze świadomość otaczającego go świata równała się świadomości mrówki wśród olbrzymów, ale marzył o powrocie do Rzymu i czerpaniu tam z życia garściami, pławiąc się w luksusach i wykorzystując możliwości opisywane przez kronikarzy. Co więcej, był przekonany, że taki los przewidzieli dla niego bogowie.

Tymczasem w skrytości ducha pożądał Adriany. Zafascynowała go wiele lat wcześniej, już gdy jako dzieci kąpali się razem i odkrywali swoje nagie ciała podczas niewinnych dziecięcych zabaw. Kiedy oboje weszli w wiek nastoletni, nie mógł zrozumieć jej powściągliwości. Adriana instynktownie wyczuwała jego pragnienia i zauważyła, że wykorzystywał każdą okazję, żeby się do niej zbliżyć z zamiarami, które nie miały teraz w sobie nic z niewinności. Dziewczynie udawało się trzymać go na dystans tylko dzięki temu, że w ich domu, zawsze pełnym ludzi, trudno było pozostawać sam na sam. Trwało to do czasu, dopóki Lukanos nie zrozumiał, że posiadał podstawowe narzędzia dla osiągnięcia swoich zamiarów – siłę fizyczną i determinację osiemnastolatka.

Wergiliusz zaprosił go do *triclinium*, gdzie czekał na nich obfity posiłek. Lukanos był mu za to wdzięczny z całego serca. Po podróży, podczas której żywił

się jedynie czerstwym chlebem i suszonym boczkiem, odczuwał wilczy głód. A na ucztach u przyjaciela nie brakowało niczego, począwszy od delikatnych kurcząt po doskonale przyprawione popielice w aromatycznych sosach, zwłaszcza bardzo zachwalanym przez Wergiliusza *garum*, zrobionym na bazie oliwy z oliwek i sfermentowanych ryb *liquamen*, którego syn gubernatora jednak nie znosił. Lukanos wolał słodkości, a tych również na stole było pod dostatkiem. Przepadał na przykład za przepyszną mieszanką miodu z makiem.

Miał właśnie zamiar oddać się tej wspaniałej uczcie, gdy wydarzyło się coś nieoczekiwanego: w sali zjawiała się grupa kobiet ubranych w niemal przezroczyście lniane tuniki, pod którymi wyraźnie widoczne były ich wdzięki.

– Mam nadzieję, że docenisz moją gościnność – rzekł Wergiliusz, kiedy jedna z niewiast usiadła Lukanosowi na kolanach.

– Możesz być pewien – syn gubernatora skłamał, nie widząc nic pociągającego w wyuzdanym zachowaniu prostytutek.

– W takim razie korzystaj. Właśnie przybył posłaniec z Tarraco z dobrą dla was wiadomością. Twój drogi ojciec Manni nie żyje. Może rzeczywiście nadeszła pora, żeby, jak to masz w zwyczaju powtarzać, rozwiązać nasze problemy.

Lukanos uśmiechnął się, jednocześnie rozważając w myślach, co czuje. Czy powinien odczuwać ból? Radość? Wyrzuty sumienia? Obrzydzenie? Jednak odczuwał obojętność, a w głowie kołatała mu jedna myśl: od tej chwili stosunki z jego siostrą ulegną zmianie. Osiągnął już wystarczający wiek, żeby stać się *pater familias*, i jeśli Adriana chce pozostać w rodzinnym domu, będzie musiała dostosować się do jego zasad.

Z zamyślenia wyrwał go dotyk ocierającego się o niego ciała nierządnic. Z początku nie doświadczył żadnego rodzaju przyjemności. Kobieta położyła się na posadzce i próbowała ręką odnaleźć jego męskość, ale ta – jak to się już wcześniej zdarzało – nie reagowała.

Nagle Lukanos wpadł na pewien pomysł. Próbował już tego w zaciszu sypialni, ale nigdy w obecności ludzi. Odłożył jedzenie, które trzymał w rękach, na najbliższej stojącej tacy, wyciągnął się wygodnie i zamknął oczy. Następnie wyobraził sobie, że ciało prostytutki zmieniło się w delikatne i tak bardzo przez niego pożądane ciało Adriany. Efekt był natychmiastowy. Po chwili kobieta z zadowoleniem objęła dłonią jego pęczniejący członek i włożyła go sobie między nogi. Lukanos domyślił się, że Wergiliusz ich obserwuje, ale nie przeszkadzało mu to, ponieważ obraz, jaki miał w głowie, był tak rzeczywisty, że chwilami myślał, iż znalazł się w sypialni siostry, oboje nago, jak w dzieciństwie. Czar jednak prysł, kiedy zachęcona okazywanym przez niego pożądaniem kobieta wcisnęła mu do ust swój sutek, który Lukanos natychmiast wypluł, jakby podano mu do jedzenia coś obrzydliwego. Nie był już w stanie wyobrazić sobie dziecięcego ciała Adriany. To było wiele lat temu. Kontrast pomiędzy tamtym wspomnieniem a widokiem



kołyszącej się nad nim olbrzymiej piersi prostytutki, pomimo młodzieńczej witalności Lukanosa, popsuł mu całą przyjemność.

Wypchnął prostytutkę z *triclinium* z taką siłą, że zaskoczona upadła na ziemię, ale on nie poruszył się, by jej pomóc. Był zbyt zajęty powstrzymywaniem gniewu, słysząc irytujący śmiech Wergiliusza. Nie zareagował porywczo tylko przez wzgląd na łączące ich interesy.

Sytuację uratowało pojawienie się jednego z ludzi Wergiliusza. Niewolnik stanął w progu, czekając, by jego pan pozwolił mu się zbliżyć. Lukanos w tym czasie zaczął porządkować strój, więc nie słyszał, o czym rozmawiali. Zamroczone upadkiem prostytutka wciąż leżała na ziemi, nie mając pojęcia, co się wokół niej dzieje.

Wergiliusz rozkazał kobietom i niewolnikom opuścić salę. Lukanos domyślił się, że chciał powiedzieć mu coś ważnego. A może Manni wcale nie umarł? Może został tylko zraniony? Gubernator był postawnym mężczyzną, wprawionym w trudnych bojach, i nigdy nie przydarzyło mu się nic złego.

– Stało się coś niespodziewanego – odezwał się Wergiliusz, kiedy zostali sami.

– Co? Czy mój ojciec żyje?

– Nie, nie. Operacja się udała, ale poinformowano mnie, że pojmano jego zabójcę. Wiesz coś na ten temat?

– Nie mam pojęcia. Jak to się stało? Nakazałem jasno, żeby moi ludzie rozbiegli się po mieście, a następnie ukryli w jednym z portowych magazynów. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, mieli czekać na mój powrót, nie robiąc wokół siebie zamieszania.

– W żadnym razie nie śmiałbym wątpić w twoją skuteczność – powiedział Wergiliusz, chociaż w jego głosie zabrzmiał fałsz. – Zdajesz sobie przecież sprawę, że waga naszego planu nie pozwala nam pozostawiać nic przypadkowi. Uważam, że powinieneś natychmiast wracać do Tarraco. Pozostawienie przez dłuższy czas tych ludzi samych może zadziałać na naszą niekorzyść. Jeśli ich wszystkich wyłapią, możemy mieć poważne kłopoty. Zgadzasz się ze mną?

– Oczywiście – odrzekł Lukanos, wiedząc, że była to jedyna dobra odpowiedź w tej sytuacji. – Ale jestem przekonany, że nie chodzi o żadnego z moich ludzi.

– Przykro mi, że przerwałem ci igraszki... – stwierdził z ironią Wergiliusz, ignorując jego ostatnie słowa.

– Nic się nie stało. Mamy teraz ważniejsze sprawy od zajmowania się cielesnymi rozkoszami.

– Ciesz się, że tak myślisz, przyjacielu. Wydałem już rozkazy, by osiodłano wypoczęte konie i powiadomiono twoich ludzi. Innym razem skorzystamy z przyjemności, jakie oferuje nam życie. W tej chwili gramy o wysoką

stawkę.

Młodzieniec opuścił dom duumwira z wielkim niepokojem. Jak to możliwe, że złapano zabójców jego ojca? Wszystko zostało przecież szczegółowo zaplanowane. Może to pomyłka? W przeciwnym wypadku jego życiu groziło niebezpieczeństwo, a jeśli zmuszono by go do mówienia, także życiu Wergiliusza. Nagle zrozumiał, dlaczego wśród żołnierzy, których dał mu do eskorty jego wspólnik, nie widział znajomych twarzy. Powinien mieć się na baczności i zaraz po dotarciu do Tarraco otoczyć się ludźmi zdolnymi go ochronić. Nie miał pojęcia, jak daleko sięgały wpływy duumwira. Od tej chwili jego życiową maksymą powinna stać się nieufność. Jedynie wspomnienie Adriany, którą miał już teraz tylko dla siebie, oderwało na chwilę jego myśli od impasu, w jakim się znalazł. Jego siostra należała do niego, do końca życia, chociaż nie był pewien, czy w zaistniałej sytuacji zdąży się nią nacieszyć.

4.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. p.n.e.*

Obecnie przypominam sobie o tym z trudem, jak gdybym wymazał to uczucie z pamięci. Jednak nie straciłem instynktu i patrząc na młodych ludzi przemierzających forum z koszami i workami wypełnionymi żywnością, przysłuchując się gniewnym kłótniom handlarzy czy gwałtownym reakcjom okradanych przez złodziejasków wieśniaków, jestem pewien, że kiedyś, w dalekiej przeszłości, ja również miałem siłę mierzyć się ze światem.

Chociaż przestałem walczyć już dawno temu. Przemieszczanie się na drżących nogach dźwigających z trudem ciało stało się istic herkulesowym wyzwaniem. Z drugiej strony moje ruchy stały się powolne do takiego stopnia, że często zastanawiam się, czy w związku z tym nie stałem się dla innych ludzi niewidzialny. Wszyscy wokół podskakują, biegają, śmieją się, biją, podczas gdy ja żyję w cieniu i pozwalam, by niepowtarzalne chwile działały się bez mojego udziału.

Wcześniej było to jedynie moje przypuszczenie, które w miarę upływu czasu się potwierdziło. Mogę przez cały dzień być otoczony ludźmi, rolnikami niosącymi pod pachą gęsi, urzędnikami, sprzedawcami serów, ale w rzeczywistości jestem sam. Moja samotność zaczęła się kilka lat temu, po śmierci mojego ostatniego towarzysza szczęśliwych dni, który mógłby usiąść obok mnie i potwierdzić, że jestem Perthusem Starym, medykiem. A może jedynie – dla niektórych i dla mnie samego – zbieraczem ziół, oszustem wykorzystującym pradawną wiedzę, by rozwijać się u boku Antoniusza Musy, jedyne go i prawdziwego mędrca, jakiego poznałem. Jestem w końcu starym człowiekiem, potrafiącym za młodu wykorzystać swoje pięć minut i obecność w Tarraco Oktawiana, który zmienił to miasto w stolicę znanego ówczynie świata.

To bardzo odległa przeszłość. Pamięć płata mi figle, ale staram się uporządkować wspomnienia. Wiem jednak, że stosunkowo niedawno, kilka dni po śmierci wielkiego Tyberiusza, odkryłem moją niewidzialność. Dawniej mogłem przechadzać się po świątyni wzniesionej na cześć Oktawiana Augusta czy obserwować morze, idąc wzdłuż miejskich murów, od term do bramy Minerwy. Czasami schodziłem aż do portu i siedząc nieruchomo, przyglądałem się rybackim łodziom i statkom handlowym przemierzającym Morze Śródziemne do Rzymu, by jego mieszkańcy mogli rozkoszować się oliwą i winem z Tarraco.

To było ponad siedemdziesiąt lat temu. W czasach kiedy rozgrywały się losy miasta, patrzyłem na nie oczami młokosa oślepionego nowym światem, czując jednocześnie nostalgię za miejscem, gdzie spędziłem dzieciństwo. Jednak jeszcze nadejdzie czas, żeby opowiedzieć o tych uczuciach.

Teraz jestem już tylko osiemdziesięcioośmioletnim starcem, którego nikt nie zauważa. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś byłem ceniony za swoją wiedzę. Doskonale pamiętam te czasy, chociaż bardzo szybko zapominam, co robiłem w ciągu kilku ostatnich godzin – nawet to, czy siedziałem na kamiennej ławie w forum, czy modliłem się do bogów przed ołtarzem we własnym domu, który podarował mi wspaniały Oktawian August w dowód uznania za moją pracę.

W mojej pamięci nadal żywa jest przeszłość. Doszedłem nawet do wniosku, że stanowi to jedną z przyczyn mojej niewidzialności. Ludzie nie zwracają na mnie uwagi, ponieważ momentami sam staję się tylko wspomnieniem. Człowiek mijany przez nich po drodze nie jest już żywą materią, z jaką mogliby się zderzyć, ale kłębką myśli, cieniem przeszłości pełnym pradawnych idei. Niemniej nadal zadaję sobie pytania, żeby dowiedzieć się więcej, nauczyć się jeszcze kilku rzeczy, zanim zrobię ostateczny krok, po którym wpadnę w objęcia Charona.

Jestem pogodzony z moim stanem do tego stopnia, że wprowadziłem nowy zwyczaj: kiedy podczas przechadzek decyduję o miejscu, w jakim zatrzymam się danego dnia i pozwolę myślom powrócić do czasów młodości, na wszelki wypadek wkładam sobie pod język srebrny denar. Przypuszczam, że jeśli moja dusza opuści mnie w chwili, gdy będę znajdował się w jakimś publicznym miejscu, ktoś wpadnie na pomysł, żeby to zrobić. A jeśli zapomni? A jeśli nikt mnie nie rozpozna i zostanę pogrzebany bez tej obowiązkowej pośmiertnej opłaty? Pozostanę wtedy na zawsze po niewłaściwej stronie rzeki, błagając przewoźnika dusz, by ulitował się nad medykiem potrafiącym niegdyś złagodzić cierpienia boskiego Oktawiana.

Dzisiaj jest piękny wiosenny dzień, więc przeszedłem bez lęku po falochronie, dochodząc do miejsca, w którym widzę przed sobą jedynie bezmiar morza. Brakowało mi tego widoku, delikatnej morskiej bryzy i przesyconego zapachem soli powietrza. Chociaż to nie tylko ten intensywny błękit, ciemniejący w miarę zbliżania się do linii horyzontu, mnie tu przywiódł. Kiedy odwrócę wzrok i podniosę go powoli, mogę podziwiać miasto będące przez wszystkie te lata moim domem. I pierwszą rzeczą, jaką widzę, jest amfiteatr – okazały i zaskakująco piękny – miejsce, gdzie chodziłem na przedstawienia wywodzące się z kultury, którą przyjąłem za swoją.

Z amfiteatrem wiąże się wiele moich wspomnień. Nieraz słyszałem, że zawsze trzymałem dystans w stosunku do ludzi, traktujących mnie tu jak intruza. Może podjąłem wtedy złą decyzję? Mógłbym wam powiedzieć, że piszę, by się tego dowiedzieć, ale to nieprawda. Piszę dla niej. Żeby mogła mnie zrozumieć, żyć dalej beze mnie, ale również dlatego, by mogła mnie usłyszeć, jakby świat nagle

pogrążył się w ciszy, a ja nie byłbym w stanie dłużej ukrywać swoich myśli.

Żeglarze często zarzucali mi, że nie odpowiadałem na ich pozdrowienia, i dodawali z ironią, że siedząc na końcu falochronu, przypominałem Jupitera zmęczonego i znudzonego po stworzeniu świata. Zamiast to skomentować czy wyjaśnić im, że codziennie obserwując ich przepływające statki, opisywałem zapamiętane obrazy i kolory, potakiwałem tylko lekko głową, nadal skupiając się na własnych myślach. Nic więc dziwnego, że dali sobie spokój i zaczęli ignorować starca widocznego na tle miasta.

Oczywiście to było kiedyś. Teraz już nikt nawet nie unosi ręki, ponieważ jest to gest pozdrowienia i oczekuje się na niego odpowiedzi, a te niewiele osób, które nadal mnie znają, lub ci, którzy zauważają moją obecność, wiedzą, że im nie odpowiem.

Nie martwi mnie to. Pograżam się w myślach, badając nieodkryte zakamarki Perthusa, najbardziej cenionego przez cesarza mieszkańca rzymskich kolonii, który jako jedyny był w stanie uśmierzyć cesarskie cierpienia. Siadam na skale wypolerowanej już przez moje stare ciało. Niczym widz przebiegam myślami po chwilach dawnego szczęścia. Cofam się o siedemdziesiąt lat, kiedy przybyłem z Ausy z nakazu i za radą matki, w celu, który wszyscy uznali za niemożliwy. Wracam do Tarraco przepelnionego nadzieją i radością z powodu obecności cesarza, widzę twarze nieszczęśników uważanych przeze mnie za przyjaciół i korzystając z Arystotelesowskiej zasady mimesis, próbuję uzupełnić wspomnienia, budując logiczną i zrozumiałą rekonstrukcję wydarzeń, jakie wstrząsnęły miastem, które po latach uznałem za swoje.

Oddając się temu z przyjemnością – jedyną, na jaką mogę sobie jeszcze pozwolić – nie przestaję obserwować krążących nade mną mew, jakby ich ptasia intuicja podpowiadała im, że w każdej chwili mogę stać się soczystym daniem, ani nie czuję ciepła słońca na mojej pomarszczonej skórze. Nie zauważam też, że w odległości zaledwie kilku metrów od falochronu delikatnie sunie po wodzie statek wyladowany amforami ze złocistą oliwą.

Jednak, pomimo że go ignoruję, statek ten ma wiele wspólnego z przeszłością, którą staram się odtworzyć w pamięci. Oliwa stanowiła główną przyczynę naszych nieszczęść jeszcze w czasach, gdy nikt nie uważał jej za potencjalny skarb, pożądany cichcem przez niektórych obywateli.

5.

*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Kiedy żołnierze zatrzasnęli za sobą drzwi, pozostawiając go w całkowitych ciemnościach, młody Sulla przypomniał sobie wszystko, co do tej pory słyszał o rzymskiej brutalności w stosunku do więźniów. W pamięci utkwiała mu szczególnie opowieść o wodzu Wencygetoryksie, pokonanym przez Juliusza Cezara przywódcy powstania Galów, który zmarł w Rzymie na skutek tortur w słynnym więzieniu Mamertyńskim. Sulla zastanawiał się, czy sam również doświadczy na własnej skórze takich okropności.

Bolała go własna głupota. Gubernator wyzionął ducha w jego ramionach, ale nie widział gniewu ani nienawiści w jego oczach, jedynie bezmierny spokój. Jakby umierając, pogodził się z trudami życia, brutalnymi bitwami, politycznymi ambicjami, które – jak tłumaczyła Adriana – traktował jako akt miłości do Rzymu i wierności cesarowi. Zamiast rzucić się do ucieczki, Sulla, poruszony tym, co się stało, pozostał przy nim, podtrzymując mu głowę, jak gdyby tym sposobem mógł przywrócić mu życie. Nie zauważył żołnierzy, którzy pojawili się na forum i na widok jego zakrwawionych rąk uznali go winnym zabójstwa.

Wszystko, co wydarzyło się później, było niczym koszmarne sen. Cztery silne ręce poderwały go z ziemi i poprowadziły do więzienia. Na nic się zdały jego mętne tłumaczenia. Siedział teraz w mrocznych lochach, z których, według licznych doniesień, mało komu udało się ujść z życiem.

Nie mógł sobie darować, że stawiał żołnierzom zbyt słaby opór. Czy uznają to za przyznanie się do winy? Miał wrażenie, że w więziennej celi czas stanął w miejscu, i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy światła dziennego z tarasu swojego domu, a życie toczyć się będzie dalej bez niego.

Zaczął w ciemnościach macać ściany. Kamienie były wilgotne, a w drewnianych drzwiach nie było ani jednej szpary pozwalającej przeniknąć światłu. Wyobraził sobie, że ślepcy muszą czuć strach podobny do tego, który go opanował. Było mu zimno, lecz nagle ze zdumieniem poczuł spływające po czole krople potu, przez co miał wrażenie, że utracił kontrolę nad ciałem.

Kiedy w końcu bunt ustąpił miejsca rezygnacji, Sulla z założonymi rękami oparł się o ścianę i powoli zjechał plecami w dół, siadając na ziemi. Chociaż w celi było duszno i powietrze niemal stało w miejscu, nie miał problemów

z oddychaniem. Czując ucisk w gardle, wiedział, że wynikał on z zupełnie czegoś innego. Myślał o Adrianie i jej reakcji na wieść o tym, że niejaki Sulla Likinos zamordował jej ojca, że złapano go na gorącym uczynku i że wkrótce zostanie osądzony i skazany.

Przez ostatni miesiąc bardzo się do siebie zbliżyli. Co noc z narażeniem życia przemyczał do górnej części miasta, żeby się z nią spotkać. Rozmawiali o sobie i o nieuchronnym sprzeciwie gubernatora, jeśli ich uczucie przerodzi się w coś poważniejszego. Adriana opowiadała też Sulli o trudnościach związanych z zarządzaniem wielką prowincją Tarraconensis, zamieszkałą przez wiele nieprzyjaznych ludów oraz wrogów pochodzących z samego Rzymu – ludzi tęskniących za republiką, którzy po przegranym konflikcie zbrojnym prowadzili subtelną walkę z ogromną władzą, jaką skupiał w swoim ręku Oktawian August.

Chłopak przypomniał sobie ich ostatnie pożegnanie. Niespełna kilka godzin wcześniej Adriana pocałowała go namiętnie, co po początkowym zaskoczeniu wywołało w nim rzadko doświadczany ostatnio przez niego spokój. Miał wrażenie jakby jego ramiona, nogi i brzuch nagle nabrały płynnej konsystencji i za chwilę miały rozlać się i wsiąknąć w ziemię ogrodu. Czy to był ich ostatni pocałunek?

Nagle poderwał się na równe nogi. Nie może się poddać. Będzie walczył. Znajdzie sposób, by udowodnić swoją niewinność. Ojciec mu w tym pomoże. „To jednak niemożliwe – przypomniał sobie ze smutkiem. – Kaenos jest przecież na morzu, płynąc jednym ze statków transportujących towary do Rzymu”. Sulla nigdy nie miał pewności co do terminu powrotu ojca lub czy jakaś niespodziewana burza nie spowoduje, że zostanie sierotą.

Ale był niewinny. Podszedł tylko do schodów świątyni, żeby pomóc Manniemu, mimo że z pozoru wyglądało to inaczej. Pozory! Czy mógł z nimi walczyć? Jak często sam się nimi kierował? Czy uwierzy w nie również Adriana?

Gdyby wiedział, jak zareagowała, byłby z pewnością z niej dumny, ale siedząc w więziennych lochach, nie miał możliwości się tego dowiedzieć.

6.

Kiedy tylko Adriana usłyszała z ust Lucjusza, że Sulla został pojmany jako morderca jej ojca, przebiegła tę niewielką odległość, jaka dzieliła jej dom od pałacu Oktawiana. Znający ją żołnierze wpuścili dziewczynę bez słowa. Wiedzieli, że córka gubernatora pomimo młodego wieku jest jedną z najbliższych przyjaciółek Liwii Druzylli, małżonki cesarza. Za dziewczyną podążał Lucjusz, który nawet jeśli nie otrzymałby od Manniego wyraźnego rozkazu, żeby nie spuszczać jej z oczu, zrobiłby dla niej wszystko.

Żona Oktawiana Augusta siedziała osowiała w swoim *triclinium* i, pomimo otrzymania bolesnej wiadomości, sprawiała wrażenie kompletnie nieczułej na sprawy doczesne. Na widok dziewczyny nie poruszyła się, jedynie zmarszczyła czoło i próbowała ją zdawkowo pocieszyć:

– Adriano! Musisz być zrozpaczona! Wiem, że bardzo kochałaś ojca, ale kiedy dochodzi się do władzy, trzeba być zawsze gotowym na jej utratę i wzrastającą szansę, że ktoś czyha na nasze życie. Śmierć czasem stanowi wybawienie dla tych, którzy żyją pod presją tak wielkiej odpowiedzialności...

– Nie jego śmierć jest teraz moim zmartwieniem! – wykrzyknęła dziewczyna, przerywając Liwii znanej ze swych długich monologów. – Oczywiście, rozpaczam po ojcu, ale nie chcę opłakiwać dwóch umarłych.

Te słowa zaskoczyły i zaniepokoiły Liwię. Tymczasem Adriana opadła na sofę i zapadła w długie milczenie. Doskonale знаła żonę Oktawiana Augusta i wiedziała, że nie spodoba się jej ta cisza, ale targająca nią mieszanina uczuć nie sprzyjała wyjaśnieniom.

– Jeśli mi nie wytłumaczysz... – odezwała się w końcu Liwia.

– To trudne. Wiem, że jesteśmy przyjaciółkami i że to szczęście mieć cię przy sobie. Jesteś dla mnie niczym matka, którą straciłam, a twoje rady dodają mi otuchy. Jednak nie zawsze byłam z tobą szczerą, Liwio. Są pewne sprawy bardzo... bardzo osobiste, którymi do tej pory nie miałam odwagi się z tobą podzielić.

– Nie martw się, Adriano. Kobiety zawsze mają swoje tajemnice. Rozumiem cię. Ja również nie dzielę się moimi myślami...

– Nie, tego nie zrozumiesz.

– Jednak, skoro już przyszedł, żeby mi o czymś powiedzieć, zrób to –



zażądała ostro Liwia Druzylla. – Za chwilę Oktawian wróci z łaźni i kiedy dowie się, że Manni nie żyje, oczywiście jeśli go jeszcze o tym nie poinformowano, wpadnie w rozpacz. Wiesz przecież, jak bardzo był mu bliski.

– Wiem, droga przyjaciółko, jednak boję się, że źle o mnie pomyślisz. Mój ojciec był najlepszym człowiekiem pod słońcem. Po wielkim wahaniu przyjął funkcję gubernatora, ale kiedy już nim został, oddał się całkowicie nowym obowiązkom i myślę, że wykonywał je dobrze. Straciłam jednocześnie ojca i wzór do naśladowania. Dlatego chciałabym, żebyś uwierzyła w to, co ci powiem.

– To znaczy...? – zapytała zdenerwowana Liwia. Podziwiała dziewczynę, chociaż czasami wydawała się jej zbyt oziębła; być może Apollodoros nie był najlepszą osobą do wychowania ją na prawdziwą rzymską obywatelkę.

– Jest ktoś, o kim nigdy ci nie wspomniałam.

– Adriano! W twoim wieku myślisz już o chłopcach?! – Liwia zawołała ze zdumieniem. – Chociaż właściwie nie wiem, dlaczego mnie to dziwi. Kiedy teraz na ciebie patrzę, widzę, że jesteś już kobietą! Nie rozumiem, jak mogłam tego nie zauważyć.

– Nie chodzi o byle jakiego chłopaka... – odrzekła dziewczyna, nadal nie wyjawiając swojej tajemnicy.

– Mam taką nadzieję, Adriano! – Liwia Druzylla wiedziała, że niełatwo byłoby znaleźć mężczyznę, który by nadał za inteligencją jej podopiecznej.

– Chcę cię prosić, błagać, żebyś mi pomogła.

– Losy twojego wybranka będą mi zawsze bliskie – żona Oktawiana poczuła wzrastający niepokój. Wiedziała, że kiedy ogarniało ją podobne uczucie, często kilku ludzi później przyplącało to chłostą.

– Wiem, Liwio, i dlatego musisz mi pomóc.

– Wyduś to wreszcie z siebie, kochanie. Wiesz przecież, że cesarz może pojawić się tu lada chwila.

– Mój ukochany nazywa się Sulla Likinos, i to właśnie on został aresztowany i oskarżony o morderstwo.

Adriana wyznała to w tak naturalny sposób, że żona Oktawiana nie zareagowała od razu. Przed przyjściem dziewczyny zjadła obfitą kolację i zamierzała udać się do swoich komnat na odpoczynek, nie czekając nawet na powrót cesarza, jak to miała w zwyczaju.

– Sulla! Chwileczkę... Czy masz na myśli młodzieńca, którego pojmano z rękami splamionymi krwią Manniego? – Liwia Druzylla porzuciła swoją leniwą pozycję i stanęła przed dziewczyną. – To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Tak – przyznała Adriana, lekko wystraszona. Wiedziała, że Liwia Druzylla ma reputację bezwzględnej kobiety. Przekonała się o tym kilkakrotnie na własnej skórze, ale właśnie dlatego była jedyną osobą mającą na tyle silny temperament i wpływy, żeby pomóc jej w tej trudnej sytuacji.

– Jak mogłaś zakochać się w mordercy, Adriano? Zdumiewasz mnie!

– Wiem, że Sulla jest niewinny i stał się ofiarą bezpodstawnych oskarżeń. Nie mógł zadać śmierci mojemu ojcu, w żaden sposób.

– Jesteś tego pewna? – Żona Oktawiana obesła perystyl z wyrazem zatroskania na twarzy.

Adriana domyśliła się, że przyjaciółka waha się, czy jej uwierzyć. Była jej ostatnią deską ratunku. Czy jednak mogła być pewna swoich słów? Czy była pewna dobroci Sulli? Jego niewinności? Życie wystawiało ją na bardzo dziwną próbę i nagle zapragnęła cofnąć czas. Przypomniała sobie dom w Rzymie i ojca grającego z nią w kule niczym mały chłopiec. Bez względu na to, jak bardzo szalone miała marzenia, Manni zawsze gotów był je z nią dzielić.

– Zanim to się stało, byliśmy razem! – wyznała, wiedząc, że nie może przemilczeć niczego, co mogłoby pomóc Sulli.

– Razem? Gdzie?

– W moim ogrodzie!

– Adriano, proszę cię! Wpuściłaś tego chłopaka do swojego domu? Co ty sobie wyobrażasz? A jeśli zamiast ojca zamordowałby ciebie?

– Opowiem ci o tym kiedy indziej! Teraz nie traćmy czasu. Gdy cesarz dowie się o całej sprawie, skarże go na śmierć! Twoje słowo może zmienić jego decyzję. Jestem tego pewna!

– Kochanie, wydaje mi się, że się pogubiłaś. Jak możesz z taką pewnością mówić o jego niewinności? Z tego co wiem, kiedy nadeszli żołnierze, Sulla trzymał w ramionach ciało twojego ojca!

– Dobrze go znam. Wiele rozmawialiśmy i wyznał mi miłość. Nie zyskałby nic, zabijając gubernatora, poza tym nie miał żadnego motywu. On mnie kocha, Liwio!

Liwia Druzylla spojrzała w oczy podopiecznej i zrozumiała, że mówi prawdę. Niemniej czy mogła wierzyć intuicji dziewczyny, która bez wątplenia była w szoku za sprawą tego strasznego zdarzenia?

– Chcę, żebyś wyciągnęła go z więzienia, zanim stanie przed cesarzem. W innym wypadku będzie zgubiony i nigdy nie poznamy prawdy. Zabiją go, Liwio, a ja umrę razem z nim.

Lekko już poirytowana młodzieńczą egzaltacją Adriany, żona Oktawiana się zamyśliła. Czy może spełnić prośbę dziewczyny, nie zdradzając męża? Doszła do wniosku, że jedynym wyjściem z sytuacji będzie zaspokojenie interesów obu stron: przywróci chłopakowi wolność, ale oboje będą musieli poddać się podyktowanym przez nią zasadom. Kiedy poinformowała o swojej decyzji Adrianę, dziewczyna rzuciła się jej z wdzięczności na szyję.

– Dziękuję, Liwio, dziękuję! Nie będziesz tego żałowała. Znajdziemy zabójcę mojego ojca.

– Znajdziemy? Wydaje mi się, że to jest bardziej skomplikowane, niż myślisz.

– Przecież ty nam pomożesz, a tobie nikt nie będzie mógł się sprzeciwić!

Liwia Druzylla uśmiechnęła się na te słowa. Cieszyło ją, że podopieczna postrzegała ją w ten sposób, nie kwestionując jej sposobów postępowania. Jednak musiała działać szybko. Cierpiący na bezsenność Oktawian August spędzał większość nocy w łaźni, stosując się do zaleceń swojego medyka, Antoniusza Musy. Do tej pory na pewno jednak został poinformowany o tym, co przydarzyło się jego przyjacielowi gubernatorowi. Miała tylko jedno wyjście: zaufać wiernemu słudze, Trepsowi.

Pochodzący z Bretanii Trepsa został w bardzo młodym wieku wzięty do niewoli przez wojska Juliusza Cezara wracające po wojnie w Galii. Rodzina Liwii Druzylli natychmiast poznała się na tym wyjątkowym chłopaku; był wierny i skuteczny w wykonywaniu najbardziej ryzykownych zadań.

Trepsa cieszył się coraz większym zaufaniem i z czasem stał się najbliższym sługą żony Oktawiana. Nic w tym dziwnego, ponieważ wykonywał rozkazy bez względu na to, czy przy okazji połała się czyjaś krew. Przypominał psa gotowego walczyć kłami i pazurami na śmierć i życie. Liwia postanowiła posłać swojego bojowego charta do więzienia z wyraźnym rozkazem. Później sama dopilnuje, żeby Oktawian nie ujrzał domniemanego zabójcy Manniego do następnego dnia.

Był tylko jeden problem. Należało pozbyć się świadków.

7.

W drodze powrotnej do Tarraco Lukanosa i jego świtę napadli w górach bandyci. Syn gubernatora był zaskoczony, że żołnierze, którzy nie towarzyszyli mu we wcześniejszej podróży, walczyli z przesadną brawurą. Kiedy zginęło dwóch jego ludzi, postanowił podzielić się swoimi wątpliwościami z jednym z najwierniejszych niewolników Alteriuszem, ponurym i niezbyt przyjemnym mężczyzną, którego darzył wielkim zaufaniem.

– Dla naszego bezpieczeństwa lepiej miej oczy szeroko otwarte – powiedział mu, rozglądając się, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

– Ten Wergiliusz to zły człowiek. Powinniście mieć się bardziej na baczności, panie.

– Wergiliusz jest dobrym sojusznikiem dla moich planów, Alteriuszu. Będę przyjaźnił się z duumwirem Llerdy, dopóki uznam to za konieczne. Teraz postarajmy się dotrzeć do Tarraco bez kolejnych incydentów.

– Naprawdę sądzicie, że ci ludzie mają rozkaz was zabić? Że nie są waszymi sprzymierzeńcami? – zapytał niewolnik z niepokojem.

– Może się mylę, ale nie mogę zostawić nic przypadkowi – Lukanosa miło zaskoczyła troska Alteriusza i postanowił to sobie zapamiętać. – Zastanawiałem się, czy po śmierci ojca jestem jeszcze przydatny Wergiliuszowi do dalszych przedsięwzięć. Teraz może przecież już bezpośrednio negocjować z senatorami, którzy nas wspierają. Z pewnością uważa, że nie ma sensu sprzymierzać się z takim młokosem jak ja...

– Ależ panie!

– Tak, tak, należy nazwać rzecz po imieniu. Kiedy żył mój ojciec, miałem władzę. A teraz, mimo że łatwiej będzie mi zrealizować swoje plany, będę musiał zyskać wpływy i szacunek w mieście. Chciałbym wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć.

– Do samego końca! – stwierdził Alteriusz z przekonaniem.

– Do samego końca? Cóż, mam nadzieję, że do niego dotrwamy.

Alteriusz miał jednak co do tego wątpliwości. Czy jeśli Lukanos przestanie go potrzebować, nie zrobi z nim tego samego, co z każdym innym popadniętym w niełaskę z błahych powodów niewolnikiem? Syn gubernatora ujrzał go po raz

pierwszy walczącego w Rzymie na cyrkowej arenie i poprosił ojca, żeby go dla niego kupił. Minęły trzy lata, a niewolnik nie miał do tej pory możliwości, żeby okazać mu wdzięczność. Musiał zatem teraz wziąć udział w grze, którą proponował mu jego pan. Zdawał sobie sprawę, że mieszanie się w tego rodzaju intrygi było niebezpieczne, jednak marzył, by stać się kiedyś wyzwolencem, a taka okazja jak ta nieczęsto się trafiała.

Kiedy dotarli na szczyt wzgórza oddzielającego wybrzeże od terenów śródlądowych, Lukanos zatrzymał konia i z zadowoleniem spojrział na Tarraco. Wiedział, że jeśli dobrze rozegra karty, pewnego dnia zostanie gubernatorem, a może nawet spełni się kiedyś jego marzenie, by zasiąść w rzymskim senacie. Dzięki planowanemu przedsięwzięciu mógł stać się niezmiernie bogaty i aspirować do funkcji senatora. A z czasem...

Najpierw jednak musi zrealizować swoje zamierzenia, a do tego potrzebuje wsparcia i zaufania Wergiliusza. Nie będzie to trudne, jeśli udowodni, iż wszystko poszło zgodnie z planem, a siedzący w więzieniu w Tarraco człowiek nie ma nic wspólnego z prawdziwymi zabójcami.

Zaczęli schodzić w dół stoku, kiedy palące słońce stało już wysoko na niebie. Lukanos nie pozwolił pogrzebać ciał mężczyzn zabitych w potyczce z bandytami, więc zostawili je przy drodze. Dalsza strata czasu byłaby niebezpieczna. „Szczególnie – pomyślał, uśmiechając się do siebie – jeśli w grę wchodzi moje życie, które nadal jest wiele warte”.

Podczas dalszej podróży wpadł na pomysł, jak pozbyć się niewygodnego towarzystwa żołnierzy Wergiliusza.

Kierowali się w stronę wybrzeża, starając się zapanować nad wierzchowcami. Droga była niebezpieczna i kręta, więc mogło się zdarzyć, że któryś z koni na zakręcie straci równowagę i spadnie wraz z jeźdźcem w dół zbocza. Oczywiście można było tego uniknąć, wybierając szlak prowadzący na południe, jednak Lukanos uwielbiał oglądać panoramę miasta, jak również ryzyko wiążące się z podróżowaniem tą drogą. Mało kto miał odwagę zapuszczać się tamtędy ze względu na wąskie dróżki i niebezpieczne przepaście.

Syn gubernatora wiedział też, że u podnóża góry znajdowały się niewielkie pretoriańskie koszary i widząc żołnierzy, czym prędzej do nich podjechał.

Na ten widok grupa towarzyszących mu ludzi Wergiliusza ruszyła za nim, chociaż zachowując pewien dystans.

- Salve, Lukanosie! – Jeden z żołnierzy na szczęście go rozpoznał.
- Salve! Jedziemy do Tarraco, pożegnać mego ojca.
- Słyszeliśmy! Miasto przygotowuje się do egzekwii. Pozwólcie, że przekażę wam moje kondolencje, panie.
- Dziękuję, przyjacielu! Chciałbym prosić cię o przysługę.
- Wasza prośba jest dla mnie rozkazem.

Lukanosowi spodobał się ten śmiały pretorianin, postanowił zatem wprowadzić w życie swój plan.

To było proste. Odszedł na kilka kroków z żołnierzem i powiedział mu, że odkrył przeciw sobie spisek, uknuty być może przez tych samych ludzi, którzy zabili jego ojca. Poprosił o ochronę w dalszej drodze do Tarraco oraz o to, by towarzyszącym mu dotychczas żołnierzom zatrzymano w obozowisku w celu odpoczynku. Pretorianin przystał na jego prośbę i obiecał zająć się wszystkim aż do momentu otrzymania następnych rozkazów.

Inteligentny podstęp Lukanosa zaskoczył jego towarzyszy. Syn gubernatora, pod pretekstem spieszenia się na pogrzeb, poganiał ich przez całą drogę. Ryzykując życiem, w pośpiechu, musieli zjeżdżać na łeb na szyję ze wzgórza, dlaczego więc teraz, tak niedaleko Tarraco, tracił czas na rozmowy z tymi żołnierzami?

Tymczasem Lukanos zarządził krótki postój, by odpocząć i coś przekąsić. Ludzie Wergiliusza na wszelki wypadek nie odstępowali na krok swoich koni. Nic im to jednak nie dało. Kiedy pretorianin obwieścił im, że zostają w obozowisku, ponieważ syn gubernatora potrzebuje wypoczętych wierzchowców, byli już otoczeni liczną strażą. Zatrzymani wpadli we wściekłości, lecz widok tuzina uzbrojonych pretorianów jasno dawał do zrozumienia, że kwestionowanie rozkazów nie miało sensu. Najbardziej zaskoczony był Alteriusz. Próbował dawać swojemu panu dyskretne znaki, jednak ten nawet na niego nie spojrział.

Wkrótce Lukanos z rosnącym w głębi duszy zadowoleniem zbliżał się do Tarraco, eskortowany przez pretoriańskich strażników Oktawiana Augusta.

Dla spełnienia marzeń był w stanie zaryzykować wszystko i wiedział, że tym razem również się nie pomylił. Był sprytny i potrafił postawić na swoim. Potrzebował jedynie szczęścia i odwagi.

W miarę zbliżania się do miasta piękna pogoda, jaka powitała ich na szczycie wzgórza, stopniowo ustępowała miejsca burzowym chmurom nadciągającym od strony morza. Tuż przed wjazdem do Tarraco krople deszczu zaczęły spadać na wyłożoną kamiennymi płytami drogę. Lukanos skrzywił się z niechęcią. Nienawidził deszczu, a szczególnie zapachu przemoczonej końskiej sierści. „Na szczęście jesteśmy już blisko – pomyślał, spoglądając na niebo – a decyzje zostały podjęte dawno temu”.

8.

Apollodoros z Efezu jako jedyny nie miał pojęcia o wydarzeniach w Tarraco. Nieświadomy niczego wstał o świcie, zjadł skromne śniadanie i wybrał ze swojego księgozbioru utwór, o którym chciał tego dnia porozmawiać ze swoją uczennicą. Kiedy wyszedł na zalaną światłem ulicę, musiał zmrużyć oczy. Był gotów zmierzyć się z codziennymi obowiązkami z takim samym przekonaniem, z jakim robił to każdego dnia.

Stary nauczyciel towarzyszył Oktawianowi Augustowi podczas jego wielu podróży od czasu triumwiratu. Ponad piętnaście lat wcześniej, po pokonaniu Brutusa i Kasjusza w bitwie pod Filippi, Marek Antoniusz odwiedził Efez, gdzie zaskoczył go zaimprovizowany przez Apollodorosa publiczny dyskurs wywołany kłótnią złodziei. Przekonany, że będzie dobrym doradcą w jego przedsięwzięciach, triumwirabrał go ze sobą do Rzymu.

Marek Antoniusz nie spodziewał się jednak, że Oktawian i Apollodoros złapią nic porozumienia już podczas pierwszego spotkania i że uczonego z Efezu, jak go nazywano, pomimo że urodził się z Aleksandrii, zostanie na służbie przyszłego cesarza. Wiele lat później Oktawian polecił przyjaciela Manniemu, poszukującemu nauczyciela dla swoich dzieci.

Apollodoros szedł pospiesznym krokiem, przypominając sobie kilka wersów poematu Wergiliusza, który przeczytał poprzedniego wieczora:

*Trochę jednak zostanie śladów dawnego oszustwa,*

*Które nakazuje doświadczać mórz łodziami,*

*Miasta opasywać murami, w ziemi ryć bruzdy[1].*

Tak wyglądały jego częste ćwiczenia pamięciowe. W młodości doświadczył rodzinnego dramatu, kiedy to jego schorowany ojciec całkowicie stracił pamięć. Od tamtej pory każdego dnia obawiał się, że spotka go to samo.

Szedł w tak wielkim skupieniu, że nawet nie zauważył żołnierzy, którzy z groźnymi minami w dużych grupach patrolowali miasto. Ludzie schodzili im z drogi, chowali się w sklepikach, a właściciele obwoźnych straganów pierzchali

przed nimi ze strachem. Mieszkańcy Tarraco nie zdążyli się jeszcze przyzwyczaić do obecności cesarskiej straży pretoriańskiej, o wiele liczniejszej tego ranka niż zazwyczaj.

Głębokie zamyślenie Apollodorosa mogło wydawać się oznaką starzenia, było to jednak dalekie od prawdy. Stary nauczyciel zbierał siły, by włożyć całą swoją energię w poprowadzenie lekcji. Mimo że Tarraco było od dawna jednym z ulubionych wzorcowych rzymskich miast, jego nie obchodziło, co się w nim działo. Oprócz troski o pamięć, Apollodorosa dręczyło jeszcze jedno: obawiał się, że kiedy pewnego dnia Manni spojrzy na niego i zauważy jego postępującą ślepotę, chwiejny chód i drżenie coraz mniej zręcznych rąk, dojdzie do wniosku, że starzec przestał być odpowiednią osobą do zajmowania się edukacją jego dzieci.

Apollodoros zawsze był samotnikiem, jednak ostatnimi czasy odkrył, że jego uczniowie, Adriana i Lukanos, stali się dla niego szczególnie ważni, jak nikt dotychczas.

Dziewczyna go uwielbiała. Podczas lekcji rozmawiał z nią na wiele tematów, chcąc rozwijać jej inteligencję, która, jak przypuszczał, nie miała granic. Chłopak, zajęty swoimi sprawami, rzadko bywał na lekcjach, odkąd został mianowany edylem. Kiedy się zjawiał, interesował go wyłącznie traktat Katona *O rolnictwie*, szczególnie zaś fragmenty poświęcone uprawie i przetwarzaniu oliwek.

Apollodoros, chcąc zadowolić ucznia i dotrzymać mu kroku, dokładnie przestudiował wszystkie dzieła dotyczące tego tematu, które znalazł na straganie swojego przyjaciela Atiego. Jednak wiedza teoretyczna na temat przycinania gałęzi co osiem lat – jak zalecał Columell – czy niestosowności uderzania w nie kijami, które – zdaniem uczonego Warrona – mogą uszkodzić pączki, na nic mu się nie przydała. Lukanos zawsze miał bardziej postępowe opinie, co sprawiało staremu nauczycielowi dużą radość, wprawiając go jednocześnie w zakłopotanie.

Nauczanie ich obojga stanowiło najważniejsze źródło zarobku Apollodorosa, więc starał się utrzymać tę pracę nawet kosztem zdrowia. W przypadku jego pozostałych uczniów – pochodzącego z regionu Ausy wieśniaka, którego zaczął uczyć niedawno na prośbę przyjaciela Antoniusza Musy, oraz syna rybaka, który awansował na dowódcę floty handlowej przewożącej towary pomiędzy Tarraco a Ostią – ledwie zarabiał na chleb.

Apollodoros nie mógł stracić dochodów, jakie przynosiły mu dzieci gubernatora, ponieważ miał pewną nieprzewycięzoną słabość. Były nią książki i jeśli okoliczności zmusiłyby go do rezygnacji z nich, uznałby to za gorsze od śmierci. Pozornie nie było w tym nic nadzwyczajnego, ponieważ był nauczycielem, jednak Apollodoros wiedział, że jest w stanie stracić rozum dla dzieła dawnych filozofów czy traktatu geograficznego. To uczucie było tak silne, że wiele osób mogłoby uznać jego zwyczaj gromadzenia książek za chorobę.



Często po drodze do rezydencji Manniego, gdzie odbywały się lekcje z Adrianą, zaglądał na forum, żeby odwiedzić stragan Atiego, uważanego przez wielu za największego oszusta wśród sprzedawców Tarraco. Nauczyciel przeglądał stosy podejrzanego pochodzenia tabliczek i pergaminów, aż natrafił na dzieło jakiegoś nieznanego mu autora. Poszukiwania stawały się coraz trudniejsze, ponieważ Apollodoros czytał przez całe życie, jednak zawsze znalazło się coś, czego jeszcze nie miał i gorąco pragnął. Od przyjazdu do znacznie mniejszego od Rzymu Tarraco szanse na znalezienie czegoś ciekawego znacznie zmaleły.

Ati nie był zbyt lubiany. Niektórzy uważali go za złodzieja sprzedającego na swoim straganie przedmioty skradzione z domów zmarłych ludzi. Mało kogo obchodziło, że odkupywał je od spadkobierców, sprowadzał z Rzymu czy kupował podczas krótkich podróży do Barcino lub Baëtulo. Jego zła sława zaniepokoiła swojego czasu Apollodorosa, który obawiał się, że jego zamiłowanie do książek zostanie powiązane z praktykami handlowymi kramarza. Jednak obawy okazały się bezpodstawne. Gubernator od dawna wiedział o nawykach starego nauczyciela i choć wydawanie pensji na książki mogło wydać mu się ekstrawagancją, jednak jeśli dzięki temu jego dzieci uczyły się na przykład o przechodzeniu ze świata żywych w zaświaty, nie widział w tym nic złego. Manni był od dawna pod wrażeniem łatwości, z jaką Adriana potrafiła uczestniczyć w niemal każdej dyskusji, i przypisywał ją, na szczęście, naukom Apollodorosa.

Nauczyciel, pomimo swoich lęków starego samotnika, wiedział, że dzięki lekcjom udzielanym dzieciom gubernatora mógł sobie pozwolić na powiększanie swojego księgozbioru.

Tego ranka czuł niepokój, ponieważ nie odwiedził kramu Atiego. Od długiego czasu bezowocnie poszukiwał *Kobiet z Trachis* Sofoklesa i obawiał się, że ktoś znajdzie je przed nim.

Po przybyciu do domu gubernatora nauczyciel czekał na Adrianę w atrium, w którym przy ładnej pogodzie zawsze odbywały się lekcje. Mimo kilku burzowych chmur zbierających się na niebie świeciło piękne słońce i jeszcze nie padało. Morska bryza wkradająca się przez otwarte drzwi domu łagodziła uczucie duchoty. Przez długi czas nikt się nim nie interesował, w końcu jedna ze służących ulitowała się nad starcem.

– Mistrzu Apollodorosie! Odpoczywacie? Nic dziwnego, po takiej tragedii!

– O czym mówisz? Jakiej tragedii? – zapytał, wyrwany z zamyślenia.

– Nie wiecie? Ja...

– Wyduś to wreszcie – zażądał Apollodoros, który potrafił również pokazać swój autorytet.

– Nie wiecie, że gubernator został zamordowany? To straszne nieszczęście dla tego domu – mówiła przestraszonym i niepewnym głosem. – A przede wszystkim... dla biednej Adriany!

W pierwszym odruchu Apollodoros przysiadł na niskim murku otaczającym *impluvium*; jednak niestosownym było znajdować się niżej niż niewolnica. Przeraził się konsekwencjami, jakie śmierć gubernatora mogła wyrzucić na jego życiu, szybko jednak odrzucił od siebie te myśli. Intuicja podpowiadała mu, że niewolnica coś przed nim ukrywała. Krople deszczu zaczęły spadać na wyłożoną mozaiką posadzkę, oboje schronili się więc wewnątrz domu.

– Jeśli nie chcesz zostać wychłostana, lepiej powiedz mi wszystko, co wiesz – zagroził jej z nadzieją, że niewolnica nie wie, iż on nie ma prawa jej ukarać.

– Ja, ja... nie chciałam się wtrącać... Miałam na myśli to, że Adriana musi bardzo cierpieć, wiedząc, że zabójcą jej ojca jest tak bliski przyjaciel...

– Jak to? Za śmierć Manniego odpowiedzialny jest znajomy Adriany?

– Tak mówią, panie – dziewczyna odpowiedziała z rosnącym przerażeniem.

– Kim jest ten łajdak? Powiedz mi natychmiast! I skąd ty o tym wiesz?

– To Sulla Likinos... w tym domu trudno jest cokolwiek ukryć... – stwierdziła nieśmiało, a Apollodoros poczuł się tak, jakby zwała mu się na głowę wieża Minerwy[2].

– Dobrze, już dobrze! Odejdź i nie bój się, nikomu o niczym nie powiem. I ty też milcz – dodał podniesionym głosem.

Kiedy dziewczyna zniknęła wewnątrz domu, stary nauczyciel westchnął głęboko. Wiadomość odebrała mu siły, a co gorsza, bardzo zaniepokoiła. Wyszedł do atrium i wystawił twarz na deszcz, żeby ochłonać. Z nieba nadal spadały pojedyncze krople, które z pluskiem małych kamyczków wpadały do sadzawki.

1 Wergiliusz, *Pieśń sybillińska* (Ekloga IV), przeł. Z. Kubiak.

2 Torre de Minerva – jedna z trzech wież murów otaczających Tarraco za czasów rzymskich, która przetrwała do obecnych czasów – przyp. tłum.

9.

Trepso nie miał w zwyczaju kwestionować rozkazów swojej pani, Liwii Druzylli. Była surową, ale sprawiedliwą władczynią, a on po tak długim czasie mieszkania w pałacu nauczył się interpretować jej decyzje z perspektywy człowieka rozumiejącego sprawy państwa. Od samobójczej śmierci ojca Liwii po bitwie pod Filippi, po której również odebrali sobie życie zabójcy Cezara, Kasjusz i Brutus, Trepso stał się kimś o wiele ważniejszym od niewolnika – jej zausznikiem.

Liwia odegrała zasadniczą rolę przy wyborze Oktawiana Augusta na cesarza, jednak nie zmienił się dyskretny i charakterystyczny dla niej sposób rządzenia. Nigdy nie nosiła ostentacyjnie bogatych strojów i ozdób, koncentrując się na kierowaniu sprawami męża, szczególnie od czasu, kiedy podupadł na zdrowiu.

Po usłyszeniu rozmowy córki Manniego z jego panią Trepso nie zdziwił się, że ta postanowiła jej pomóc. Skuteczność niewolnika w dużej mierze brała się z tego, że miał wyostrzony zmysł słuchu i wzroku. Niejednokrotnie udało mu się odkryć w zarodku spiski, które nie doszły do skutku dzięki jego interwencji. Zabójstwo gubernatora było dla niego niezrozumiałe. Liwia nie działała nigdy, jeśli nie było to z korzyścią dla niej, chociaż niewolnik wiedział, jak bliska była jej Adriana, którą chwaliła przed wszystkimi jako najinteligentniejszą istotę w całym Tarraco.

Zadanie, jakie mu powierzyła, było wielkiej wagi, a podczas ich rozmowy wyczuwał nieznane dotąd napięcie.

– Zrobisz to dla mnie, Trepso? Nadeszła chwila, w której imperium naprawdę cię potrzebuje. Czasami losy całego narodu zostają oddane w ręce jego najbardziej nieoczekiwanych sług – Liwia bodła niewolnika ostrożnie gładkimi słówkami, wiedząc, że nie był w stanie jej odmówić.

– Macie rację. Chcę jedynie wam służyć, pani. Wiecie, że wy i imperium zawsze możecie na mnie liczyć. Czy pozwolicie mi jednak wyrazić na ten temat własne zdanie?

– Tak czy inaczej, zrobisz to, za twoją zgodą czy bez niej! – Żona Augusta opuściła wzrok na okrywającą jej kolana tunikę, wygładzając ją ręką.

Nawet jeśli udawała gniew, wiele razy wykorzystywała rady swego

najbardziej zaufanego sługi. Upór Trepsa bywał równie uciążliwy, co skuteczny. Wiele razy oferowała mu wolność, pod warunkiem że nadal będzie jej służył, ale niewolnik zawsze odrzucał tę propozycję, uciekając się do tego samego argumentu:

– Jeśli moje życie nie ma ulec zmianie, wolę pozostać w obecnej sytuacji.

Słyszając to, Liwia Druzylla uznała, że Trepsa jest człowiekiem konserwatywnym, nie lubiącym zmian, jeśli bezpośrednio dotyczyły jego osoby. Teraz jednak pilnie potrzebowała skutecznego sługi, więc z ciekawością wysłuchiwała jego opinii.

– Bogowie mi świadkami, że zabijałem z waszego rozkazu, a sztylet nie zadrżał nigdy w mojej dłoni, bez względu na to, kim była ofiara. Jednak w tym przypadku mam duże wątpliwości. Nie chodzi o pozbycie się politycznego wroga ani kogoś, kto chciałby was zniszczyć. Zabicie cesarskiego żołnierza jest równoznaczne ze zdradą stanu, a w razie złapania sprawcy nawet wy, pani, nie odważyłabyś się mi pomóc.

– Jesteś szczerym człowiekiem, Trepsa, i zawsze podziwiałam twoją odwagę nie tylko w wyrażaniu własnego zdania. Odnoszę jednak wrażenie, że nie martwi cię najbardziej to, iż możesz zostać złapany... czy mam rację? – Liwia stanęła przed nim. Trepsa był jedynym niewolnikiem w cesarstwie, który miał odwagę spojrzeć jej w oczy – dwa błyszczące, niczym skąpane w promieniach słonecznych migdały, ciemne jak wyciągnięty z wody obsydian. Tym razem tego nie zrobił, jednak odpowiedział z powagą godną senatora, dotykając znacząco sztyletu ukrytego pod tuniką:

– Zastanawiam się, czy powinniście pomagać Adrianie. Ona już nic nie znaczy, straciła ojca i jest siostrą edyla postępującego w sposób daleki od tego, jaki oczekuje się od człowieka na jego stanowisku. Lukanos skazany jest na popełnienie błędu i pociągnie za sobą najbliższych. Po co wystawiać się na tak duże ryzyko?

– Bo tak ci rozkazuję! Czy to wystarczający powód?

Nastało niewygodne milczenie, jednak Liwia umiała je przełamać. Nigdy nie miała problemów, żeby trochę ustąpić, jeśli dzięki temu zyskiwała to, co chciała. – Trepsa, Trepsa... Wiem, że się o mnie troszczysz, i trochę też o siebie... Nie, nic nie mów. Jak powiedziała by Adriana, to logiczne. Jednak ty niczym nie ryzykujesz. Wiesz, że w każdej chwili mogę przywrócić ci wolność i jeśli coś pójdzie nie tak, sprawię, że staniesz się wolnym człowiekiem i wyjedziesz daleko stąd. Z drugiej strony Lukanos jest tylko młodym chłopakiem poszukującym swojej drogi i wydaje mi się, że biedny Manni zawsze starał się wskazać mu tę właściwą.

– Jednak, pani...

– O mnie nie musisz się martwić. Oktawian jest chory i muszę czuwać nad bezpieczeństwem imperium. Postanowiłam, że młody Sulla przyda się o wiele bardziej będąc na wolności niż w lochach więzienia. Zakończmy więc tę rozmowę. Wiesz doskonale, dlaczego liczę na twoją pomoc. Oczywiście zawsze możesz

odmówić. Za wiele ci zawdzięczam, żeby kazać cię ukarać, chociaż...

– Wasz rozkaz zostanie wykonany – odpowiedział Trepsa, rozumiejąc, że jego obawy nie wpłyną na decyzję Liwii. – Jestem waszym sługą i w razie konieczności oddam życie, aby wypełnić zadanie.

– Cieszy mnie to. Możesz już odejść i nie zapomnij, że ja również oddaję w twe ręce odrobinę mojego życia. Muszę zastanowić się nad planem działania.

Trepsa wyszedł z komnaty z niedostrzegalnym dla Liwii uśmiechem na twarzy. Żona Augusta często igrała z myślą, że niewolnik jest w niej zakochany, a on od dłuższego czasu dawał jej ku temu powody. Oczywiście, że podobała mu się ta kobieta, choć prawdopodobnie ze względu na zupełnie inny rodzaj piękna, jaki w sobie posiadała, związanego ze stanowczością, pewnością siebie i władzą. Jednak, zdając sobie sprawę z własnego położenia, nigdy nie odważył się posunąć dalej niż poza ramy tej gry. Chociaż jego niepokój wrósłby, gdyby znał w tej chwili myśli, z którymi biła się Liwia.

Druzylla wierzyła w niewinność Sulli, odkąd Adriana opowiedziała jej o istocie ich relacji. Słuchając jej, zastanawiała się jednocześnie nad wytłumaczeniem morderstwa. Wszystko wskazywało na to, że adorator jej podopiecznej nie miał żadnego motywu. Głupotą byłoby zabijać ojca ukochanej i dać się złapać w ten sposób. Z doświadczenia wiedziała, że zabójcy byli o wiele sprytniejsi i za śmiercią gubernatora musiały się kryć czyjeś interesy. Nie znała ich, była jednak w stanie poruszyć niebo i ziemię, żeby je poznać. Nie mogła znieść myśli, że wokół niej działały się rzeczy, nad którymi nie miała kontroli.

Żeby wprowadzić w życie obmyślony przez nią plan, Sulla musiał wydostać się z więzienia, niemniej przede wszystkim nie mogła dopuścić, żeby cesarz wyładował na nim swoją wściekłość. Potrafiła złagodzić jego początkowy gniew dzięki sile perswazji oraz wywarowi z ziół przepisanych mu przez Antoniusza Musę. To powodowało, że cesarz oddawał sprawy wymagające większej energii w ręce Liwii Druzylli. Podróż medyka do Ausy, która była również jej pomysłem, przyniosła już owoce.

Miała przed sobą dużo pracy, ale tej żona Oktawiana Augusta nigdy się nie obawiała.

Lukanos dotarł do domu w towarzystwie pretorian. Od chwili przekroczenia bram miasta czuł na sobie wzrok obserwujących go mieszkańców, lecz nie przesłał im żadnego gestu powitania. Wiedział, że niektórzy szczerze opłakiwali śmierć Manniego, który uważany był powszechnie za dobrego i sprawiedliwego człowieka. Mieszkańcy miasta nienawidzili natomiast dumy i przemocy, z jaką Lukanos rządził od kilku miesięcy miastem, odkąd, mimo młodego wieku, został mianowany jego edylem.

Dowódca pretorian na jego prośbę eskortował go do samych drzwi domu. Niewolnicy natychmiast zbiegli się do atrium, co nigdy się nie zdarzało za życia gubernatora, bo ten zawsze prosił, aby kontynuowali swoje zadania i nie zwracali uwagi na jego obecność. Tym razem jednak służącymi, którzy nie byli pewni swego dalszego losu, kierował strach i ciekawość.

Lukanos, nie mając zamiaru niczego im wyjaśniać, odprawił gestem odziedziczonych po ojcu mężczyzn i kobiety. Pragnąc jak najszybciej zobaczyć Adrianę i przekonać się o jej gotowości do poddania się jego woli, przebiegł przez wszystkie komnaty z nadzieją, że może się przed nim schowała. Nie było jej nigdzie.

Syn Manniego i pretorianin doszli do *triclinium*, mijając po drodze tylko niewolników.

Wkrótce pojawił się Lucjusz. Uznając pałac cesarza na wystarczająco bezpieczne miejsce, żeby zostawić tam Adrianę, postanowił sprawdzić, jaka atmosfera panowała po powrocie Lukanosa. Na widok pretorianina zaskoczony stanął w progu i oparłszy się o ścianę, postanowił zaczekać.

– Co tak stoisz jak gamoń? Przynieś naszemu przyjacielowi coś do jedzenia! Szybko! – Lucjusz ruszył pospiesznie w kierunku kuchni, a za nim kilku niewolników. Nie był służącym, ale winien był Lukanosowi posłuszeństwo, chociaż nikt nie powinien traktować żołnierza jak niewolnika.

Do Lukanosa dotarło wreszcie, że Adriany nie ma w domu, co właściwie go nie zaskoczyło. Do tej pory nie obawiała się stawiać mu czoła, w ogóle nie zważając na swoją pozycję kobiety i młodszej siostry, ale teraz nie było już w pobliżu ojca gotowego wtrącić się, jeśli sprawy przybierały gwałtowny obrót.

Mało rzeczy wyprowadzało Manniego z równowagi tak jak przemoc. Mówiło się, że Oktawian mianował go gubernatorem, ponieważ lubił spokój i potrafił rozwiązywać konflikty między narodami za pomocą słów i rozumu. Wiedząc o jego sprawiedliwych osądach, do Tarraco przybywało wiele miejscowych ludów szukających rozwiązań swoich problemów. Lukanos pomyślał, że cesarz dążący do pokoju, chcący krzewić handel i sztukę, stracił jednego z głównych popleczników.

Paradoksalnie młodemu edylovi nie było to na rękę, ponieważ dla realizacji swoich planów rozwijania rolnictwa niezbędne było zakończenie konfliktów. Zawsze klócił się z ojcem o sposób osiągnięcia tego idealnego stanu. Dla gubernatora i samego cesarza bogactwo powinno powstawać z uprawy roli, jaką paraliby się w pewnym stopniu wolni ludzie, których dobrobyt i korzyści sprzyjałyby produkcji. Jednak Lukanos i jego cisi współpracownicy dla przyspieszenia zbioru oliwek i późniejszych procesów otrzymywania cennego złotego płynu woleli użyć zastępów niewolników. Mało ich obchodziło, że zbiory należało przeprowadzać o określonej porze roku, więc przez pozostały czas niewolnicy stanę się trudną do ogarnięcia bezproduktywną masą. Lukanos myślał tylko o tym, że tereny wokół Tarraco idealnie nadawały się do uprawy drzew oliwnych, którą dotychczas zajmowały się jedynie gospodarstwa rodzinne, z nikłymi wynikami handlowymi.

Wyczerpany podróżą i swoimi troskami przez chwilę nawet ucieszył się z nieobecności Adriany, uznał jednak, że to, iż siostra opuściła dom zaraz po śmierci ojca, było haniebne.

Głos pretorianina wyrwał go z zamyślenia nad rzeczywistością, która coraz bardziej go niepokoiła.

– Dziękuję za poczęstunek, jednak naprawdę mogę zjeść po powrocie do koszar – rzekł mężczyzna, stojąc w wojskowej postawie. – Towarzyszenie wam było dla mnie zaszczytem.

– Tak, oczywiście! – Lukanos ocknął się, wdzięczny za okazany mu szacunek w tak trudnym momencie. – Jednak z pewnością oczekiwałeś za to jakiejś nagrody.

– Panie... – Żołnierz wyprostował się jeszcze bardziej. Nie znał Lukanosa ani jego bezpośredniości w kwestiach męskich interesów, jednak intuicja odpowiedziała mu stosowną odpowiedzią: – Sami wiecie, że żołd dowódcy pretorian nie jest zbyt wysoki.

– W takim razie, weź... – Syn gubernatora podał mu sakiewkę z kilkoma denarami.

– Pozostaję na wasze rozkazy – odrzekł żołnierz, ważąc w ręku pieniądze ze wzrastającą chciwością.

– Wiem! Mam nadzieję, że będę mógł na ciebie liczyć w razie konieczności.

Śmierć mojego ojca bardzo skomplikowała sytuację w mieście i potrzebni mi będą lojalni i wartościowi ludzie. Udowodniłeś mi dzisiaj z nawiązką, że mogę ci ufać.

– Jestem waszym wiernym sługą – odrzekł pretorianin zadowolony, że znalazł wspólny język z rzymskim notabłem. – Powiedzcie mi tylko, co zrobić z ludźmi, którzy przyjechali z wami i zostali pod dozorem w obozowisku.

– Każ ich wychłostać. Porządna kara i kilka dni w więzieniu będzie dla nich odpowiednią pokutą. Władza powinna być wielkoduszna, jednak też nieprzejeđnana. To jedyny sposób, żeby wzbudzać szacunek. Nie sądzisz?

– Wszystkich bez wyjątku? – zapytał żołnierz, ignorując pytanie Lukanosa.

– Oczywiście! Wszyscy są winni. Jedni swojej premedytacji, a drudzy tego, że nie potrafili dostrzec niebezpieczeństwa.

Pretorianin zsalutował, wziął od niewolnika wino i owoce, po czym opuścił dom gubernatora. Idąc z sakiewką w jednej ręce i koszem z wiktuałami z drugiej, skrzywił się z niesmakiem. Był tylko dowódcą oddziału, jednak wiedział, co oznaczało przekupstwo, tym bardziej, jeśli brał w nim udział. Teraz liczyło się dla niego tylko to, że w sakiewce miał wystarczająco dużą kwotę, żeby rozpocząć nowe życie po odbyciu dwudziestu pięciu lat służby wojskowej. A do tego upragnionego dnia brakowało mu już niewiele. Natomiast w kwestii ludzi towarzyszących edyłowi postanowił przemyśleć jeszcze, jaką wymierzy im karę. Tymczasem zamknie ich w areszcie, ponieważ z doświadczenia wiedział, że ludzie mający władzę łatwo zmieniali zdanie.

Lukanosowi spodobał się żołnierz i był pewien, że wykona jego rozkazy. Opadł na *triclinium*, w którym siadał jego ojciec, kiedy przyjmował przyjaciół. Nikt w domu nie miał odwagi nigdy tam usiąść, nawet podczas jego nieobecności, jednak Lukanos nie poczuł teraz żadnej satysfakcji. Myśli zaprzętał mu los, jaki czekał jego wiernego Alteriusza, lecz po chwili pozbył się wszelkich wątpliwości. Alteriusz, choć przez ostatnie lata bardzo pomocny, był żołnierzem Manniego, a Lukanos chciał od tego momentu otoczyć się własnymi zaufanymi ludźmi.

Ta myśl go przeraziła. Własnymi ludźmi! Jakimi? Z kim mógłby podzielić się swoimi marzeniami? Po raz pierwszy poczuł samotność. Mimo ekscesów, jakich się dopuszczał, ojciec zawsze go chronił. Pozostał mu tylko sojusz z człowiekiem, któremu nie ufał. Z Wergiliuszem, równie ambitnym co on.

I została mu Adriana.

Musi z nią porozmawiać, dowiedzieć się, czy może na nią liczyć. Teraz, kiedy zostali sami na świecie, będzie musiała być mu posłuszna.

Nagle zauważył Lucjusza, który przez cały czas czekał w progu.

– Lucjuszu! Gdzie jest moja siostra? – Władczy ton najwyraźniej nie zrobił na żołnierzu wrażenia. Syn gubernatora pomyślał, że jego również prędzej czy później powinien się pozbyć, przypominając sobie, jak wiele razy żołnierz stawał mu na przeszkodzie w zbliżeniu się do Adriany.



– Wszystko wskazuje na to, że znalazła ukojenie i schronienie w pałacu Oktawiana Augusta, gdzie Liwia Druzylla udzieliła jej gościny – odpowiedział centurion poważnym tonem, tak że Lukanos nie wiedział, czy w jego słowach krył się jakiś podtekst.

– I według ciebie tak powinno być? Jej miejsce jest w domu, z rodziną! Idź i przekaż jej, że na nią czekam.

– Tak zrobię, panie! Jednak wiecie, że nie mogę wydawać jej rozkazów...

– Ja jej rozkazuję i chcę, żeby natychmiast wróciła do domu.

Lucjusz nie mrugnął nawet okiem na te ostre słowa. Odwrócił się i ruszył do drzwi. Odwracając się do syna gubernatora plecami, okazał mu całą swoją pogardę. Ten wziął ze stojącego na stole kosza jabłko, ugryzł kawałek, po czym wypluł z obrzydzeniem, a owoc rzucił w miejsce, w którym jeszcze chwilę wcześniej stał centurion; jabłko było w środku nadgniłe.

– Zaczekaj! – krzyknął za żołnierzem, wstając i wychodząc do atrium. – Nie musisz wykonywać mojego polecenia. Sam pójde do pałacu i przysięgam na Zeusa, że zmuszę ją do powrotu ze mną do domu!

Minął Lucjusza, nie patrząc mu w oczy. Nie miał czasu na konfrontację. Musiał dowiedzieć się wielu rzeczy, zanim odważy się wprowadzić w życie swój plan i nagle zdał sobie sprawę, że nic nie wie. Co się stało z zabójcami Manniego? Kim był człowiek, którego zamknięto w więzieniu?

Żona cesarza była ambitną kobietą i kiedyś przyznała mu rację w kwestii oliwy. Jednak to były luźne rozmowy, mało wiarygodne, biorąc pod uwagę charakterystyczną dla niej zmienność. Mogła mu pomóc, jednak nie był pewien jej reakcji, jeśli wyśle do pałacu posłańca. Liwia Druzylla zawsze go onieśmiałała i do tej pory nie miał możliwości szczerze z nią porozmawiać.

Nadal padał deszcz, chociaż wielkie krople kapiące z nieba od rana zmieniły się w miłą mżawkę łagodzącą panującą w mieście duchotę. Lukanos z zaciętym wyrazem twarzy minął pałacową bramę. Być może został sam, ale dobrze wiedział, jak załatwić sprawy.

11.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. p.n.e.*

Mało kto przypuszczał, że wiosna ożywi moje gasnące ciało. Przez pozostałą część roku codziennie spaceruję, przysiadam na skrzyni porzuconej przez jakiegoś sprzedawcę z forum i nieruchomieję. Jednak z nadejściem ładnej pogody zaczynam wewnętrzną przemianę, nadająca życie wielu opowieściom, które zawsze mi towarzyszą. Dodam też, że jest to czas, kiedy znikam z ulic, przenosząc się na portowy falochron. Dlatego też przez kolejne dni, dopóki jakiś rybak nie wspomni, że widział mnie nad morzem, wielu ludzi zapewne dochodzi do wniosku, że na zawsze zniknąłem z ich życia. Nie winię ich za to. Pewnego dnia, pewnie już wkrótce, będą mieli rację.

Tak, od początku wiosny do końca lata spędzam czas na brzegu morza i czasami nachodzi mnie chęć, żeby się w nim zanurzyć, pływać w morskich głębinach i żyć wraz z rybami i meduzami. Jakiś czas temu doszedłem do wniosku, że są stworzeniami, z którymi mam najwięcej wspólnego, że znajduję się w stanie płynnym i byłoby dla mnie idealnie unosić się bez konkretnego celu na wodzie, z obojętnością obserwując upływ czasu.

Nie chciałbym jednak zabrzmieć jak filozof. Mój nauczyciel, Apollodoros z Efezu, uczył mnie, że jesteśmy w stanie zrozumieć tylko proste rzeczy – na przykład ślad, jaki zostawił za sobą statek wypływający na otwarte morze czy światła pochodni pojawiające się wieczorem nad miastem niczym armia świetlików latających nad brzegiem rzeki.

Wciąż go pamiętam. Człowieka, który zadbał o moje wykształcenie, mądrego i zawsze chętnego, żeby znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania, nawet te teoretycznie nieistniejące.

Teraz wszystko, co mnie do tej pory definiowało jako osobę: pragnienia i potrzeby, ambicje i cele wyznaczające drogi, odeszły w przeszłość. Jednak mogę przywołać ich wspomnienie, moje myśli przedłużają sens marzeń i rozumiem uczucia konieczne, by poczuć pełnię życia. Ja, Perthus Stary, syn znachorki Akrisy, urodzony w górach Ausy, mogę potwierdzić, że mam własny świat, który nadal mnie porusza i daje przyjemność. Jeśli ktoś ma odwagę powiedzieć, że jest to gasnące złudzenie, opierające się na nieuchwytnych bytach, odpowiem mu natychmiast, że świat na szczęście tworzymy sami za pomocą naszych myśli

i wspomnień, pod warunkiem jednak, że bogowie nadal uszanują nasz dar wyobraźni.

Odkąd stałem się autorytetem w mojej dziedzinie, otrzymałem wiele tytułów. Jednak nadal postrzegam siebie jako chłopaka, który z energią i ciekawością biegał po lasach Ausy w poszukiwaniu roślin, kwiatów i korzeni. Matka co wieczór robiła mi listę, a ja musiałem ją zapamiętać i na krótko przed wschodem słońca wyruszyć w drogę, by wykonać zadanie, które było dla mnie jak rozkaz.

– Szukając roślin o brzasku, możesz dostrzec różne szczegóły, subtelną zmianę zieleni, która wychodząc z mroku, staje się błyszcząca, niemal przezroczysta. Zobaczysz też, jak otwierają się pąki – tłumaczyła Akrisa, kiedy pomagałem jej ustawiać koszyki z jagodami, później użytymi do leczenia mieszkańców wioski.

– Jednak w pełnym świetle wszystko jest lepiej widoczne – przemawiała przeze mnie młodzieńcza przekora.

– Nie poznasz lepiej rzeczy, jeśli będziesz je miał ciągle przed oczyma, synu – tłumaczyła cierpliwie matka. – Lepiej odkrywać je powoli, w miarę jak światło obnaża ich ukryte kształty. Wszystko, co istnieje na tym świecie, ma swoje tajemnice. Należy je odkrywać i pozwolić, by powoli same się ujawniały. W ten sposób mądrość każdego z nas rozwija się w tym samym rytmie, w jakim słońce wspina się po górskim zboczu podczas codziennej wędrówki.

Początkowo niewiele rozumiałem z tych rozmów z matką. Niemniej żyłem bardzo intensywnie, wciąż zajęty wykonywaniem jej poleceń. Im większe zdobywałem doświadczenie, tym łatwiej było mi odnaleźć rośliny, których potrzebowała.

Mijałem ostatnie chaty wsi i podążałem drogą prowadzącą obok strumienia płynącego od Montseny, podskakując i biegnąc wzdłuż jego brzegu. Kiedy rozpoznawałem gatunek, jakiego szukałem, zatrzymywałem się i ścinałem go czystym cięciem za pomocą nożyka. Z czasem zacząłem być dumny ze swojej zręczności. Zgodnie z poleceniem matki nikt, kto nie dysponował bystrym okiem zbieracza, nie był w stanie zauważyć żadnej zmiany w tym miejscu.

Zebrane okazy trafiały do cienkiej torby zrobionej przez matkę, ponieważ w worku ze zwykłego płótna pąki i kwiaty się niszczyły. Niektóre rośliny były jednak tak kruche, że zmuszony byłem przez cały dzień nosić je w rękach i przedzierając się przez las, mogłem liczyć tylko na nogi i moje zwinne ciało, którego nie powstydziliby się żaden atleta z Olimpui.

Przez długi czas każdy mój dzień wyglądał podobnie. Zrywałem się z łóżka wcześnie rano, wyglądałem na dwór, żeby sprawdzić, czy nad równiną wstawał już świt, po czym wkładałem czarną wełnianą pelerynę, która chroniła mnie przed zadrapaniami w lesie. Często musiałem przejść przez zaciemniony obszar, żeby dostać się wyżej, gdzie promienie słoneczne, przebijając się przez szczeliny

w koronach drzew, oświetlały mi drogę. Po dojściu na szczyt odwracałem się w kierunku równiny Ausy, która nadal ukryta była w ciemnościach lub we mgle. W takich chwilach cieszyłem się w duchu, że urodziłem się w górach i mogłem oglądać tak piękne widoki.

Zanim jednak dane mi było doświadczyć tych wrażeń, obmywałem twarz wodą z miski, którą matka zostawiała dla mnie każdego wieczoru.

– Las zawsze wymaga od nas czystości ciała i umysłu – mówiła Akrisa, powtarzając słowa przodków.

Jednak pewnego dnia wszystko potoczyło się inaczej niż zazwyczaj. Chociaż nie od samego początku.

Wyszedłem z domu, pobiegłem co sił w nogach nad strumień, by poszukać tam roślin potrzebnych matce. Po paru godzinach, kiedy słońce było już na tyle wysoko, żeby palić liście brzoź, usłyszałem od strony drogi prowadzącej z południa jakieś głosy, co mnie zaniepokoiło.

W tamtych czasach często zdarzały się najazdy na sąsiednie wioski i trzeba było mieć się na baczności. Nam zazdrozczono dostępu do wody, której źródła znajdowały się niedaleko naszego domu. Poza tym dotarły do nas wieści, że Rzymianie interesowali się zbiornikami wodnymi w Montseny. Ci cudzoziemcy o miłym wyglądzie, chociaż podobno niezwyknięci podczas walki, osiedlili się kilka lat wcześniej na niewielkim wzgórzu wznoszącym się pośrodku równiny. Początkowo współzycie z miejscową ludnością okazało się bardzo trudne. Mieszkańcy Ausy przez wiele lat buntowali się przeciwko rzymskiemu panowaniu, jednak wsparcie przez moich ziomków wojsk Juliusza Cezara w trudnych czasach nieco uspokoiło sytuację. Ale pokój, jaki zapanował na ziemiach Ausy, był delikatny jak młody kielek. Każdy mógł go zdeptać i wszystko rozpoczęłoby się od nowa.

Rzymianie sprowadzili ze sobą nowe techniki, które wzbudziły powszechny zachwyt, ponieważ zwiększyły wydajność plonów rolnych. Wkrótce zaczęli budować brukowane drogi i domy z kamienia. Mała wioska Ausa znacznie się rozrosła i wielu okolicznych mieszkańców, którzy do tej pory woleli mieszkać w pobliżu Guilleries czy wokół Montseny, poddało się i skończyło w rzymskiej niewoli.

Z Akrisą mieszkaliśmy w malutkiej wiosce liczącej jakieś dwa tuziny domów, jeśli w ten sposób można nazwać wzniesione na obrzeżach lasu lepianki. Panowało ogólne przekonanie, że Rzymianie zostawili nas w spokoju, ponieważ produkowaliśmy duże ilości miodu, który uwielbiali. Dlatego każdej wiosny przyjeżdżało do nas kilku kupców i wymieniało złocistą melasę na produkty rolne pochodzące z ich pól lub narzędzia, jakimi umieli się posługiwać tylko nieliczni.

Starczy opowiadali wiele historii o relacjach z Rzymianami, jednak zawsze na koniec dodawali zdanie, które najbardziej nas intrygowało...

– Na razie tylko się tutaj osiedlili i szukają sposobów na przeżycie, jednak pewnego dnia to im nie wystarczy i wtedy zaczną się prawdziwe kłopoty.

Mówiło się też, że Rzymianie byli coraz liczniejsi i potrzebowali coraz więcej wody. Na innych obszarach zmienili bieg nurtów rzek za pomocą wielkich konstrukcji wodnych i jeśli rzeczywiście brakowało im wody, było prawdopodobne, że zainteresują się strumieniem przepływającym w pobliżu naszej wsi.

Matka uczyła mnie od najmłodszych lat, żeby polegać tylko na tym, co potrafię rozpoznać: ciepło słońca, kiedy zbliża się południe, spokój wilka, który nie czuje pilnej potrzeby, żeby się najeść, cień na pniu kasztanowca. Jeśli na podstawie podobnych znaków intuicja podpowiadałaby mi, że coś ma się wydarzyć, matka nakazywała mi przyciąć się i ocenić poziom niebezpieczeństwa.

Nigdy tak dokładnie nie przypomniałem sobie jej rad, jak tamtego dnia, kiedy usłyszałem rozlegające się na drodze głosy.

Tego dnia poszukiwania dość szybko zmusiły mnie, by oddalić się od strumienia i wspiąć na wierzchołek wzgórza. Chciałem znaleźć ogórecznik, którego kwiatów pilnie potrzebowała Akrisa. Szef naszej wsi cierpiał na złośliwe czyraki i ich wyleczenie było dla matki poważnym wyzwaniem. Jeśli by jej się to udało, wzmocniłaby swoją pozycję, a wieść o jej umiejętnościach rozeszłaby się po okolicznych wioskach. Chciała poszerzyć swój obszar działania, leczyć więcej ludzi i znajdować nowe wyzwania już od dawna, jednak pewnego dnia, kiedy szukała powoju, zaatakowały ją wilki i straciła nogę. Teraz była zależna ode mnie, leczyła ludzi roślinami, które dla niej zbierałem.

Byłem zbieraczem. Ludzie zaczęli mnie tak nazywać, często zaskoczeni moją wiedzą, zdobytą dzięki uważnemu wysłuchiowaniu nauk Akrisy.

Tamtego dnia poczułem zagrożenie. Zszedłem ze zbocza trochę niżej i widząc kilka wozów eskortowanych przez grupę żołnierzy, zrozumiałem, że nasz świat właśnie przestał być rajem, jaki znałem. Najwyraźniej, zgodnie ze słowami starców z wioski, naszym rzymskim sąsiadom nie wystarczyło to, co mają.

Pobiegłem skrótem, dzięki któremu mogłem dotrzeć do wioski, zanim podróżni miną ostatni zakręt drogi i ujrzą pierwsze chaty. Matka potwierdziła moje podejrzenia, wypowiadając zdanie zrozumiałe dla mnie dopiero po wielu latach:

– Zawsze jest ten drugi raz.

Wraz z pojawieniem się Rzymian znany nam świat zaczął ulegać zmianie. Początkowo odczuliśmy to, kiedy zaczęli naszą dotychczasową wolność ograniczać zasadami, do których mało kto potrafił się dostosować. Nie mogliśmy nocą opuszczać domów ani wychodzić na zasiewy bez wojskowej eskorty. Ludzie przybyli wozami zawładnęli wioską.

Rozkazy pozostałym wydawał mężczyzna w białej szacie. Co rano wychodził do lasu w towarzystwie wychudzonego chłopaka i dwóch żołnierzy,

jednak nikt z nas nie miał pojęcia, co tam robili.

– Szukają tego samego, co ty, Perthusie. Są zbieraczami – powiedziała pewnego dnia Akrisa, patrząc ze smutkiem na drogę prowadzącą do wioski.

– Czy to znaczy, że przyszli ukraść nam rośliny z naszych gór...? Skąd o tym wiesz?

– Wiem, że uważasz góry za swoją własność. Biegasz po nich od dziecka, znasz każdy kamień, każde źdźbło. Wkrótce jednak zrozumiesz, że relacje między narodami nie są łatwe i być może pewnego dnia będziemy musieli porzucić sposób, w jaki żyliśmy do tej pory, nawet jeśli stanowi on dziedzictwo po przodkach.

– Nie bardzo to rozumiem – przyznałem, zatem Akrisa tłumaczyła mi dalej:

– Słyszałam, co powiedział mężczyzna w białej tunice, którego zwał Antoniuszem. Jest rzymskim medykiem i przybył tu zwabiony bogactwem naszych lasów. Najwyraźniej oni również znają leczniczą moc roślin.

– Myślisz, że zamieszkają tutaj? – zapytałem. Teraz wiem, że nie mogłem się pogodzić z myślą, że każdego dnia o świcie już nie będę jedynym panem i władcą pól i lasów.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Falcja przyjęła pod swój dach tych obcych i pozwoliła im u siebie zamieszkać, ale myślę, że nie odmówi, jeśli poproszę ją, żeby podczas ich rozmów nadstawiała uszu. Mam też zadanie dla ciebie.

– Jakie, matko?

Byłem dla niej gotów zrobić wszystko. Słabo pamiętam ojca; zginął podczas najazdu Llergetów, kiedy byłem bardzo mały, po strasznej suszy, która zniszczyła zbiory, i od tamtej pory Akrisa wychowywała mnie sama. Podziwiałem ją. Kiedy straciła nogę, przez wiele dni i nocy siedziałem przy niej, opatrując straszne rany i obsługując klientów, którzy nie zważając na nasze kłopoty, chcieli znaleźć lek na trawiące ich choroby.

– Mógłbyś ich poobserwować z bliska, medyka i jego niewolnika – Akrisa powiedziała łagodnie, a potem jej twarz rozpromieniła się bardziej niż słońce. – Byłoby dobrze się dowiedzieć, czego szukają w naszych górach. Może dałoby to nam nad nimi przewagę. Nikt lepiej od ciebie nie zna okolic wioski, więc z łatwością możesz ich śledzić i poznać ich zamiary.

Nie odpowiedziałem. Spojrzeliśmy na siebie. Wiedziała, że nie muszę się nawet nad tym zastanawiać. Od pewnego czasu wycieczki Rzymian do lasu nie dawały mi spokoju. Budziłem się dwa czy trzy razy w nocy, zastanawiając się, czy odkryli Zakątek Jaszczurki, czy jaskinie u podnóża Niebiańskiego Wzgórza. Matka miała rację. Byłem w stanie śledzić ich niepostrzeżenie w górach i wkrótce odkryć ich sekret. Wszystko wskazywało bowiem na to, że sprowadził ich w nasze strony jakiś tajemniczy cel.

Z zamyślenia wyrывa mnie krzyk mew. Nagle Ausa pozostaje daleko za

mną; przyglądam się, jak ptaki kołują nad łodzią rybacką, która wraca do portu z tak obfitym połowem, że chwilami pełen ryb pokład nabiera błękitnego odcienia i błyszczący się jak odbijające się w morzu promienie słońca stojącego w zenicie. Dwaj rybacy próbują przegonić ptaki wiosłami, jednak stado jest zbyt liczne i nie wszystkie uciekają. Kiedy któraś z mew porwie jakąś rybę, odlatuje na nadbrzeżne skały, by po chwili wrócić, gotowa zaryzykować życiem, by zapewnić pożywienie pisklętom.

Kiedy tak siedzę na falochronie, ponownie dopada mnie wrażenie złudzenia. Jest tak intensywne, że łapię się na tym, jak uważnie obserwuję południowy falochron, dziwiąc się, że nie widzę nikogo na jego krańcu. Być może kogoś takiego jak ja, zapatrzonego i rozmyślającego, wspominającego i marzącego; w każdym razie kogoś, kto wie, gdzie podobny do mojego żywot, czekając na swoją ostatnią podróż.

Jednak na południowym falochronie nigdy nikogo nie ma; nikt nie szuka mnie wzrokiem wśród refleksów dnia, srebrnych rys na niebieskim morzu, którego odcień można jedynie porównać do nocnego nieba. Mam wrażenie, jakby noc znalazła schronienie w bezmiarze wody i czekała na zachód słońca, żeby ponownie się pojawić.

Rozczarowany tą nieobecnością, powoli wstaję z zamiarem powrotu do miasta. Nie czeka mnie długa droga, chociaż mój dom znajduje się w górnej jego części, niedaleko miejsca, gdzie podobno ma powstać cyrk zapewniający rozrywkę mieszkańcom Tarraco. Słyszałem o tych przedstawieniach, w których główną rolę odgrywa przemoc i śmierć. Wiem, że nie będę żałował, iż się ich nie doczekałem. Umrę, zanim dokończą jego budowę – a przynajmniej tego bym sobie życzył – chociaż nie mam nic przeciwko temu, żeby inni się nim cieszyli.

Tym są właśnie zalety braku konieczności ścigania się z czasem i życia wspomnieniami. Jestem miłośnikiem teatru. Lubiłem oglądać tragedie, jakie odziedziczyliśmy po Grekach, jednak również komedie naszych autorów. Sam się sobie dziwię, że tak silnie przejąłem rzymskie zwyczaje; obiecałem sobie przecież, że nigdy nie wyprę się pochodzenia z lasów Ausy. Jednak życie nauczyło mnie, że można przynależeć do wielu miejsc i kochać na równi różne narody i krajobrazy. Mamy możliwość wyboru i jeśli dokładnie rozważymy nasze opcje i przyjmujemy je bez uprzedzeń, możemy przekroczyć granice naszego przywiązania.

Teatr jednak polubiłem od pierwszego razu, kiedy zaraz po przyjeździe do Tarraco obejrzałem *Antygonę*.

Jednak to zupełnie inna historia i nie mam zamiaru sobie teraz jej przypominać. Muszę zebrać w sobie wszystkie siły i krok po kroku wrócić do domu, napić się naparu z tymianku, łagodzącego chrypkę męczącą mnie od kilku miesięcy, i udać się na odpoczynek, podczas którego będę wciąż wspominał moje życie.

Nieustannie dziwię się, że śniąc o przeszłości, dopiero teraz przeżywam ją w pełni.



*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Zadanie Trepsa nie było łatwe. Rzadko bywał w miejskim więzieniu – parterowym budynku dobudowanym z tyłu wieży Minerwy, przez co częściowo osłoniętym przez mury miasta. Przerazały go opowieści o wtrąconych do niego nieszczęśnikach. To tam po długich torturach umarł jego przyjaciel z dzieciństwa, taki sam jak on biedny rolnik, zmuszany do służby u bogatych ludzi, dopóki nie popadł u nich w niełaskę. Powody? Nie znał ich. Prosił wtedy Liwię Druzyllę, żeby wstawiła się u cesarza, by ten darował mu życie.

Jednak jej pomoc przyszła za późno. Kilka godzin po rozmowie z żoną Augusta Trepsa został wezwany przed oblicze cesarza. Sądził, że Liwia uratuje jego przyjaciela, a on zapamięta to jako kolejną na liście wielu przysług, jakie mu robiła. Stało się inaczej. Więzień zmarł na skutek kary wymierzonej mu za popełnione winy. Znając bezduszną, z jaką oprawcy zawsze wykonywali swoją robotę, Trepsa nie zaskoczyła jego śmierć.

Mimo to Trepsa wierzył w słowność Liwii Druzylli i jej chęć pomocy. Nie miał powodów, aby myśleć inaczej. Potrafiła być okrutna dla tych, którzy się jej sprzeciwiali, jednak jego zawsze traktowała dobrze. Bez wątpienia zawdzięczał jej swoją pozycję najbardziej szanowanego niewolnika w Tarraco. W innym wypadku odmówiłby stanowczo wykonania zadania, które właśnie mu zleciła, nawet jeśli miałyoby to oznaczać dla niego kłopoty.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, ryzykuję wolnością...

Wyszeptał te słowa do siebie, nie zwracając uwagi, że mógł go usłyszeć towarzyszący mu centurion, którego Liwia wybrała osobiście, by uwiarygodnić żądanie wydania więźnia Trepsowi w oczach strażników. Był to starszy, samotny mężczyzna, który odmówił przejścia na emeryturę. Z pewnością, zabierając zaufanego człowieka żony Oktawiana na rutynowy patrol, nie spodziewał się, że zakończy się on w sposób, jaki zaplanowano.

Tak jak mówiła Liwia Druzylla, więzienie było strzeżone tylko przez jednego dozorcę. Ten przeczytał dokument, który podał mu centurion, i ukazując w pośępnym uśmiechu zepsute zęby, kazał im pójść za sobą. Wewnątrz więzienia unosił się zapach zgnilizny i wilgoci zmieszany z przerażającą ciszą, jakby więźniowie stracili nadzieję, że ich jęki na coś się zdadzą.

– Nie musisz iść z nami dalej – odezwał się Trepsa do centuriona, schodząc za strażnikiem schodami do przerażającego miejsca, gdzie mieściły się cele.

Centurion został przy drzwiach, nieświadomy zamiarów zausznika Liwii Druzylli. Wiedział tylko, że przez cały czas miał spełniać jego polecenia, pomimo że Trepsa był niewolnikiem, a on wolnym obywatelem, weteranem, który przekroczył Rubikon ze zwycięskimi legionami Juliusza Cezara.

W dzieciństwie do obowiązków Trepsa należało karmienie odpadkami świń hodowanych przez jego rodzinę, lecz smród dochodzący z cel był jeszcze gorszy niż w chlewie. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie to miejsce. Obawiał się, że trudno mu będzie wykonać zadanie w obecności przyglądających mu się lub nadstawiających uszu skazanych, jednak więzienie wyglądało na wymarłe. Jedyne z jakiegoś posępnego i niewidocznego lochu słyhać było pokasywania, mogące stanowić jedynie preludium śmierci.

Nikt nie tłukł w zamknięte drzwi ani nie błagał o pomoc. Podziemia przepełniała cisza. Tylko kilka szcurek spacerowało jakby nigdy nic po ziemi, najwyraźniej czując się jak u siebie w domu.

Strażnik wskazał ręką drzwi, przed którymi się zatrzymali, wyjął blokujący je drąg i władcym tonem ożywionym oparami miodu pitnego zawołał Sullę, nie otrzymując jednak żadnej odpowiedzi. Mężczyźni weszli do celi i przez chwilę starali się przyzwyczaić wzrok do panującej wokół ciemności, rozjaśnianej jedynie płomieniem pochodni, jaką ze sobą przynieśli.

Chłopak, którego Trepsa zamierzał uwolnić, siedział oparty plecami o ścianę ze zwieszonymi ramionami. „Miał pecha trafić w miejsce, gdzie nikt go nie zapraszał” – pomyślał niewolnik. Jego oczy – jedyna widoczna w ciemnościach część ciała – zdradzały strach, jednak również wielką determinację, rzadko widywaną u więźnia.

– Mam rozkaz, żeby cię stąd zabrać – oświadczył człowiek Liwii Druzylli, starając się wyglądać na pewnego siebie, chociaż z marnym skutkiem, ponieważ z trudem łapał oddech.

– Rusz się! Nie słyszysz, co się do ciebie mówi?! – krzyknął strażnik, wywijając dębową pałką, która złamała już niejednego twardego kręgosłup.

– To nie będzie potrzebne, draniu – mruknął Trepsa, ku zaskoczeniu więźnia.

Pałka spadła bezładnie na ziemię, tracąc nagle impet; niezniszczalny kawałek drewna leżał teraz w miękkim błocie i ekskrementach pokrywających podłogę celi. Trepsa był bardzo szybki. Stojąc za strażnikiem, podciął mu gardło tak precyzyjnym ruchem, że nawet więzień ledwie go zauważył, chociaż nie znając powodu ich wizyty, zachowywał najwyższą czujność. Niewolnik podszedł do chłopaka i wyciągnął do niego rękę.

– Chodź! Nie mamy czasu do stracenia, jeśli ci życie miłe. – Sulla, rozumiejąc nagle brutalność rozegranej przed chwilą sceny, z ociąganiem zaczął iść

ku niemu w ciemnościach i błocie. Trepso doszedł do wniosku, że musi wykorzystać jego dezorientowanie, by uniknąć kłopotów. Wyjął spod tuniki niewielką pałkę i uderzył nią chłopaka, który stracił przytomność. Początkowy plan uległ zmianie, lecz bez wątpienia na lepsze. Zostawił Sullę w celi i wbiegając po schodach, zawołał centuriona czekającego na zewnątrz.

– Potrzebuję cię, sprawa się skomplikowała – powiedział, po czym dodał – bardzo mi przykro! – i popchnął żołnierza w dół schodów.

Chociaż staczające się po stopniach ciało centuriona i uderzenie o ziemię narobiło dużo hałasu, w lochach nie słyhać było żadnej reakcji. Trepso dobił nieszczęśnika, wrócił do celi, w której Sulla spał bolesnym snem, i zarzucił go sobie na plecy. Więzień ważył co najmniej tyle, ile dwa dobrze odżywione prosiaki, jednak nie stanowiło to żadnego problemu dla krzepkiego niewolnika Liwii Druzylli.

O tej porze mieszkańcy wracali wyczerpani po pracy do domów i siadali do najważniejszego posiłku dnia. Jego pani zadbała, żeby po okolicy nie kręciły się patrole. Z łatwością wyniósł chłopaka z więzienia i wrzucił na stojący nieopodal wóz. Przykrył Sullę świeżą słomą i ruszyli w kierunku murów, do bramy wychodzącej na via Augusta, zwanej przez wszystkich nadal via Hercuea.

Żołnierze strzegący głównej bramy miasta również nie robili mu trudności na widok dokumentu podpisanego przez Liwię Druzyllę. „Wszystko poszło zgodnie z planem” – pomyślał Trepso. Młody Sulla był wolny i wkrótce znajdzie się na tyle daleko od Tarraco, żeby w mieście myślano, że zapadł się pod ziemię.

Lukanos był blisko poznania odpowiedzi na niektóre z dręczących go pytań. Zrozumiał to, przechodząc przez ulicę i mijając blokadę żołnierzy, którzy rozstępowali się przed nim w miarę, jak parł do przodu, chociaż dosłyszał szepty i dojrzał kilka drwiących spojrzeń. Innym razem zatrzymałby się i poskarżył ich dowódcy, jednak tym razem uznał, że lepiej będzie się powstrzymać. Centurion Lucjusz wszedł za nim do pałacu, jednak zatrzymano go przed wejściem do sali audiencyjnej.

– Lukanosie! Co za niespodzianka! Widzę, że moja straż już wie o twoim przyjeździe, lecz ja nie sądziłam, że wrócisz z Llerdy tak szybko. Nie ulega wątpliwości, że masz świetnych informatorów, skoro wiadomości dotarły do ciebie w takim tempie.

Nigdy nie było wiadomo, czy Liwia Druzylla mówiła szczerze, czy jej słowa miały ukryty podtekst i syn Manniego nigdy nie wiedział, co na ten temat myśleć. Zmieszany wbił wzrok w posadzkę, w której ujrzał własne odbicie. Cień jego postaci docierał aż do stóp jego rozmówczyni, co go uspokoiło. Żona Oktawiana mogła błyszczeć w świetle dnia, ale to on był olbrzymim cieniem, który jej groził. Nie robił sobie jednak większych nadziei. Wiedział, że osiągnie swój cel tylko wtedy, gdy będzie w stanie sprowadzić rozmowę na odpowiednie tory.

Skłonił się i zapadł w wyczekujące milczenie. Żona cesarza jeszcze nie złożyła mu kondolencji, co było nietypowe, biorąc pod uwagę jej zwyczajową serdeczność, nawet jeśli krył się pod nią fałsz i niedomówienia.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca... To wielka strata dla cesarstwa. Oktawian nadal nie otrząsnął się z tego ciosu i sądzę, że nie będzie to dla niego łatwe.

– Wiem, Liwio, i bogowie mi świadkami, że wróciłem z Llerdy, myśląc tylko o tym, by pomścić jego śmierć, nawet jeśli musiałbym szukać winnych do końca życia.

– Chwała ci za to jako jego synowi, lecz sprawą powinien zająć się cesarz. Manni nie był zwykłym żołnierzem, podlegającym prawu ludu. To sam Oktawian mianował go gubernatorem. Nie zapominaj o tym.

– Oczywiście, masz rację, ale na wieść o jego śmierci zagotowała mi się

krw w żyłach. Jak to możliwe, że doszło do tak zdradzieckiego czynu w tak bezpiecznym mieście, jakim jest Tarraco? Czy my, Rzymianie, nie potrafimy się już bronić?

Syn Manniego zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko. Jeśli pójdzie tą drogą, jego słowa mogły zostać zrozumiane jako tęsknota za republiką. Niejeden obywatel został osądzony i skazany za takie zachowanie, chociaż Oktawian przed senatem udawał co innego.

– Władza zawsze ma swoich wrogów, drogi Lukanosie. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej od innych, ponieważ byłeś świadkiem różnych wydarzeń za czasów cesarstwa. Chyba że moje informacje okażą się prawdziwe i narobiłeś sobie groźnych wrogów, sprawując funkcję edyla. Otrzymałam wiele pisemnych skarg na twoje działania, a niektóre pochodzą od wpływowych kupców.

– Jeśli pozwolisz, nie będziemy rozmawiać teraz na ten temat... Priorytetem jest śmierć gubernatora. Słyszałem, że zabójca mojego ojca został pojmany i aresztowany. Powiedz, kim on jest. Dosięgnie go mój miecz.

– Sądziłam, że z nas dwojga to ja decyduję o priorytetach, Lukanosie, i nadal tak pozostanie – odpowiedziała Liwia Druzylla gniewnym tonem, który w uszach młodego edyla zabrzmiał fałszywie. – Już ci oświadczyłam, że jest to więzień cesarza i jedynie Oktawian ma prawo zezwolić komukolwiek na odwiedzenie go w więzieniu. To on zdecyduje, czy powinien zostać osądzony, czy czeka go inny los.

– Cesarz czy ty? – zapytał Lukanos, zdobywszy się na śmiałość, gdy zauważył wahanie Liwii, widoczne bardziej w jej pozie niż słowach.

– Nie mam wystarczających wpływów ani ochoty pomagać ci w tej sprawie, Lukanosie. Będziesz musiał zaczekać na decyzję cesarza. Jeśli jednak nadal będziesz się przy tym upierał, możliwe, że będziesz miał okazję, by stanąć twarzą w twarz z zabójcą Manniego. Rozkażę, żeby zamknięto was w tej samej celi.

Po tej wymianie zdań syn gubernatora zrozumiał, że rozmowa zesłała na niebezpieczne tory. Pozwolił ponieść się niechęci, jaką darzył tę kobietę, lecz nie osiągnie zbyt wiele, zadzierając z nią. Musiał pozostać na wolności, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jeśli nie zakończy przedstawienia, które miał zamiar odegrać, wystawi na niebezpieczeństwo swoje plany.

– Masz rację, Liwio. Wybacz mi, jednak musisz zrozumieć moje wzburzenie. Wyruszyłem do Llerdy, by za radą ojca poznać nasze terytoria. I nagle dociera do mnie wiadomość, po otrzymaniu której nie mogłem postąpić inaczej, jak tylko wrócić. Dowiaduję się, że Manni został zamordowany, a do tego jeszcze po powrocie do domu nie zastaję nikogo oprócz służby.

– Wiem, co czujesz, Lukanosie, i szanuję twoje oddanie oraz posłuszeństwo woli ojca, jednak musisz zrozumieć, że opuszczając dom, nie zawsze dane jest nam zastać go w stanie, w jakim go zostawiliśmy – odparła Liwia Druzylla tajemniczo,

choć wyglądała na zadowoloną, że syn gubernatora spuścił z tonu.

– Nawet jeśli znika z niego własna siostra? – upierał się Lukanos, widząc, że jego aluzje na nic się zdały.

– Jednak wiesz już przecież, że twoja siostra jest ze mną. Poprosiła mnie, by mogła przez kilka dni pozostać tutaj, w pałacu. Jesteś inteligentnym człowiekiem i przypuszczam, że to rozumiesz. Straciła najbliższą sobie osobę, w domu zapanował chaos, a ona potrzebuje spokoju. Należy jej się w tak trudnych chwilach.

– Ale ja jestem jej rodziną! Jak śmie opuszczać mnie bez słowa? Jej zachowanie nie spodobałoby się naszemu ojcu. A co z moimi uczuciami? Czy moja samotność i cierpienie się nie liczą?! – zawołał urażony.

– A ty, mówiąc o swoich prawach, jak śmiesz podważać mój autorytet?

– Liwio... Pani, nie kwestionuję go, jednak teraz to ja przejmuję odpowiedzialność za siostrę.

– Tak, jednak tylko jeśli ja lub cesarz nie zdecydujemy inaczej. Chyba nie będziesz się nam sprzeciwiał? A może wręcz przeciwnie, masz zamiar powołać się na dawne prawo republiki? Czy uznajesz władzę Oktawiana? To ważne pytania w obecnych czasach.

Lukanosa zaskoczyła pewność słów Liwii Druzylli. Wydało mu się, że jego cień już nie zagrażał małżonce cesarza, raczej leżał u jej stóp. Musiał skierować rozmowę na inny temat. Sprawy zaszły za daleko i kontynuowanie tej dyskusji było ryzykowne.

– Sprzeciwiać się? Nie, jak możesz tak mówić. Jestem dłużnikiem cesarza. Zawdzięczam mu stanowisko edyla, a losy mojej rodziny zawsze były silnie związane z losami cesarstwa i cesarza. Mam przynajmniej nadzieję, że będę mógł zobaczyć się z Adrianą.

Na znak Liwii z komnaty obok wyszła Adriana. Lukanos nie mógł uwierzyć, że przez cały czas była tak blisko. Zmieszany, zrobił krok do tyłu.

– Macie tylko kilka minut – powiedziała żona Oktawiana, wstając i zostawiając ich samych. Odchodząc, położyła rękę na ramieniu dziewczyny i wymieniły pełne zaufania spojrzenia.

Oniemiały Lukanos nadal nie był w stanie się poruszyć. Wstydził się na samą myśl, że Adriana mogła usłyszeć jego rozmowę z Liwią. W końcu zbliżył się do siostry i kiedy tylko żona cesarza opuściła komnatę, złapał ją mocno za ramiona. Dziewczyna milczała, spodziewając się ostrzejszej reakcji z jego strony, ale on w pałacu nie mógł sobie na nią pozwolić.

– Jak śmiesz się tu ukrywać? Co ludzie o nas pomyślą, jeśli nie zachowujesz godności w obliczu nieszczęścia, jakie nas spotkało? Natychmiast pójdziesz ze mną do domu. Kiedy wróci Liwia, oznajmisz jej swoją decyzję.

– Liwia jest moją przyjaciółką... – odparła Adriana, a po policzku pocięła

jej łza będąca wyrazem bólu, jaki sprawiał jej Lukanos. – I nigdy nie spełnię twojej prośby, nawet jeśli miałabym przez to zginąć.

– Przyjaciółka! Jak mało wiesz o ludziach trzymających władzę, Adriano! Ona nie ma przyjaciół, a taka naiwna dziewczyna jak ty nie pomoże jej w spełnieniu własnych ambicji. Poza tym źle mnie zrozumiałaś. O nic cię nie proszę. To jest rozkaz...

– Uważasz, że możesz wydawać mi rozkazy? Ty, który próbujesz się do mnie dobierać i zmuszać mnie do postępowania wbrew mojej woli?

Lukanos stracił cierpliwość, słysząc tak dobitnie wypowiedziane słowa. Kiedy uderzył Adrianę otwartą dłonią, dziewczyna zatoczyła się aż do krzesła, na którym chwilę wcześniej siedziała Liwia Druzylla. Chwycił ją za ramię i zaczął ciągnąć po marmurowej posadzce. Postanowił zabrać ją do domu, nawet jeśli musiałby stawić czoła całej pałacowej straży.

Jednak szybka interwencja żołnierzy udaremniła jego zamiary. Na widok otaczających ich sześciu legionistów, w pierwszym odruchu wyciągnął miecz. Trzymając go w dłoni, ujrzał jak Liwia Druzylla weszła do kręgu utworzonego przez żołnierzy.

– Po tym, co wcześniej od ciebie usłyszałam, nie jest dla mnie zaskoczeniem, że masz czelność wszczynać bójkę w moim domu. Adriana ma absolutną rację: nie masz prawa wydawać jej rozkazów. Tym bardziej, dopóki jest pod moją opieką.

– Splamiła mój honor! Nie dziw się zatem mojej reakcji.

– Możesz uratować swój honor, Lukanosie. Jesteś tylko oślepionym wściekłym młokosem, jednak nie pozwolę, żebyś przeniósł tę złość na mieszkańców tego domu. I nie powiem nic więcej z szacunku dla twojego ojca. Powinieneś być mu wdzięczny, ponieważ chroni cię nawet po śmierci. A teraz wynoś się stąd, zanim rozkażę aresztować cię za stawianie oporu zwierzchniej władzy. Wynoś się!

– Nie zostawię tak tego, Liwio Druzyllu! Porozmawiam z cesarzem, a jeśli będzie trzeba, poinformuję go, że nie szanujesz praw, które z rzymskiego narodu uczyniły potęgę.

– Wyprowadźcie go! – zawołała żona Oktawiana do żołnierzy, którzy ruszyli, by wykonać jej rozkaz z wyraźnym zadowoleniem. – I dopilnujcie, żeby jego noga już nigdy nie powstała w tym domu.

Lukanos po raz ostatni spojrział na Adrianę, jakby chcąc jej powiedzieć: będziesz moja, nawet jeśli oznacza to walkę z samym cesarzem. Ona jednak pozostała niewzruszona. Syn Manniego opuścił pałac, potykając się wśród wybuchów śmiechu legionistów. Jednak jeszcze zanim wyrzucono go na ulicę, obolałego i znieważonego ciosem w żebra, zrozumiał, jak wielki popełnił błąd, zadzierając z Liwią Druzyllą.

Leżąc przez chwilę na bruku i próbując wypluć ziemię, która dostała mu się

do ust, poczuł, że stracił jeden ząb. Pomyślał, że zaprzepaścił wszystkie marzenia z powodu pożądania, którego nie potrafił pohamować. Lucjusz podszedł i wyciągnął do niego rękę, jednak Lukanos widząc na jego twarzy ledwie dostrzegalny uśmiech, stanowczo odrzucił tę pomoc.

– Teraz cię już nie potrzebuję! Gdzie byłeś, kiedy bito mnie bez powodu? Czy zachowałbyś się tak samo, gdyby chodziło o mojego ojca?

Na zazwyczaj niewzruszonej i trudnej do rozszyfrowania twarzy Lucjusza tym razem malowała się wyraźnie odpowiedź. Lukanos nawet tego nie zauważył. Uznał, że nie pozostawało mu nic innego, jak wprowadzić w życie swój plan i otoczyć się wpływowymi przyjaciółmi.

I tylko jeden człowiek mógł mu w tym pomóc. Wergiliusz.



Nie miał czasu do stracenia. Musiał zapomnieć o ostatnim epizodzie i wzmocnić sojusz z Wergiliuszem, lecz znaleźć również poparcie dla swojego pomysłu wśród przyjaciół ojca. Jedynie w ten sposób może zachować pewne wpływy w Tarraco i zapewnić sobie udział w przedsięwzięciu, jakie obmyślił wspólnie z rzymskimi senatorami. Obawiał się jednak reakcji duumwira Llerdy na wieść o zaginięciu jego ludzi.

Tymczasem miał jeszcze jedno zmartwienie. Nie udało mu się poznać tożsamości człowieka wtrąconego do więzienia za zabicie jego ojca. Wrócił do domu, żeby zmienić zabrudzoną ziemię tunikę. Po wyjściu do atrium ponownie zobaczył Lucjusza, który, mimo że poruszyła go kłótnia Lukanosa z żoną cesarza, uważał, że przez wzgląd na pamięć Manniego powinien nadal czuwać nad jego synem.

– Lucjuszu! Mam nadzieję, że nie wystraszyło cię zachowanie Liwii Druzylli. Czy mogę na ciebie liczyć?

– Służyłem waszemu ojcu i jak dotąd nikt mi nie zabronił pozostawać na waszych usługach – odpowiedział legionista głosem, w którym zabrzmiało niezdecydowanie.

– W takim razie chodź ze mną. Musimy dowiedzieć się kilku rzeczy, zanim będzie za późno.

Synowi gubernatora nie spodobało się wahanie Lucjusza, jednak potrzebował tego człowieka. Obaj wyszli z domu i ruszyli w dół ulicy w kierunku *Decumenus Maximus*, jednej z głównych ulic miasta. Przechodząc obok pałacu Oktawiana, musieli znieść kpiny stojących na straży żołnierzy, którzy zamilkli pod pogardliwym spojrzeniem Lukanosa, nie mając pewności, do jakiego stopnia mogli posunąć się w drwinach w stosunku do człowieka, który wciąż był edylem, mianowanym przez samego cesarza.

Lucjusz szedł posłusznie za Lukanosem, do którego od czasu do czasu podchodzili ludzie, żeby złożyć mu kondolencje, jednak młodzieniec ledwie odpowiadał na pozdrowienia, nie zwalniając kroku. Gdy zbliżali się do celu, Lucjusz podzielił się z nim wątpliwościami.

– Nie wiem, czy to jest najlepszy moment, żeby wejść do więzienia, jeśli taki

właśnie macie zamiar. Słyszałem, że Liwia Druzylla rozkazała podwoić strażę.

– Naprawdę? A dlaczego żona Oktawiana tak bardzo troszczy się o więźniów? Nie chce, żeby tożsamość zabójcy wyszła na jaw? A może nikogo nie ujęto i cała sprawa jest mistyfikacją? Tylko jaki jest jej cel?

– Nie chce? Ależ panie, przecież całe Tarraco wie, kim jest zabójca! Sądziłem, że wy również!

Lukanos nie od razu zareagował na to stwierdzenie. Było oczywiste, że z powodu nieudanej podróży do Llerdy nie zdążył jeszcze być ze wszystkim na bieżąco. Słyszając, że Lucjusz znał tak ważną dla niego informację, wpadł we wściekłość.

– Dlaczego więc zwlekasz z wyjawieniem mi imienia zabójcy mojego ojca, centurionie? Podobno jesteś po mojej stronie.

– Rozumiem wasz gniew, panie, jednak zabójstwo Manniego jest sprawą wagi państwowej i Liwia Druzylla postanowiła zająć się nią osobiście – odrzekł Lucjusz, zaniepokojony wybuchem gniewu syna gubernatora. Jednak widząc jego pytające spojrzenie, dodał: – To Sulla Likinos, którego doskonale znacie, ponieważ, jeśli się nie mylę, dzielił z wami nauczyciela.

– Sulla zabił mojego ojca?! – wykrzyknął Lukanos, nie skrywając niedowierzania. To była największa nedorzecznosc, jaką do tej pory usłyszał... Jednocześnie uspokajała wiele jego dotychczasowych obaw.

Przerwali rozmowę, docierając do więzienia. Lukanos odetchnął z ulgą na wieść, że więźniem nie był żaden z jego ludzi, jednak jeśli chciał uwiarygodnić swoją rolę w odgrywanej farsie, musiał okazać Sulli nieustępliwość. Przez chwilę zrobiło mu się żal towarzysza nauk. Lubił go, być może dlatego, że nigdy się nie wywyższał, a jego zawsze traktował z szacunkiem. To był chłopak, który wiedział, gdzie jest jego miejsce. Niemniej teraz Lukanosa zupełnie nie obchodził jego los. Jeśli nadarzy się okazja, żeby go zlikwidować, być może sprawa morderstwa uznana zostanie za zamkniętą i wszyscy o niej zapomną.

W więzieniu panował zamęt, a grupa zdenerwowanych żołnierzy biegała tam i z powrotem. Przed bramą leżały dwa martwe ciała: legionisty, którego Lukanos nie znał, i drugiego mężczyzny, który był prawdopodobnie więziennym strażnikiem. Łatwo było się domyślić, co się stało. Lucjusz próbował dowiedzieć się szczegółów, po czym odezwał się do Lukanosa:

– Wygląda na to, że Sulla uciekł z więzienia, zabijając po drodze strażnika. To definitywnie potwierdza jego winę.

– Ale jak udało mu się zabić dwie osoby? Nie jest żołnierzem. Pamiętam jak kiedyś, podczas wspólnych ćwiczeń, rozbroiłem go w kilka minut... – zastanawiał się na głos Lukanos, który na chwilę zapomniał, że tylko on wie o niewinności Sulli.

– Myślicie, że nie będzie w stanie stawić czoła dzikim zwierzętom w cyrku

w Rzymie? Bo z pewnością zabójcę tak ważnej osoby, jaką był wasz ojciec, może czekać tylko taka kara, którą Oktawian orzeknie ku przestrodze innym.

– To oczywiste – odpowiedział Lukanos, zbierając się w sobie. – Powinien wiedzieć, że i tak jest stracony. Jeśli go nie znajdą, sam to zrobię i zadam mu śmierć, na jaką zasłużył.

– To nie będzie takie proste, panie. Jeszcze nie całkiem udało nam się zawładnąć tym terytorium. Jeśli ukryje się w górach, nawet cały legion nie będzie w stanie go odnaleźć.

– To się jeszcze okaże!

Lucjusz dalej wypytywał żołnierzy, tymczasem edyl oddalił się w bardziej spokojne miejsce. Nie rozumiał, co się dzieje. Sulla nie był zabójcą jego ojca, jednak Lukanosowi było na rękę, jeśli chłopak pozostałby nadal podejrzanym. Pomyślał, że w związku z ucieczką Sulli nie może dłużej odkładać wizyty, którą planował od powrotu do Tarraco.

Poinformował Lucjusza, że wraca do domu, by trochę odpocząć, i już nie potrzebuje jego towarzystwa. Chciał pobyć sam, zastanowić się nad dalszymi krokami i zdecydować, komu z najbliższego otoczenia ojca mógłby zaufać. Wiedział, że zaskarwienie sobie kogokolwiek do swoich planów będzie trudne, bo nie był mocny w języku, szczególnie wówczas, kiedy musiał być przekonujący. Wszedł do domu tylnym wejściem, żeby nie dostać się ponownie pod ostrzał spojrzeń i inwektyw żołnierzy Liwii Druzylli.

Jednak to nie był koniec niespodzianek – w atrium odpoczywał, czekając na niego, posłaniec od Wergiliusza.

– Mam dla was wiadomość, panie – mężczyzna odezwał się nieśmiało na jego widok.

– Wiem, kim jesteś – odpowiedział Lukanos, przypominając sobie, że widział go w domu współnika. – Gdzie ta wiadomość?

– Na wszelki wypadek nauczyłem się jej na pamięć... – Lukanos zaprowadził go w miejsce, które wydawało mu się najbezpieczniejsze; szpiedzy Liwii Druzylli mogli być wszędzie. – ...Powiedział, że przybędzie tu jutro i żebyście do tego czasu nie podejmowali żadnych kroków.

– Dobrze! Domyślam się, że jest już w drodze i że powinieneś wyjechać mu na spotkanie. Odpocznij, a następnie wyruszaj bez zwłoki naprzeciw niego. Powiedz mu, że postąpię zgodnie z jego prośbą i nie musi się o nic obawiać.

Lukanos rozkazał służącym, by zajęli się posłańcem, a następnie zabrał z komnaty pewną buteleczkę i nie czekając na wyjazd człowieka Wergiliusza, opuścił dom.

Ma pozostawać beczynnie?! Oczywiście, że będzie działał, zanim sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej. Ma do załatwienia pewną sprawę, z którą i tak już zbyt długo zwlekał.

Syn gubernatora poszedł w stronę portu bocznymi uliczkami, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

15.

Apollodoros wybrał się tego ranka do publicznych łaźni znajdujących się w dolnej części Tarraco. Lubił dbać o higienę, o czym często również przypominał uczniom. Jednak kiedy doszedł do drzwi łaźni, zatrzymał się i spojrzał na budynek. Chwilę później odwrócił się i ruszył w górę ulicy.

Nie miał już tylu sił co kiedyś i coraz częściej w czasie wędrówek odczuwał ból w nogach. Jego stan fizyczny pogorszał się z dnia na dzień, do czego nie chciał się przed samym sobą przyznać. „Gdybym zaczął podpierać się laską – pomyślał – to choć ucierpiałaby na tym moja próżność, jednak ułatwiłoby mi to spacery po stromych uliczkach miasta, które tak polubiłem”.

Rok wcześniej, kiedy przybył tu wraz ze świtą towarzyszącą cesarzowi, nie przypuszczał nawet, że Tarraco przekona go do siebie swoją witalnością. Dzięki łagodnemu klimatowi lepiej też znosił artretyzm, na który cierpiał od wczesnej młodości. Większość czasu spędzał na nauczaniu swoich prominentnych uczniów, Lukanosa i Adriany, jednak gdy poznał Sullę, chłopak od pierwszej chwili skradł mu serce.

Sulla Likinos nie tylko był przykładnym uczniem, zainteresowanym każdym tematem, pilnym i skłonny do wielkiego wysiłku, by rekompensować sobie swoje dotychczasowe życie, w którym rzadko zaglądał do książek, ale miał też duże aspiracje. Chciał zostać nauczycielem i przekazywać nabytą wiedzę innym uczniom. Apollodoros, człowiek o niewzruszonych przekonaniach i sekundujący zamiarom cesarza, chcącego nadać impuls sztukom i literaturze, był zachwycony takimi ambicjami.

Stary nauczyciel tak bardzo pogrążył się w myślach, że zapomniał całkowicie o bólu zmęczonych nóg. Po otrzymaniu nieprzyjemnej wiadomości rozmyślał nad nią przez całe poprzednie popołudnie. W końcu, kiedy wszystko wskazywało na to, że kolejny dzień nie będzie różnił się od pozostałych, podjął decyzję, że musi coś z tym zrobić. Jednak to oznaczało, że będzie musiał stawić czoła osobie, z którą już od dawna dzieliły go poważne różnice poglądów – Liwii Druzylli.

Apollodoros nie zawsze był zwykłym nauczycielem. Podczas trudnego okresu cesarstwa, kiedy Oktawian walczył z Markiem Antoniuszem, był swego

rodzaju doradcą tego pierwszego. To właśnie wtedy przyszły cesarz zakochał się bez pamięci w tej kobiecie. Apollodoros był przeciwny ich związkowi, ponieważ Liwia Druzylla miała za sobą bardzo niewygodną przeszłość. Jej poprzedni mąż, Tyberiusz Klaudiusz, należał do stronnictwa opowiadającego się przeciwko planom Oktawiana, a do tego jeszcze była matką Tyberiusza, który w pewnym momencie mógł upomnieć się o władzę.

W historii Rzymu pełno było podobnych wypadków: synów dążących do zemsty, kiedy pozbawiano ich ról zgodnych z ich pochodzeniem. Jednak uczucie Oktawiana było silniejsze od jakichkolwiek argumentów. Liwia Druzylla, w opinii Apollodorosa kobieta o równie wielkich cnotach co wadach, została małżonką przyszłego cesarza. Z czasem nauczyciel musiał jednak przyznać, że zasłużyła sobie na miano najpotężniejszej kobiety Rzymu.

Liwia Druzylla, pomna oporu doradcy męża, pozbawiła go stanowiska. Jednak Oktawian, który bardzo go sobie cenił, nadal zabierał Apollodorosa na wszystkie swoje wyprawy, chociaż już nie w tak ważnej funkcji. Obecnie, kiedy cesarz ustanowił Tarraco stolicą imperium i przyczółkiem operacji wojskowych prowadzonych przeciwko Kantabrom, jego były doradca stał się wyłącznie doświadczonym i szanowanym przez rodziców uczniów nauczycielem, między innymi przez nieszczęsnego Manniego.

Mimo że Sulla był jego uczniem zaledwie od roku, to, co się wydarzyło, stawiało w niekorzystnym świetle również jego, Apollodorosa. Co gorsza, oznaczało dla niego problem moralny. Zawsze powtarzał, że jego uczniowie są jego dziećmi, a ich inteligencja stanowi najsilniejszą więź, jaka może istnieć pomiędzy dwiema osobami. Czuł się w obowiązku zainterweniować i wyjaśnić motywy, jakie skierowały Sullę w stronę zabójstwa. Pod warunkiem, że naprawdę był winny.

Apollodoros i Liwia Druzylla wydawali się toczyć ze sobą grę we wzajemne ignorowanie się. Często się widywali, jednak od lat nie zamienili ze sobą słowa, a wszelkie wiadomości – zazwyczaj pochodzące od cesarzowej – docierały do nauczyciela za pośrednictwem osób trzecich.

Kiedy stary nauczyciel przekroczył bramy pałacu Oktawiana, ogarnęły go wątpliwości. Uważał Liwię za emocjonalnie niestabilną, chociaż niejednokrotnie umiewającą podejmować słuszne decyzje. Jak zareaguje na prośbę o audiencję, tego nie był w stanie przewidzieć. Niemniej miał ważne powody, żeby się z nią spotkać, więc nie zamierzał się poddawać.

Ku jego zaskoczeniu Liwia Druzylla natychmiast poleciła, aby wprowadzono go do sali audiencyjnej. Czekala na niego, leżąc na sofie, jak zwykle robiąc na starym nauczycielu wrażenie swoją urodą i kształtami ciała podkreślonymi lnianą tuniką. Dla tej kobiety czas się zatrzymał albo działał tylko na jej korzyść. Dla Apollodorosa, który mimo swego podeszłego wieku nie był odporny na kobiece

wdzięki, było to niepokojące. Chociaż zrozumiał jednocześnie dlaczego od czasu wyjścia za mąż za Oktawiana Liwia stała się wzorem dla rzymskich kobiet.

Żona cesarza była piękną kobietą, jednak miała również inne zalety. Z jej spojrzenia bił spokój, chociaż potrafiła przekazać nim swój autorytet. Pomimo próżności, z której była znana, jej rządy rzadko kiedy wywoływały nierozwiązywalne konflikty. Z drugiej strony, jak mało kto uosabiała ideał rzymskiej kobiety: czulej jak matka, wysłuchującej prośb swoich rozmówców, którzy mieli wrażenie, że potrafi postawić się na ich miejscu. Apollodoros pomyślał o tym z nadzieją.

– Sądzę, że wiem, co was tutaj sprowadza... – odezwała się z ironią, która nie umknęła przenikliwej uwadze starca.

– Jesteś inteligentną kobietą, Liwio Druzyllu. I to był główny argument, który przekonał mnie, by tu przyjść.

– Nie musicie mi schlebiać, doskonale się znamy – Liwia nie dawała za wygraną. – Wysłucham cię zatem, chociaż nie mogę poświęcić ci zbyt wiele czasu.

– Nie wymagam tego od ciebie, pani. Dowiedziałem się o faktach obciążających jednego z moich uczniów, Sullę Likinosa, i pomyślałem, że mogę zaświadczyć o prawości jego postępowania. Sulla jest wzorowym uczniem i nie wierzę, by miał jakikolwiek związek ze śmiercią gubernatora.

– Skoro już jesteście tak doskonale poinformowani, zapewne wiecie, że został złapany na gorącym uczynku, z rękami splamionymi krwią.

– Tak, lecz oboje wiemy, że w osądach nie można kierować się pozorami.

Liwii Druzylli najwyraźniej nie spodobały się te słowa. Może drażnił ją fakt, że zgadza się ze zdaniem wroga, chociaż знаła jego mądrość i nienaganną opinię jako nauczyciela. Oboje przebywali daleko od swoich domów, tęsknili za Rzymem, jego ulicami, zwyczajami, przyjaciółmi. Żona Oktawiana wiedziała, że Apollodoros bardzo cenił ojczyznę, którą opuścili tymczasowo, przenosząc się do Tarraco.

– Co zatem proponujecie? Przypuszczam, że jest wam również wiadomo, iż wasz drogi uczeń Sulla uciekł z więzienia, zabijając przy okazji dwóch żołnierzy.

Chciała tym argumentem zachwiać pewnością starca, jednak Apollodoros domyślił się wcześniej, że będzie próbowała to zrobić. Zamilkł i spojrzał na nią stanowczym, choć nieprovokującym wzrokiem. Liwia Druzylla tymczasem w myślach rozważała wszystkie aspekty sytuacji. W głębi duszy czuła pewien podziw dla tego człowieka. Uważała go za inteligentnego i z wyjątkiem sprzeciwu wobec jej osoby jako kandydatki na żonę cesarza – który zresztą wyraził z wielkim szacunkiem – nigdy nie słyszała, żeby cokolwiek mu zarzucano. Poza tym, będąc daleko od Rzymu, nie miała wielu przyjaciół, a odkąd Oktawian zachorował, z cennego towarzysza rozmów stał się niewolnikiem własnego ciała.

Intuicja rzadko ją zawodziła, więc postanowiła zaryzykować.

– Sulla jest bezpieczny, chwilowo nie musicie się o niego martwić. Kłopot w tym, że jeśli nie znajdziemy mordercy Manniego, nie wiem, czy uda mi się uratować go od śmierci.

– Dziękuję za szczerość, Liwio. Zapewniam cię, że nie zawiodę zaufania, jakim mnie obdarzasz.

– Domyśliliście się, prawda? Nie mogłam przecież pozostać bezczynna. Jednak nie zrobiłam tego dla siebie ani dla sprawiedliwości.

– Chyba znam twoje powody, jednak czuję również, że nasze porozumienie może w tym przypadku przynieść pozytywne skutki. Pragniesz szczęścia Adriany, a ja chcę, by nie pozbawiano życia młodzieńca, który nieraz udowodnił mi swoją szlachetność.

– Jednak nie mamy niczego na jego obronę. Jego zakrwawione ręce są faktem. Nie mogę rozkazać zabić wszystkich żołnierzy, którzy znaleźli go przy zwłokach Manniego... – powiedziała. W jej głosie dało się wyczuć cię rozpacz, ponieważ w głębi duszy prawdopodobnie rozumiała cierpienie podopiecznej, ale pewnie też dlatego, że pasowało to do wizerunku jej własnej osoby, jaki chciała pokazać staremu nauczycielowi.

– Nie wiem, w czym mógłbym ci pomóc, jednak chciałbym się na coś przydać – powiedział Apollodoros, przyznając w myślach, że pozbycie się świadków nie byłoby niczym dziwnym, biorąc pod uwagę metody stosowane przez Liwię Druzyllę przy innych okazjach.

– Nie wiem, co mógłbyś zrobić. Jesteś w podeszłym wieku i masz niewielkie wpływy w mieście – Liwia ziewnęła i przyjęła wygodniejszą pozycję na *triclinium*, podczas gdy Apollodoros podziwiał wspaniałe malowidła ozdabiające ściany pałacu.

– Może to właśnie stanowi moją zaletę – odezwał się w końcu, mając nadzieję, że jeśli żona Oktawiana wie coś więcej, podzieli się z nim tymi informacjami, kiedy zrozumie, że jest po jej stronie.

Liwia Druzylla skinęła głową. Nadal nie miała żadnego jasnego planu ani zbyt wielu opcji. Gdyby byli w Rzymie, bez problemu zleciłaby załatwienie sprawy komuś zaufanemu, jednak w Tarraco krąg jej najbliższych przyjaciół był niewielki. Wielu z jej cennych sprzymierzeńców przebywało obecnie na ziemiach kantabryjskich, wspierając generałów Oktawiana, który opuścił ich z powodu choroby. A wśród ludzi otaczających cesarza od niedawna niewielu jeszcze rozumiało, jak ważne dla imperium było zdanie Liwii.

Apollodoros opuścił pałac zadowolony ze spotkania, chociaż odczuwając wzrastający niepokój. Jego dotychczasowa przeciwniczka przyznała, że Sulla znajdował się w jej rękach, co dawało mu pewną ochronę ze względu na uczucia, jakimi darzyła go Adriana. Żona cesarza nie zgodziła się jednak ujawnić nauczycielowi miejsca jego pobytu.



– W tej chwili to byłoby bardzo ryzykowne. Być może za kilka dni, kiedy sytuacja się trochę uspokoi.

Stary nauczyciel nie wiedział, jak pomóc uczniowi i dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło. Ale może był jednak pewien sposób.

16.

Sulla uniósł powieki, rozbudzony jasnością zalewającą wewnątrz jaskini. Chciał spać dalej, przespać życie, w którym od kilku dni jakby wszystko się przeciwko niemu sprzysięgło. Jednak siła promieni wschodzącego słońca nie pozwalała mu na to. Światło przenikało do każdego zakamarka kryjówki, gdzie zostawił go jego wybawiciel – jeśli mógł go tak nazwać.

Kiedy w końcu otworzył szeroko oczy, pomyślał, że nic się nie zmieniło. Co prawda nie czuł już na plecach wilgoci celi, jednak nadal pozostawał więźniem. Teraz każdy jego ruch obserwował w milczeniu mężczyzna o dość nieokrzesanym wyglądzie, chociaż ubrany w porządną tunikę i o szczerym spojrzeniu. Sulla chciał mu się przyjrzeć, zanim ten zauważy, że chłopak przebudził się z głębokiego i pokrzepiającego snu.

Słowa, jakie usłyszał z ust mężczyzny, bynajmniej go nie uspokoiły.

– Dopóki jesteś ze mną, nic ci się nie stanie. Służę bardzo ważnej osobie, która ci wierzy.

– Przysłała was Adriana? – Sulla zapytał, czując ból w miejscu, gdzie uderzył go strażnik więzienny.

– Dowiesz się tego w odpowiednim czasie, teraz jednak nie mogę powiedzieć ci nic więcej, dla twojego bezpieczeństwa.

I to wszystko.

Sulla odzyskał świadomość, gdy wóz mijał ostatnią wojskową kontrolę, jednak nie odezwał się, dopóki Tarraco nie stało się tylko jasnym punktem widzianym w oddali. Zanim ruszyli powoli w dalszą drogę na północ, mężczyzna kazał mu zmienić tunikę na inną, bardziej znoszoną i zgrzebną, po czym pozwolił mu usiąść na koźle.

– Dopóki nie dojedziemy na miejsce, będziesz udawał mojego niewolnika! To dla twojego dobra.

Starając się uniknąć podróży po via Augusta, bez incydentów jechali bocznymi drogami biegnącymi wzdłuż wybrzeża, mijając okoliczne wioski. Iberyjskie osady zostały przeniesione w głąb lądu i większą część terenów nadbrzeżnych zajęły plantacje, które Rzymianie zorganizowali na swój sposób; z tego powodu na wybrzeżu było coraz mniej lasów.

O zmroku zobaczyli światła Palfruriany, jednak cel ich podróży znajdował się bliżej morza, którego zapach czuć było w powietrzu. Przejechali jeszcze krótki odcinek, po czym puścili luźno muła, a wóz ukryli pod ściętymi wcześniej gałęziami.

Chociaż księżyc był mniejszy niż w nocy, kiedy zamordowany został Manni, świecił na tyle jeszcze jasnym światłem, żeby dobrze oświetlić okolicę. Ruszyli drogą prowadzącą na plażę, a następnie wspięli się po skałach, docierając do ukrytej w zaroślach ścieżki, której nikt by nie zauważył na pierwszy rzut oka. Weszli nią po klifie, nie spuszczać z oczu fal rozbijających się w niewielkiej skalistej zatoce.

Po dotarciu do jaskini mężczyzna rozpałił ognisko i Sulla, którego dręczyły zawroty i silny ból głowy, natychmiast zasnął. Nie zdążył nawet zastanowić się nad wszystkim, co się wydarzyło.

Gdy nastał nowy dzień, chłopak zrozumiał, że jedynym wyjściem było zaufać mężczyźnie. Czuł się słaby, ostatni raz jadł cokolwiek jeszcze zanim doszło do tego strasznego wydarzenia i znalazł konającego Manniego. Zastanawiał się, czy nie powinien uciekać. Może wyciągnięto go z więzienia tylko po to, żeby go zabić. Jednak w takim razie, dlaczego ktoś poczynił tak wiele starań?

Jego wybawca przyznał podczas podróży, że uwalniając go, musiał zabić człowieka, i chociaż Sulla nie mógł być całkowicie pewien, iż to była prawda, zadawał sobie w myślach pytanie, czy jego życie było aż tyle warte, żeby odbierać je komuś innemu. Jeśli Adriana była zdolna do wydania takich rozkazów, by go uratować, czy to świadczyło o jej wielkiej miłości, czy wręcz przeciwnie? Nie mógł się co do tego zdecydować.

Dręczyło go to. Wstał i wyszedł na zewnątrz jaskini, gdzie mężczyzna siedział z nogami spuszczone nad urwiskiem. Mógłby go popchnąć i zrzucić na skaliste dno przepaści, jednak domyślał się, że mężczyzna był świetnie wyszkolony w walce i nie dałby się tak łatwo zaskoczyć.

– Nazywam się Trepso – mężczyzna odezwał się, a w jego głosie ani zachowaniu nie dało odczuć się napięcia. – Możliwe, że pozostaniemy tu przez kilka dni. Jednak nie obawiaj się niczego. Jeśli jesteś głodny, w jaskini znajdziesz jedzenie i wodę.

Mówił do niego ze spokojem, jakby ich obecność na tym odludziu była czymś naturalnym. Sulla wrócił do jaskini i przyświecając sobie pochodnią, znalazł porządny zapas prowiantu. Domyślił się, że jego porwanie było dokładnie przygotowaną akcją.

Wziął pajdę ciemnego chleba i kawałek solonego mięsa, usiadł na kamieniu i zjadł je bez pośpiechu, chociaż z apetytem. Trepso nie poruszył się ze swojego miejsca; nie bardzo było wiadomo, czy pilnował Sulli, czy po prostu odpoczywał. Chłopak przyglądał się tymczasem, jak dym pochodni znika w szczelinie

w sklepieniu jaskini i zastanawiał się, którędy się wydostawał na zewnątrz. To była bez wątpienia dobra kryjówka, ponieważ – jak chwilę później potwierdził pilnujący go mężczyzna – ani ognisko żarzące się przez całą noc, ani światło pochodni nie były dostrzegalne z zewnątrz.

– Prawdopodobnie prądy powietrza, jakie tworzą się w jaskini, wyciągają dym prosto do morza, gdzie znika pod uderzeniami fal. Ktoś kiedyś tłumaczył mi to dziwne zjawisko. To idealne miejsce, żeby przeczekać kilka dni, zanim wszyscy o tobie nie zapomną albo nie znajdą zabójcy Manniego.

Trepsa wspomniał również Sulli, że w głębi jaskini znajdowało się kilka ciemnych korytarzy, w których łatwo było się zgubić lub wpaść w jakąś niewidoczną dziurę.

Jednak Sulla nie miał zamiaru uciekać, przynajmniej dopóki się nie dowie, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni. Pamiętał okoliczności ucieczki i podejrzewał, że Trepsa miał nadzwyczajną siłę, skoro udało mu się wynieść go z więzienia i położyć na wozie. Być może ktoś mu w tym pomógł. Sulla jednak nie pamiętał niczego do chwili, kiedy minęli ostatni posterunek legionistów. Przez chwilę wyobraził sobie, że wydostaje się z jaskini przez jeden z korytarzy, dociera do Tarraco i biegnie prosto do domu Adriany. Jednak to były tylko mrzonki. Nie miał siły ani motywacji, żeby wprowadzić je w czyn. Zniechęcony wyszedł z jaskini. Jego strażnik siedział nadal w tej samej pozycji, nie przejmując się palącym słońcem.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość – powiedział. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, osoba, która mnie przysłała, znajdzie sposób, żeby cię stąd zabrać. I mam nadzieję, że mnie również.

– Czy jesteś tutaj wbrew woli? – Sullę zaintrygowało ostatnie stwierdzenie.

– Można tak powiedzieć, jednak moja wola nie należy do mnie. Wykonuję tylko rozkaz, najlepiej jak potrafię.

– Czy w ramach tego rozkazu miałeś też zabić?

– Jesteś jeszcze za młody, żeby zrozumieć decyzje podejmowane przez ludzi posiadających władzę. Jednak się nie martw. To, co od tej chwili się wydarzy, nie zależy ani ode mnie, ani od ciebie. Po wszystkim będziesz wdzięczny, że żyjesz.

– Nie wiem, czy zasłużyłem na życie, którego ratowanie pociąga za sobą śmierć niewinnych ludzi.

– Spodziewałem się, że powiesz coś takiego. Twoja młoda przyjaciółka również ma wielkie serce i czasami wydaje mi się, że sprawiedliwości stanie się zadość. Chociaż to się zdarza rzadko.

– A wy... Nie jesteście rzymskim obywatelem, ale nie mówicie też jak niewolnik. Nie rozumiem.

Trepsa nadal patrzył w dół urwiska na spienione fale.

– Cóż, od tak dawna służę moim panom, że nauczyłem się wypowiadać jak

oni.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, czy to Adriana cię przysłała i czy to ona chce mi pomóc?

Mężczyzna odwrócił się i wciągnął nogi na twardej gruntu. Następnie wstał i ujmując Sullę za ramię, poprowadził go do jaskini.

– Lepiej nie zostawać długo na zewnątrz. Mógłby zauważyć nas jakiś rybak i opowiedzieć o tym w mieście – powiedział, dorzucając do ogniska kilka patyków.

– Rozumiem twoją ciekawość, czy Adriana miała z tym wszystkim coś wspólnego, ale jeśli chcesz przeżyć, to pamiętaj, że im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie ponosi winy za żadną śmierć.

– Dziękuję wam za odpowiedź, jednak nie jestem przekonany, czy chciałem się znaleźć w takim położeniu.

– A czego chciałeś? Poznać wściekłość cesarza? Traktował Manniego jak brata, więc prawdopodobnie byłbyś już martwy. Żyjesz tylko dlatego, że przez wzgląd na chorobę Oktawiana nie jest w stanie zająć się sprawami państwa tak szybko, jak to robił do tej pory. A mogę cię zapewnić, że cesarz nie puści płazem morderstwa Manniego.

Sulla nic nie odpowiedział. Zamyślony wpatrywał się w ogień, który zaczynał jasno rozświetlać jaskinię. Chociaż była dla niego więzieniem, musiał przyznać, że trochę przyjemniejszym. A jego nowy strażnik, będący wspaniałym rozmówcą, bardzo go zaintrygował. Kim był Trepsos? Komu służył? Dlaczego wysławiał się jak patrycjusz? A przede wszystkim, na co czekał?

To było mnóstwo pytań, nawet jak na jego wrodzoną ciekawość, i wiedział, że może upłynąć dużo czasu, zanim otrzyma na nie odpowiedzi.

Lukanos wolałby mniej rzucać się w oczy, jednak wzrost i pełniona od kilku miesięcy funkcja edyla powodowały, że nie mógł przejść ulicą niezauważony. W dolnej części Tarraco roiło się od żołnierzy starających się zapobiec nowym ulicznym rozruchom, podobnym do tych, jakie miały miejsce kilka dni wcześniej z powodu cesarskiego rozkazu, na mocy którego wyrzucono z domów wielu mieszkańców dzielnicy rozciągającej się na naturalnym zboczu; było to doskonałe miejsce na wybudowanie amfiteatru.

Cesarskie rozkazy były niepodważalne. Oktawian zapragnął, by w mieście powstał wielki teatr, i postanowił wznieść go na terenie przylegającym do portu. Mówiono, że cesarz tak bardzo umiłował sobie Tarraco, iż postanowił zmienić je w drugi Rzym. Lukanos doszedł do wniosku, że powinien wykorzystać tę budowlaną gorączkę, ponieważ pieniądź przyciągał pieniądź. Wiedział również, że jeśli umiejętnie nie rozegra kart, może zostać wykluczony z przyszłych zysków.

Tymczasem, zamiast spekulować o przyszłości, miał inne pilne sprawy na głowie. Jednym z priorytetów było udowodnienie Wergiliuszowi, że spełnił daną mu obietnicę. Na szczęście magazyn, w którym ukrywali się jego ludzie, znajdował się poza patrolowaną dzielnicą, na niemal zupełnie opuszczonym terenie po północnej stronie portu.

Lukanos rozejrzał się wokół, po czym zapukał trzykrotnie w zniszczone drewniane drzwi, a potem powtórzył tę czynność trochę szybciej. Nikt nie odpowiedział i z wnętrza magazynu nie dochodziły żadne dźwięki. Odczekał chwilę i ponownie zapukał w umówiony sposób. W końcu usłyszał głosy i kroki, po czym zgrzyt otwieranej zasuw, co utwierdziło go w przekonaniu, że jego plan się udał.

Lukanos wślizgnął się przez uchylone drzwi do magazynu. Z początku musiał przyzwyczać wzrok do panującego wewnątrz mroku, oświetlanego jedynie przez kaganek. Z zadowoleniem stwierdził, że jego ludzie trzymali się każdej jego wskazówki.

– Widzę, że wszystko poszło zgodnie z planem – odezwał się lekko skrępowany, zerkając na drzwi. Spojrzenia jego ludzi wydawały się unosić w gęstym zaduchu zamkniętego od dwóch dni pomieszczenia.

– Szkoda, że nie widzieliście, jak ten wieprz Manni walczył o życie! Musiałem przekręcić nóż w jego brzuchu, żeby go wreszcie dobić – powiedział Paulus, najstarszy z mężczyzn, który synowi gubernatora zawsze wydawał się odrażający.

– Zdychał, błagając bogów o pomoc... Jakby oni przejmowali się tym, co się z nim stanie... – wtrącił się drugi zbir, o którym Lukanos wiedział tylko tyle, że przecinająca jego twarz blizna była doskonale rozpoznawalna w każdym miejscu imperium, co świadczyło niezbicie o jego determinacji w osiągnięciu swoich celów.

Znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. To były najgorsze szumowiny w Tarraco, jednak służyli mu wiernie i nadszedł czas, by ich za to wynagrodzić. Wergiliusz był już w drodze i Lukanos nie mógł się wycofać. W głębi duszy przyznawał, że zapracowali na to, co ich czekało, choć wolał nie brać w tym bezpośrednio udziału. Miał trudne zadanie, jednak wiedział, że tylko w ten sposób zaskarbi sobie zaufanie duumwira.

Paulo, nie spuszczać z oka przedmiotu, który Lukanos trzymał w ręku, zapytał w końcu:

– Czy to wino? Chociaż dzban przykryty jest kawałkiem płótna, wyczuwam je z daleka!

– Oczywiście! Potraktujcie je jako przedsmak waszej nagrody – odpowiedział Lukanos, stawiając dzban na stole zasypianym odpadkami i resztkami jedzenia.

– Mamy szczęście! – zawołał trzeci mężczyzna, który dotychczas milczał. – Wczoraj skończyły się nam zapasy i umieraliśmy z pragnienia.

Wszyscy trzej rzucili się na upragniony napój i zaczęli przepychać, by napić się go w pierwszej kolejności. Dzban tylko jakimś cudem nie wylądował na ziemi. Paulo jako pierwszy wziął porządny i głośny łyk, a kiedy skończył, wytarł usta w tunikę. Następnie podał naczynie kompanom.

– Nie napijesz się z nami, Lukanosie?

Rozradowany Paulus odważył się zwrócić do syna gubernatora po imieniu. Lukanos pomimo wzburzenia postanowił to zignorować, wiedząc, że minuty zbira są już policzone. Na wszelki wypadek cofnął się nieznacznie, stając trochę bliżej drzwi magazynu. Miał zamiar stamtąd uciec, zanim dojdzie do tego, co nieuniknione. Nie chciał dłużej oddychać dusznym powietrzem, od którego kręciło mu się w głowie, i patrzeć na twarze ludzi odczuwających radość po zadaniu śmierci człowiekowi wartemu o wiele więcej niż wszyscy oni razem wzięci. Jednak chciał mieć pewność! Jego plan musiał zakończyć się całkowitym powodzeniem.

– Chciałbym, lecz nie mogę, Paulo – odpowiedział. – Medycy twierdzą, że cierpię na tę samą chorobę co cesarz i wino może mi zaszkodzić.

Trzej mężczyźni odsunęli się od niego. Nie mieli pojęcia, o jakiej chorobie mówił, słyszeli jednak różne plotki i woleli zachować ostrożność. Lukanos

zastanawiał się, czy wszyscy wypili wystarczającą ilość wina, ale zauważył, że trzeci mężczyzna odstawił na stół dzban, w którym nie została ani kropla napoju. Wszystko odbywało się zgodnie z planem i teraz miała nastąpić najtrudniejsza jego część.

– Cieszę się, że wino wam smakowało – powiedział, uśmiechając się szeroko. – Teraz muszę coś załatwić, jednak za kilka godzin wrócę tu z przyjaciółmi i zabierzemy was z tej nory. Oczywiście przyniesiemy wam też wynagrodzenie za tak skuteczną służbę imperium.

Na dźwięk słowa „wynagrodzenie” z pewnością wyobrazili sobie ciężar monet, który wkrótce będą mogli poczuć w rękach. Zaczęli skakać z dziką radością, przypominając aktorów odgrywających jakąś szaloną komedię.

Trwało to krótko. Nagle Paulus z dziwnym wyrazem twarzy złapał się za gardło. Jego kompani rzucili się, by uchronić go przed upadkiem na ziemię. Ponieważ przyzwyczajeni byli do pijatyk i zwykli spędzać całe noce w tawernach, ten incydent nie zrobił na nich żadnego wrażenia.

Syn gubernatora wykorzystał zamieszanie, żeby opuścić magazyn, po czym od zewnątrz zaryglował drzwi sztabą, którą przygotował sobie kilka dni wcześniej. Mężczyźni nie mieli najmniejszych szans przeżycia. Pozostało mu tylko czekać. Wkrótce przenikliwy krzyk zmroził mu krew w żyłach. Słysząc go było coraz wyraźniej w panującej wokół ciszy; na szczęście było późno i Lukanos nie zauważył żadnej aktywności w tej części portu. Ale i tak był przerażony. Nie przewidział, że zanim trucizna zadziała, otruci będą krzyczeć.

Chwilę później usłyszał zwierzęce ryki dwóch pozostałych mężczyzn. Wiedział, że długo nie potrwają, jednak z trudem przewyciężył w sobie chęć, żeby usunąć rygiel i skończyć z nimi raz na zawsze. Zapewniano go o skuteczności trucizny i jej szybkim działaniu. Tymczasem z magazynu dochodziły odgłosy rozpaczliwej bieżaniny i rumor, jakby ktoś zwalił się na stół, a potem rozrzucał po pomieszczeniu materiały budowlane, które ktoś dawno temu tam pozostawił.

Nagle zapadła cisza. Żadnych krzyków czy uderzeń. Lukanos odetchnął głęboko, jakby na czas trwania agonii zbirów wstrzymał powietrze. Pozostał mu ostatni trudny obowiązek. Zdjął rygiel i otworzył drzwi magazynu, jednak nie zdążył nawet wejść do środka, kiedy smród odrzucił go na kilka kroków i zwymiotował przy drewnianej ścianie. Trząsł się na całym ciele, jednak był przecież Lukanosem i musiał mieć pewność, że wszyscy nie żyją.

Ze ściśniętym ze strachu gardłem dobył miecza i przeszedł przez próg.



18.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. n.e.*

Muszę przyznać, że obfitość wspomnień nie zawsze zbliża mnie do życia. Pamięć o czasie, kiedy miałem przed sobą całą przyszłość, kiedy byłem chłopakiem, który jeszcze wtedy mógł decydować o swoim losie, raczej oddala mnie od współczesnych mi ludzi. Im częściej wracam myślami do momentu opuszczenia Ausy, tym trudniej jest mi dożywać starości wśród mieszkańców Tarraco, nawet jeśli mnie ignorują, chociaż bywamy w tych samych miejscach, w forum, na ulicach czy w porcie. Jednak ja nie mam już żadnej nadziei na przyszłość.

Dochodzę do wniosku, że ludzie idą naprzód, czynią postępy i wynajdują sobie powody, by żyć właśnie dzięki tej nadziei. Wiedzą, że następnego dnia będą mogli znów spróbować być szczęśliwi, pogodzić się z sąsiadem, rzeźnik znów zabije kurczaki, z których sporządzą przyprawione obficie pieprzem, kminkiem, suszoną cebulą i sześcioma śliwkami z Damaszku *pullum*, według przepisu z książki *O sztuce kulinarnej* Apicjusza.

Nie zawsze czułem się tak bardzo odizolowany od świata. Mniej więcej trzy lata po zamordowaniu Kaliguli pretorianie postanowili oddać władzę nad imperium tak pozornie nieudolnemu człowiekowi, jakim był Klaudiusz. To tak już odległe w czasie wydarzenie przepełniło mnie nadzieją. Gdy opowiadano mi o wyglądzie nowego cesarza, rozpoznawałem w nim siebie i myślałem, że mamy ze sobą wiele wspólnego, ponieważ tak samo jak mnie wiele go będzie kosztowało spełnianie marzeń ze względu na tak słabowite i nękane nerwicami ciało. W miarę upływu lat służby dla cesarza zacząłem się śmiać z moich pragnień i uznawać te porównania za dość niefortunne. Przecież Klaudiuszowi udało się stanąć na czele wojsk i wyruszyć na podbój Bretanii. Stąd jego poziom nieudolności miał niewiele wspólnego z moim. On dowodził rzymskimi legionami, tymczasem ja nie jestem w stanie unieść rąk, żeby rano włożyć tunikę.

Ze względu na potrzebę samotności dość często w drodze powrotnej z portu ruszam ulicą prowadzącą poza miejskie mury. Lubię patrzeć na morze, wspinając się po wzgórzu, na którym Gnejusz Korneliusz Scypion wybudował warowny obóz dla swoich żołnierzy dający początek miastu. Zwykle docieram na wysokość bramy Barcino, bo poza nią nie odważam się wyjść. Stamtąd napawam się widokiem linii

brzegowej poprzecinanej łagodnymi wzniesieniami fal; często widuję rybackie łodzie, nad którymi latają wygłodniałe mewy, a czasami udaje mi się nawet dostrzec statki płynące eskadrą w kierunku Rzymu.

Po wielu wysiłkach, a szczególnie niepowodzeniach, nauczyłem się panować nad ciałem na miarę moich potrzeb. Dawniej ogarniał mnie lęk i nienawidziłem własnego ciała, które nie pozwalało mi poruszać się w tym samym tempie co moje myśli. Teraz wiem, że umysł może pracować niezależnie od ciała i powolność nawet okazuje się mieć swoje zalety. Jeśli pod względem fizycznym nie jestem w stanie pokonać swoich ograniczeń, mogę poświęcić dużą część energii, jaka mi pozostała, do wspomnienia tego, kim byłem – synem Akrisy; chłopakiem, który odnalazł swoje miejsce wśród ludzi będących zrzędzeniem losu jego wrogami...

Rzymianie od czterech dni mieszkali w domu Falcji. Tymczasem do Ausy przybyło więcej żołnierzy, podobno po to, by strzec medyka. Nie rozumiałem, dlaczego tylu ludzi potrzebnych było do ochrony jednego człowieka, który ze względu na to, czym się zajmował, wydawał mi się podobny do matki. Nie zdały się jednak żadne prośby ani groźby, żeby dowiedzieć się czegokolwiek od naszej sąsiadki.

Przygotowując się do śledzenia Rzymian, niewiele spałem. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej nocą tak bardzo dłużył mi się czas i tak nie mogłem doczekać się świtu.

Woda w misie, którą matka zostawiała mi co wieczór, zamarzła, jednak wiedząc, że będę potrzebował mieć świeży umysł przez następne godziny, rozkruszyłem lód tłuczkiem od mózdzierza i obmyłem twarz.

Przed domem Falcji stało kilku żołnierzy, trzymając w rękach pochodnie. Nie mieli hełmów ani tarcz i uzbrojeni byli tylko w krótkie miecze. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem medyka i chłopca, który mu zawsze towarzyszył. Chłopak był prawdopodobnie w moim wieku lub kilka lat młodszy i pomimo swojego cherlawego wyglądu na pierwszy rzut oka widać było, że przyzwyczajony był do dużego wysiłku fizycznego. Miał szczupłe, ale muskularne nogi, a jego spojrzenie w złotym świetle pochodni zdradzało niepokój, jaki czuł przed wyruszeniem w drogę.

Z niewielu informacji, jakie udało mi się wyciągnąć od Falcji, dowiedziałem się, że medyk nazywał się Antoniusz Musa – co wtedy nic mi nie mówiło – i pochodził z Tarraco. Chłopak miał na imię Andromikus i Akrisa stwierdziła, że wyglądał na Kartagińczyka lub Greka.

W zamyśleniu omal nie przegapiłem chwili, kiedy grupa ruszyła drogą prowadzącą z wioski. Obszedłem chatę, żeby zyskać na czasie i śledzić ich z ukrycia. Początkowo podejrzewałem, że pójdą w kierunku Ausy albo Tony, jednak po przebyciu krótkiego odcinka pozostawili konie pod opieką jednego z żołnierzy. Dwaj pozostali wraz z Musą i Andromikusem zaczęli wspinać się pod

górze. Ze zdziwieniem zauważyłem, że medyk najwyraźniej czerpał przyjemność ze wspinaczki, a czasem nawet wyprzedzał grupę, jakby przedzieranie się przez las było łatwym zadaniem.

Nie mogłem śledzić ich ze zbyt małej odległości. Miałem na nogach filcowe buty, które nosiłem po domu, i oprócz ryzyka zranienia stopy jakimś ostrym kamieniem czy złamaną gałęzią, musiałem uważać, gdzie stąпам, żeby nie zdradzić swojej obecności. Nie mogłem do tego dopuścić i wrócić do wioski prowadzony przez żołnierzy; to byłby okropny cios dla mojej młodzieńczej dumy i przypuszczałem, że również wielkie rozczarowanie dla matki.

Rychło zrozumiałem, jaką rolę pełnił Andromikus. Na polecenie Musy wspinał się na drzewa ze zwinnością kota lub wdrapywał się po niebezpiecznych skalnych pochyłościach, podczas gdy pozostali patrzyli na jego wyczyny z mieszaniną przerażenia i podziwu dla jego zręczności i odwagi. Muszę szczerze przyznać, że ja również byłem pod wrażeniem. Jak już wspominałem, od dziecka czułem się w naszych lasach jak ryba w wodzie i bardzo szybko zacząłem udawać się na samotne wyprawy. Niemniej w pewnych momentach nawet ja zamykałem oczy, żeby nie widzieć, co się wydarzy. Na przykład, gdy chłopak zawisł tylko na rękach na skalnej ścianie, żeby schwycić jakąś roślinę, która wyrosła tam dla kaprysu. Sam nie byłbym w stanie tego zrobić, jednak muszę przyznać, że nie byłem taką chudziną. Chłopak musiał być ode mnie o połowę lżejszy.

Wędrowali pod górę, dopóki słońce nie ukazało się nad dwoma szczytami. Wtedy mężczyźni rozsiedli się na powalonych pniach na małej polanie w pobliżu górskiego źródła. Żołnierze ukoili pragnienie chłodną wodą, po czym wyciągnęli prowiant ze swoich sakw. Pozostało mi czekać i nadstawiać uszu. Miałem ze sobą jabłko, jednak przezornie postanowiłem zostawić je na później. Wędrowcy nie wyglądali na zmęczonych, więc domyśliłem się, że wyprawa potrwa aż do zachodu słońca.

Żołnierze usiedli przy źródle, a ja zza drzew próbowałem podsłuchać rozmowę medyka i jego pomocnika. Byłem na tyle blisko, żeby usłyszeć niektóre jej fragmenty.

– Tracę nadzieję na znalezienie lekarstwa dla naszego cesarza, Andromikusie – rzekł Musa, załamując ręce, po czym wbił zęby w kawałek słoniny.

– Cierpi na poważną chorobę, z którą do tej pory się nie spotkaliście... – odpowiedział chłopak monotonnym głosem, jak gdyby powtarzali tę rozmowę już tysiące razy.

Chwilę później musiałem porządnie się ukryć, ponieważ jeden z wracających na polanę żołnierzy przeszedł w odległości zaledwie kilku metrów od krzaków, za którymi stałem. Kiedy ponownie się z nich wychyliłem, Andromikus zniknął, z pewnością udając się za potrzebą. Zacząłem więc obserwować jak Musa ogląda zebrane zioła i rozkłada je na kawałkach niemal przezroczystego płótna. Potem

owijał je tą tkaniną i wkładał z powrotem do worków. Pomyślałem, że był to dobry system przechowywania roślin, chociaż w naszej wiosce trudno byłoby mi znaleźć takie kawałki lnu, a na targu w Ausie z pewnością kosztowały majątek.

Nie jestem w stanie przypomnieć sobie, czy tak bardzo byłem pochłonięty podglądaniem Musy, straciłem czujność, czy może to Andromikus był zwinniejszy, niż przypuszczałem. W każdym razie nie usłyszałem żadnego szmeru, który zdradziłby jego obecność, a odwróciwszy się nagle, zobaczyłem go przed sobą, jak przygląda mi się, podając mi w wyciągniętej ręce pajdę żytniego chleba i kawałek słoniny.

Teraz uważam, że powinienem się do niego odezwać, podziękować mu czy poprosić, żeby mnie nie zdradził, jednak w tamtym momencie przywarłem plecami do pnia wiązu i stałem jak sparaliżowany. W chwili kiedy spojrzałem na jedzenie, które włożył mi do rąk, Andromikus znikł równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Po tylu latach wciąż pamiętam, że to spotkanie wywołało we mnie podobne uczucie, jakie ogarniało mnie, kiedy obmywałem co rano twarz zimną wodą. Gdy chłopak zniknął, ogarnęło mnie przerażenie. Spodziewałem się, że za chwilę pojawią się żołnierze. Ale nic takiego się nie stało. Ocknąłem się wreszcie, czując zapach słoniny, w którą wgryzłem się z apetytem. W domu żywiliśmy się głównie owocami i warzywami, czasami mięsem dzika upolowanego przez kogoś z wioski. Dostawaliśmy zazwyczaj jakąś jego część, często ochłapy, jako zapłatę za którąś z zakończonych powodzeniem kuracji Akrisy.

Kiedy odważyłem się ponownie wyjść na polanę, żołnierze zbierali resztki jedzenia i torby z roślinami. Chwilę później ruszyli bez pośpiechu w drogę powrotną do wsi. Musa rozglądał się wokół z ogromną ciekawością, przykłękał przy spalonym pniu czy dużym skupisku grzybów rosnących nad brzegiem potoku.

Szedłem za nimi przez jakiś czas. Andromikus oglądał się od czasu do czasu za siebie z uśmiechem na twarzy. Bez wątpienia musiał być zadowolony ze swojej przebiegłości. Nakrył mnie, zanim udało mi się czegokolwiek dowiedzieć. Chociaż miałem nadzieję, że informacja o chorobie cesarza jednak na coś się przyda mojej matce.

Wyszedłem z ukrycia tylko na chwilę, aby uśmiechnąć się do niego na pożegnanie. Pomyślałem, że na to zasłużył. Chłopak odpowiedział mi, lekko unosząc rękę. Kluczając wśród drzew i zarośli, dotarłem do wioski przed Rzymianami. Wiedziałem, że chłopak zazdrościł mi tej wolności, podczas gdy on musiał wędrować utartym szlakiem. Może właśnie dlatego postanowiłem odważyć się zejść po bardziej stromym zboczu góry. Chociaż nie traktowałem Andromikusa jak rywala, obudził we mnie dotychczas nieznane uczucia. Jakbym nagle zrozumiał, że ktoś może być zręczniejszy ode mnie. To dziwne, ale zamiast rozdrażnienia wywołało to we mnie większą chęć przekraczania własnych granic podczas samotnych wypraw po zioła.

Bez wątpienia mam szczęście, że pomimo słabości ciała nadal jestem w stanie wędrować sobie wolnym krokiem, wiedząc, że prędzej czy później osiągnę swój cel. Docieram do bramy Barcino w pogodnym nastroju wywołanym wspomnieniami z Ausy. Bardzo polubiłem Andromikusa przez ten krótki czas naszej znajomości i chciałbym myśleć, że mogłoby się to przerodzić w prawdziwą przyjaźń, gdyby nie doszło do jego tragicznej śmierci.

Wracając wzdłuż murów miasta, wbrew wszelkiej logice, zamiast pójść *decumense* aż do forum, a potem skręcić w stronę mojego domu, zawsze wybieram dłuższą trasę. Jednak, jak już wspomniałem, warto podjąć ten trud, żeby dłużej nacieszyć się samotnością i widokiem morza.

Dom, w którym dożywam końca moich dni, jest starym budynkiem pochodzącym z czasów republiki, który w dowód wdzięczności za moje usługi podarował mi August. Wcześniej należał do pewnego generała poległego w bitwie pod górą Vindius, podczas wojen z Kantabrami. Niejeden edyl władający miastem przez ostatnie siedemdziesiąt lat, zaskoczony, że mieszkam w *domusie*, a nie na poddaszu jakiejś *insulae*, próbował pozbyć się mnie z tak reprezentacyjnej budowli, jednak zachowane przeze mnie dokumenty, uwierzytelnione cesarską pieczęcią, odwiodły ich od tego zamiaru. Mimo że Oktawian August przebywał w Tarraco stosunkowo niedługo, pamięć o nim jest nadal żywa.

Nie ukrywam jednak, że dom stał się zbyt duży jak na moje potrzeby. Moje życie skoncentrowało się w pracowni, do której już kilka lat wcześniej kazałem przenieść łożę służące mi do wszystkiego. Leżąc na nim, potrafię godzinami czytać, ciesząc się nadal dobrym wzrokiem, będącym bez wątpienia najwspanialszym darem, jaki otrzymałem od bogów. Staram się również jeść czy spać, chociaż z mało zadowalającym skutkiem. Oprócz pracowni korzystam jedynie z atrium, gdzie codziennie czczę domowych bogów.

Pozostałą częścią domu zarządza moja niewolnica, Nidia. Tak naprawdę już dawno zwróciłem jej wolność, lecz ona, ku mojemu zaskoczeniu, nadal wykonuje prace domowe i opiekuje się mną tak samo, jak robiła to dawniej. Sądząc po dochodzących do mnie hałasach i ludziach, z którymi mijam się czasami w atrium, Nidia wynajmuje pokoje kupcom przybywającym do miasta.

Mam wystarczająco dużo miejsca w pracowni i małym ogrodzie znajdującym się w przedniej części domu, gdzie wychodzę, kiedy siły nie pozwalają mi udać się do miasta. Jeśli jakiś przypadkowo spotkany w domu człowiek pyta mnie, w której komnacie się zatrzymałem, odpowiadam, że w odróżnieniu od niego, jestem stałym gościem i ze względu na mój wiek właścicielka pozwoliła mi mieszkać w innej części domu, oddalonej od zgiełku.

Mimo wygod, jakimi dysponuję, rzadko rezygnuję ze zwyczaju codziennego spacerowania po ulicach i placach miasta. Kontakt ze światem zewnętrznym jest mi potrzebny, by udawać niezwycięzonego, walczyć z upływem czasu i chorobami,

jak gdybym mógł stać się nieśmiertelny. Biorąc pod uwagę miny ludzi mijających mnie na ulicy, być może nawet niektórzy w to wierzą.

Jeżeli ktoś sądzi – w co jednak wątpię – że mądrzej postąpiłbym, oczekując śmierci wśród czterech ścian domu, moje zachowanie musi mu wydawać się bardzo dziwne. Mam wystarczająco dużo własnych obaw, a do tego Nídia wypomina mi codziennie, że w moim wieku niebezpiecznie jest wychodzić na zewnątrz, że nie może się mną opiekować, jeśli jestem daleko od domu, i pewnego dnia, kiedy będę szedł wśród tłumu, jaki zazwyczaj wypełnia ulice Tarraco, na pewno coś mi się stanie. Chociaż nigdy wprost nie zabroniła mi wychodzić, prawdopodobnie bojąc się mego stanowczego sprzeciwu albo nie mogąc się już doczekać mojej śmierci.

Nie mam pojęcia, czy wie, że w testamencie zostawiam jej dom.

*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Po drodze do forum Apollodoros zastanawiał się, jak mógłby pomóc Sulli. Dla miasta, które Juliusz Cezar w dowód uznania wyniósł do rangi kolonii, był to wyjątkowy dzień. Do portu zawinęły rzymskie statki, przywożąc na swoich pokładach towary i żołnierzy, mających wkrótce wyruszyć w dalszą drogę, by wspomóc legiony walczące na północy *Hispanii*. To oznaczało dla mieszkańców Tarraco dużo dodatkowej pracy. Tłumy mężczyzn, którzy w poszukiwaniu zarobku przybyli do miasta z terenów położonych w głębi lądu, i bezrobotnych ulicznych włóczęgów zebrały się teraz w porcie, najmując się do pomocy przy rozładunku. Zaledwie w ciągu roku ruch statków zwiększył się dwukrotnie, ponieważ Oktawian wybrał miasto na bazę swoich operacji przeciwko Kantabrom, którzy pomimo częstych kampanii wojskowych nadal stawiali opór rzymskiemu najeźdźcy lub udawali swoją przegraną, żeby za jakiś czas zaatakować w innym miejscu.

Statkami transportowano wszelkiego rodzaju dobra, przyczyniając się w ten sposób do rozwoju Tarraco, chociaż wywoziły pewien towar, o którym mało kto wiedział. Wracaly do Rzymu wyładowane minerałami z leżących po drugiej stronie półwyspu Galicji czy Luzytanii, których wydobycie kosztowało życie setek tubylców. Eksportowano również produkty pierwszej potrzeby, owoce, warzywa, mięso, a skutki tej nierównej wymiany były tym bardziej dotkliwe, że pozostawiały po sobie przemoc i głód na polach i w małych wioskach leżących w środkowej *Cessetànii*.

Mieszkańcy rozrastającego się i nienasyconego Rzymu potrzebowali pomocy prowincji, jeśli chcieli zachować swój styl życia. Apollodoros uważał, że w takiej sytuacji potęga imperium była w dalszej perspektywie gwarancją pokoju. Jedynie wspierając Rzym, będzie można spełnić marzenia Oktawiana o silnym i zjednoczonym cesarstwie, chociaż nie zawsze podejmowane decyzje były sprawiedliwe.

Stary nauczyciel zdawał sobie sprawę z tych niesprawiedliwości, ale jednocześnie wierzył w cesarza i jego idee. Za młodu był świadkiem bratobójczych walk na łonie republiki i uważał, że jedynie rządy twardej ręki wymuszą na wszystkich wzajemny szacunek. Najważniejsze, by państwo było silne i panował w nim pokój, a najodpowiedniejszy system władzy można było ustalić później.

Zdaniem Apollodorosa taki stan mógł osiągnąć jedynie Oktawian August. Mimo to zawsze starał się tłumaczyć ludziom, iż cesarz nie powinien mieć władzy absolutnej. Nawet zdobył się na odwagę, żeby porozmawiać na ten temat z Oktawianem i jego odpowiedzi miło go zaskoczyły.

Obecnie jego myśli zajmował o wiele bliższy problem. Przypuszczał, że z wiekiem stał się bardziej sentymentalny, dlatego martwiły go coraz bardziej przyziemne sprawy.

Dotarł do forum, na którym tłumy pochodzących z najróżniejszych stron handlarzy były odzwierciedleniem potęgi terytorialnej, jaką osiągnęło rzymskie imperium. Galowie oferowali dziwny pług z kołami, któremu wszyscy przyglądali się w osłupieniu i ze sceptycyzmem. Grecy sprzedawali figurki z brązu i naszyjniki, podczas gdy czarnoskórzy mężczyźni z dziwnymi fryzurami, zwączy się Numidyjczykami, otwierali worki z daktylami i przyprawami rozsiewającymi w powietrzu niepokojące zapachy. Sprzedawano również figurki z kości słoniowej, dywany i skóry egzotycznych zwierząt, jakich nigdy do tej pory nie widziano w mieście.

Mając dużo czasu, Apollodoros przystawał, aby posłuchać oratorów i poetów zebranych przed wejściem do świątyni. Każdy literat pragnął uzyskać pomoc Gajusza Cilnusza Mecenesa, doradcy Oktawiana, który starał się go przekonać, że poezja powinna stać się jedną z najbardziej chronionych sztuk. Mniej zdolni poeci popisywali się na miejskich forach, osiągając pewne sukcesy, dzięki którym żyli z dorywczych prac jako pisarze czy nauczyciele dzieci z zamożnych rodzin.

Wszystko, co działo się wokół Apollodorosa, nie przeszkadzało mu zastanawiać się nad losem Sulli. Im bardziej myślał o tym, co się wydarzyło, tym stawało się to dla niego coraz mniej logiczne.

Sulla Likinos w ciągu kilku miesięcy nauki okazał się wzorowym uczniem. Kiedy Apollodoros przybył do Tarraco wraz z Oktawianem, ten powierzył mu edukację Adriany. Cesarz chciał wyświadczyć przysługę swojemu przyjacielowi Manniemu, posłuchał również próśb Liwii Druzylli. Znając słabość Apollodorosa do książek, pozwolił mu uczyć też innych uczniów, by za zarobione dodatkowo pieniądze mógł się jej oddawać. Tak właśnie cesarz nazywał jego pasję – słabością. Staremu nauczycielowi spodobało się to określenie i często sam go używał.

Wkrótce pojawiła się propozycja kształcenia syna Kaenosa Likinosa – tubylca od lat służącego Rzymowi jako żeglarz. Chłopak od pierwszej chwili okazał się wspaniałym uczniem. Apollodorosa zaciekało, dlaczego nosił imię po rzymskim polityku i generale sprawującym pół wieku wcześniej funkcję konsula. Powód był prosty. Sulla Likinos urodził się w czasach, kiedy jego ojciec odbywał swoje pierwsze podróże i sądził, że taki ukłon w stronę Rzymian pomoże mu zaskarbić ich zaufanie. Usłyszał kiedyś, że Lucjusz Korneliusz Sulla był sprawiedliwym konsulem, co Kaenosowi Likinosowi wystarczyło, aby nazwać tak



swojego syna.

Sulla chłonał wiedzę niczym gąbka. Apollodoros nie był pewien trafności tego porównania, ponieważ jednak go bawiło, postanowił je zapamiętać.

Nauczyciel zajmował się również kształceniem Lukanosa, ale od kiedy ten został edylem miasta – z inicjatywy Oktawiana, której Apollodoros nie był w stanie zrozumieć – syn gubernatora stracił wszelkie zainteresowanie nauką retoryki czy filozofii. Tłumaczył się brakiem czasu na gry dialektyczne lub że jego zainteresowania zmierzały w innym kierunku.

Apollodoros przerwał swoje rozważania na widok niemal całkiem nagiego ciała pięknej młodej kobiety, którą wepchnięto na podest. Była niewolnicą wystawioną na sprzedaż, jednak jej czarna niczym heban skóra i intensywność spojrzenia odstraszała potencjalnych nabywców. Była wysoka, miała silne nogi i małe, jędrne piersi. Stary nauczyciel ruszył w dalszą drogę. Nie popierał takich praktyk, mimo że Pliniusz, mówiąc „Poruszamy się na ich nogach, patrzymy ich oczami i pamiętamy dzięki ich pamięci”, dał jasno do zrozumienia, że społeczeństwo rzymskie potrzebowało niewolników. Ich sytuacja w miastach ulegała poprawie, ale nadal wielu żyło w nieludzkich warunkach. Nauczyciel uważał się za postępowego człowieka i trudno mu było znieść tę myśl.

Ati rozłożył swój kram w doskonałym miejscu na forum i jak zwykle dwoił się i troił, aby podołać pracy: przeganiał gapiów, którzy nie mieli zamiaru niczego kupować, a tym bardziej niebędących w stanie przeczytać nawet jednej linijki tekstu.

– Apollodorosie! Ty staruchu! Jak się czujesz? – zawołał radośnie Ati, nie tracąc jednak czujności. – Słyszałem, że byłeś chory i medycy zamknęli cię w domu.

– To źle słyszałeś. Nie jestem chory ani nie mam zamiaru siedzieć w zamknięciu – nauczyciel odpowiedział, zastanawiając się, kto mógł rozsiewać tego rodzaju plotki na jego temat.

– Ciesz się mnie to, ciesz się mnie to! – powtórzył roztrzepany sprzedawca książek, próbując w tym samym czasie za pomocą krótkiej miotełki przegonić dwóch młokosów, którzy brudnymi rękoma dotykali jednego ze zwojów.

– Nie przyszedłem dzisiaj, żeby oglądać twój towar, Ati. Chciałem z tobą porozmawiać. Czy mógłbyś opuścić kram i napić się ze mną wina?

Apollodoros wiedział, z jaką niechęcią jego przyjaciel zostawiał swój stragan pod opieką kogoś innego, miał wszakże nadzieję, że propozycja okaże się kusząca, biorąc pod uwagę pijackie ciągoty Atiego.

– To musi być coś ważnego, skoro nie możesz poczekać do wieczora – stwierdził Ati, oblizując spierzchnięte usta wielkim jak na tak drobnego człowieka językiem; słońce paliło mocno na forum. – Jednak nie mogę odejść...

– Oczywiście, że możesz! Musisz mu wreszcie dać szansę.

Apollodoros powiedział to, wskazując na Serwiusza, który z własnej woli przychodził codziennie pomagać sprzedawcy książek i często pełnił funkcję chłopca na posyłki. Ati zamyślił się i spojrzał na młodzieńca. Oczy Serwiusza nagle rozblęły, by po chwili zgasnąć, jakby ogarnął go cień zwątpienia.

– Zgoda! – rzekł Ati, zaskakując swoją decyzją nawet znajomego siłę swojej perswazji Apollodorosa.

Chwilę później dwaj przyjaciele ruszyli w stronę tawerny. Stary nauczyciel słyszał jeszcze przez chwilę odgłos miotełki, którą wywijał Serwiusz, jednak nie odwrócił się, żeby sprawdzić, czy chłopak odganiał nią muchy, czy bił po rękach ciekawskich.

Nauczyciel wskazał sprzedawcy książek stoisko pełniące funkcję tawerny. Na szczęście zadane było grubym płótnem skutecznie chroniących klientów przed słońcem. Usiedli w rogu i zamówili dzban wina i dwa kubki. Apollodoros skrzywił się z niechęcią, ponieważ z zasady pił rzadko, a tego dnia nic jeszcze nie jadł. Jednak Ati, chcąc jak najszybciej ugasić pragnienie, ledwie zwracał na niego uwagę.

– Znając cię, z pewnością wiesz, co się dzieje z Sullą Likinosem, synem żeglarza i przy okazji moim uczniem – Apollodoros rzucił prosto z mostu, nie mając zamiaru tracić więcej czasu.

Jednak Atiemu nie spieszyło się z odpowiedzią. Miał łagodne usposobienie i nawet kiedy ze straganu skradziono mu jakiś pergamin, nie wpadał we wściekłość. Stary nauczyciel pomyślał, jak bardzo się od siebie różnili. On, bardzo wysoki i przygarbionym niczym sęp, zawsze nerwowy, przez co robił wrażenie jeszcze wyższego, niczym palma wyginana przez wiatr. Jego przyjaciel, niski i krępy, przypominał raczej drzewo oliwne.

Ati odczekał aż chłodne i młode wino pochodzące z winnic w Conca rozplynie się po jego gardle i żołądku, po czym się odezwał:

– Wszyscy w mieście o tym wiedzą, Apollodorosie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to paskudna sprawa i lepiej trzymać się od niej z daleka. Domyślam się jednak, że twoja duma byłego cesarskiego doradcy i nauczyciela cierpi z powodu czynu, jakiego dopuścił się chłopak.

– Zapewniam cię, że Sulla jest prawym człowiekiem i nie byłby zdolny do morderstwa!

– Skąd jesteś tego taki pewien? – Ati odstawił pusty kubek na stół i po raz trzeci dołał sobie wina.

– Ponieważ świadczy za tym czterdzieści lat mojego doświadczenia – powiedział z przekonaniem Apollodoros. – Znam się na ludzkiej naturze, a serce Sulli zostało stworzone do miłości, nie do zabijania.

– Aj, aj! Chyba przesadzasz, przyjacielu. Ludzkie postępowanie może czasem zaskoczyć. Czy jesteś pewien tego, co będziesz robił jutro? Może

oszalejesz i kogoś zabijesz.

– Mówisz o skrajnym przypadku, jednak życie co do zasady nie jest tak skomplikowane. Ludzie mają w zwyczaju zachowywać się zgodnie z tym, co się o nich myśli.

– Myśli, myśli, myśli! Życie nie rządzi się myślami, tylko czynami. Wygląda na to, że twój uczeń jest mordercą. Jeśli chcesz udowodnić coś innego, myśli ci nie wystarczą.

Apollodoros nie znalazł odpowiedzi na słowa przyjaciela. Ati miał dobry zwyczaj czytać wszystko, co trafiało do jego rąk; był przekonany, że sprzedawca powinien znać towar oferowany klientom. W rezultacie był niemal tak samo odczytany jak stary nauczyciel, który często uznawał jego znaczące zwycięstwo w dyskusji.

– Cóż, wezmę pod uwagę twoje słowa, ale chciałem cię zapytać, czy nie obito ci się coś o uszy. Słyszysz wszystko, o czym codziennie rozmawia się na forum, i być może masz dla mnie jakąś pomocną wskazówkę.

– Rozumiem, jednak nie słyszałem niczego, co świadczyłoby przeciw ogólnej opinii, że to Sulla zabił gubernatora Manniego.

Ati z zadowoleniem uderzył kubkiem o stół – wypił pięć kolejek, a stary nauczyciel zaledwie dwie – po czym wstał lekko podchmielony.

– Zapewne jesteś rozczarowany, ale nic więcej nie wiem. Najlepiej zapomnij o całej sprawie. Jednak ponieważ wiem, że i tak nie posłuchasz mojej rady, postaram się mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Teraz jednak muszę już wracać do kramu, żeby ten mały truteń Serwiusz nie zniszczył mi wszystkich zwojów. On chyba myśli, że rozgnieciona mucha robi mniej szkody niż jej maleńkie odchody.

Apollodoros zapłacił za wino i ruszył za sprzedawcą książek. Zgodnie z przewidywaniami Serwiusz, który zdążył zabić kilka owadów, zajęty był ścieraniem kawałkiem płótna ich krwi z pergaminów.

– Wynoś się, trutniu! – zawołał Ati, wrywając mu z ręki miotelkę i udając, że chce nią zdzielić go po głowie. – Niszczysz mi towar!

Stary nauczyciel stał przez chwilę przy kramie, podczas gdy Ati gonił nieszczęsnego pomocnika po całym forum. Uśmiechnął się do siebie. Był przekonany, że sprzedawca książek, mimo że sprawiał wrażenie groźnego, nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić. Chociaż on sam pewnie by się z nim nie zgodził.

Ati wrócił sam do straganu i zapanował spokój. Apollodoros pożegnał go i, jeszcze bardziej dezorientowany niż przed spotkaniem z kramarzem, postanowił udać się do portu, zobaczyć, jak szło rozładowanie towarów. Chciał sprawdzić przy okazji, czy wśród przycumowanych statków znajdował się ten, na którym pływał Kaenos Likinos, ojciec Sulli.

Oddalił się od forum zaledwie na kilka kroków, gdy stanął przed nim

Serwiusz.

– Nie miej mu tego za złe, chłopcze. Jestem pewien, że Ati umarłby ze smutku, jeśli pewnego dnia otworzyłby swój kram, a ty byś się nie zjawił.

– Wiem, jednak czasami mam tego dosyć, staram się robić wszystko najlepiej jak mogę.

– Rozumiem, rozumiem! – odrzekł nauczyciel, postanawiając poważnie porozmawiać o chłopcu z przyjacielem.

Doszli razem do placu budowy nowego teatru. Następnie skręcili w lewo i ruszyli wąskimi uliczkami prowadzącymi na nabrzeże.

– Być może wiem o czymś, co was interesuje – mruknął Serwiusz, jak gdyby od niechcienia.

– Co powiedziałeś, chłopcze? Co masz na myśli?

– Morderstwo!

Apollodoros zatrzymał się i spojrzał na niego uważnie. Był brudny i śmierdział, lecz wyglądał na miłego chłopca. Położył mu rękę na ramieniu i zaprowadził go w cień.

– Skąd wiesz, że się tym interesuję? Nie mogłeś przecież słyszeć mojej rozmowy z Atim!

– Sulla Likinos był przecież waszym uczniem, prawda?

– Tak, Serwiuszu! Powiedz mi, proszę, wszystko, co wiesz! – Stary nauczyciel nie mógł uwierzyć, że chłopiec ma informacje, których nie był w stanie uzyskać od nikogo innego.

– Wiem tylko tyle, co usłyszałem, jednak nie jestem pewien, czy chodzi o morderców gubernatora – widząc jednak błagalne spojrzenie Apollodorosa, mówił dalej: – Wczoraj podsłuchałem rozmowę kilku rybaków. Wspominali o starym, od lat zamkniętym magazynie w porcie. Wszystko wskazuje na to, że w środku ukrywają się jacyś ludzie, a rybacy mówili, że to może być jedynie kryjówka zabójców. Wtedy pomyślałem sobie, że być może to oni są odpowiedzialni za śmierć Manniego. Oczywiście pod warunkiem, że Sulla jest niewinny...

– Ale słyszałeś przecież, że wszyscy właśnie jego obarczają winą!

– Wszyscy też uważają, że jestem gamoniem! A co wy o tym sądzicie?

Logiczna odpowiedź Serwiusza zadziwiła starego nauczyciela. Chciał pogłaskać go po głowie, ale chłopak, nieprzyzwyczajony do czułych gestów, zrobił szybki unik.

– Nie bałbyś się tam ze mną pójść, Serwiuszu?

– Jasne, że nie! – odpowiedział chłopak, ujmując starego nauczyciela za rękę i prowadząc go w kierunku magazynów wybudowanych przez legionistów w czasach Juliusza Cezara.

Człowiek Wergiliusza czekał na Lukanosa pod drzwiami jego domu. Synowi gubernatora nadal drżały ręce, chociaż zaraz po opuszczeniu miejsca mordu wykąpał się w morzu, żeby zmyć z siebie krew, pot i ślady wymiocin.

– Mój pan oczekuje was w domu przy ulicy Font. Przesłał mnie, żebym wam towarzyszył.

– Powiedz mu, że przyjdę, kiedy tylko będę mógł – odpowiedział Lukanos, odzyskując pewność siebie, której teraz potrzebował.

– Rozkazał mi nie wracać bez was!

– Przykro mi, w takim razie nie będziesz mógł wypełnić tego rozkazu.

Lukanos znał możliwe dla niewolnika konsekwencje jego odmowy. Już i tak wiele ryzykował, docierając do górnej części miasta, ponieważ po zabójstwie Manniego żołnierze przesłuchiwali każdego nieznanego. Jednak wściekłość Wergiliusza była o wiele bardziej niebezpieczna. Pomimo to syn gubernatora był nieprzejednany. Jeśli ugnie się przed żądaniami współnika, już nigdy nie będzie mógł utrzymać swojej niezależności.

Wiele ryzykował. Zabójstwo ojca zlecone przez grupę rzymskich senatorów miało na celu pozbycie się gubernatora i obsadzenie jego miejsca kimś, kto byłby przychylniejszy ich panom. Przez wiele lat walczyli o poszerzenie plantacji drzew oliwnych. Już od dawna oliwa produkowana w prowincji Baetica nie była w stanie zaspokoić potrzeb coraz bardziej zaludnionego i bogatego Rzymu.

Przekonani, że tereny wokół Tarraco, zwane przez rzymskich historyków *Cessetanią*, były najodpowiedniejszym miejscem dla ich celów, senatorowie skontaktowali się z Wergiliuszem, ambitnym i pozbawionym skrupułów duumwirem. Ku ich zdziwieniu zdobył on poparcie Lukanosa. Syn gubernatora uważał ojca za słabego człowieka, wyznającego idee honoru i sprawiedliwości niezgodne z duchem czasu. Nie mógł mu również zapomnieć, że wielokrotnie ośmieszał go w obecności jakiegoś tubylca, sprzeciwiając się przyznaniu prawa do zaboru ziem czy orzekając na jego niekorzyść. Takie dyskredytowanie działań młodego edyla odbijało się w mieście szerokim echem, powodując umniejszenie autorytetu Lukanosa.

Lukanos gardził prostym życiem, jakie prowadził jego ojciec, zmuszając do

niego całą rodzinę. Dzięki śmierci Manniego jego syn mógł swobodnie zarządzać spadkiem i kto wie, może zrobić karierę w Tarraco, a nawet w samym Rzymie, od którego od lat polityczne decyzje coraz bardziej oddalały gubernatora. Kolejną kwestią było pożądanie, dręczące Lukanosa od lat. Wyeliminowanie gubernatora otwierało mu drogę do Adriany.

Tymczasem ingerencja Liwii Druzylli zniszczyła, przynajmniej chwilowo, snute przez niego plany. Żona Oktawiana miała zbyt wielką władzę, żeby jej się otwarcie sprzeciwić, ale Lukanos postanowił użyć do tego środków prawnych. Miał zamiar dochodzić swoich praw jako *pater familias* i odzyskać opiekę nad Adrianą. Wmawiał sobie, że nawet sama Liwia nie mogła ominąć prawa rzymskiego, chociaż faktycznie miał co do tego wątpliwości.

Teraz musiał się zająć innymi sprawami, zrobić kroki, które miały go przybliżyć do upragnionego celu. Pierwsze zadanie już zrealizował, chociaż starał się nie myśleć o strugach krwi nieprzytomnych najemnych zbirów, kiedy ich dobijał. Przeszło mu przez myśl, że wraz z odebraniem im życia pomścił śmierć Manniego i uśmiechnął się do siebie, co nie uszło uwadze Lucjusza.

– Czy dobrze się czujecie, panie? Mogę coś dla was zrobić?

– Nie, Lucjuszu, możesz odejść. Muszę wyjść z domu i nie wiem, kiedy wrócę. Czy masz jakieś wieści o Adrianie?

– Żadnych, ale najprawdopodobniej nadal przebywa w pałacu. Musicie jej wybaczyć, jest młoda i zagubiona.

Lucanos zastanawiał się, czy nie zabrać ze sobą centuriona na spotkanie z Wergiliuszem, ale odrzucił ten pomysł. Nie ufał zausznikowi ojca i nie miał zamiaru wciągać go w swoje sprawy, nawet jeśli miałby wszystko robić sam.

Jak śmiał mówić mu o przebaczeniu! Czy nie wyciągnął odpowiednich wniosków po tym, co zobaczył w pałacu? Te dwie kobiety spiskowały, żeby pozbawić go jego praw! Nie mógł do tego dopuścić.

Złapał krótki miecz treningowy, którym najlepiej walczyło mu się od młodszych lat, i wyruszył do trzeciej dzielnicy, do ślepej uliczki Font biegnącej w pobliżu murów. W takich miejscach gustował Wergiliusz. Kiedy tam dotarł, stwierdził, że była to prawdopodobnie najlepiej strzeżona część miasta. Ludzie jego wspólnika kręcili się wokół ubrani jak zwykli mieszkańcy, ale na ich przebrania nie nabrałoby się nawet dziecko.

Zanim wszedł do domu, zobaczył z odrazą, jak bili jakiegoś człowieka na końcu uliczki. Być może był to niewolnik, którego wspólnik posłał po niego, lecz nie miał zamiaru tego sprawdzać.

Wergiliusz powitał go osobiście.

– Lukanosie! Raczyłeś przyjść. Przez twą pychę musiałem ukarać mojego człowieka.

– Sądzisz, że przy ryzyku, które podejmuję, obchodzi mnie los jakiegoś

niewolnika?

Syn gubernatora chciał zaimponować mu swoją bezwzględnością, ale Wergiliusz pomimo młodego wieku był szczerym lisem. Przez pięć lat walczył zaciekle z Kantabrami i w nagrodę za zasługi na polu walki Oktawian oddał pod jego rządy miasto Llerdę. Jednak duumwir miał większe ambicje: pragnął przejąć kontrolę nad handlem oliwy między Tarraco a Rzymem. Aby osiągnąć ten cel, chciał zdobyć pozycję dla większości ludzi nieosiągalną – zostać mianowanym na gubernatora prowincji Tarraconensis.

Jednak Lukanos nie miał pojęcia o tych tajnych planach, wiedział tylko tyle, ile jego współnik mu wyjawiał, co i tak nie było mało.

– Wszystkie nasze najpilniejsze sprawy zostały załatwione – powiedział, dając Wergiliuszowi do zrozumienia, że mordercy przestali stanowić problem.

– Cieszę się, Lukanosie. Już nie mamy odwrotu i wkrótce zobaczymy pierwsze wyniki naszego planu. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym przedstawić cię kilku przyjaciółom.

Syn gubernatora instynktownie zrobił krok do tyłu i położył dłoń na mieczu. Po Wergiliuszu mógł się spodziewać wszystkiego, a w pomieszczeniu, oświetlonym tylko lichą lampką oliwną, panowały niemal całkowite ciemności. Duumwir miał doskonałe warunki, żeby pozbyć się jedynej osoby znającej jego ambitne plany. Jednak postaci, które za chwilę wyszły z mroku, były w podeszłym wieku i uznał, że nie stanowiły zagrożenia wymagającego, by dobył miecza.

– Przedstawiam ci Septimiusza Maksymusa i Tulliusza Domicjusza, rzymskich senatorów, którzy, jak się pewnie domyślasz, przybyli do nas na jednym ze statków, jakie niedawno zawinęły do portu.

Zamiast się uspokoić Lukanos poczuł nagłą wściekłość. Wergiliusz wezwał senatorów, żeby mieć w Tarraco sprzymierzeńców! Umiejętność knowania współnika przeszła jego najśmielsze oczekiwania.

– Jak zapewne rozumiesz, nasi przyjaciele pomogą nam przekonać Oktawiana o najlepszym rozwiązaniu.

– To dla mnie wielki zaszczyt – odrzekł, witając się z nimi jak przystało na cesarskiego edyla.

– To my jesteśmy zaszczyceni, młody Lukanosie. Wergiliusz powiedział nam o waszych wielkich zasługach dla interesów Rzymu – odpowiedział wyglądający na starszego mężczyzna ironicznym tonem, który syn Manniego zignorował. – Zapewne będziecie towarzyszyć nam na spotkaniu z cesarzem.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – wtrącił się Wergiliusz z uśmiechem na twarzy. – Słyszałem, że nasz młody przyjaciel był wczoraj bohaterem niezbyt chwalebego epizodu.

Syn gubernatora nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Wergiliusz dowiedział się o jego kłótni z Liwią Druzyllą i teraz wykorzystywał to przeciwko niemu. Co

mógł powiedzieć? Musiał szybko zareagować, zamiast jednak skupić myśli, poczuł, jak drżały mu ręce. Z wielką przyjemnością przebiłby mieczem tego zdrajcę, nawet jeśli miałyby się splamić jego krwią.

– To zmienia postać rzeczy – stwierdził senator, który do tej pory milczał. – W każdym razie będziemy o was pamiętać.

– Jestem przekonany, że nasz młody przyjaciel to rozumie, Septimiuszu – powiedział Wergiliusz, chcąc zakończyć temat. – Jak sam często powtarza, gra toczy się o najwyższą stawkę.

– Wynagrodzimy mu to, kiedy przejmemy władzę nad Tarraconensis i Wergiliusz wyda nowe przepisy dotyczące upraw. Rzym nie może ograniczać rozwoju z powodu kaprysu kilku ludzi.

Tulliusz Domicjusz chciał przejść do sedna sprawy i obecność Lukanosa najwyraźniej stanowiła przeszkodę. Syn gubernatora zastanawiał się, o co naprawdę chodziło Wergiliuszowi. Nie wezwał go przecież po to, by upewnić się co do śmierci morderców ani żeby przedstawić mu dwóch senatorów...

Nagle niewolnicy wnieśli do pomieszczenia świeczniki i komnata ukazała się w całej swej świetności. Lukanos przypomniał sobie, że dom był rezydencją pewnej rodziny patrycjusza, którzy zmarli na dżumę zeszłej wiosny. Ściany pokryte były malowidłami przedstawiającymi rodzajowe sceny, a rzeźby były kopiami dzieł wielkich mistrzów. Ojciec powiedział mu o bogactwie tego *domusu* podczas jednego z ich ostatnich wspólnych spacerów, dodając przy tym, że uważał go za niepotrzebny zbytek. Takie podejście powodowało, że pałac gubernatora był jednym z najsmutniejszych miejsc w całym cesarstwie. Lukanos obiecał sobie, że kiedy tylko zostanie *pater familias*, zatrudni najlepszych rzemieślników i zamieni swój dom w przedmiot zazdrości rzymskich wyższych sfer, a Adriana mu w tym pomoże, czy to jej się podoba, czy nie.

Wergiliusz wybrał ten stary dom na centrum operacyjne, ale na widok pater z jedzeniem, jakie niewolnicy zaczęli wносить, Lukanos zrozumiał, że duumwir będąc poza pałacem w Llerdzie, nie zamierzał rezygnować ze swoich przyzwyczajień. Długo nie trzeba było czekać na pojawienie się tancerek, na widok których senatorowie umilkli.

Syn gubernatora nadal czuł w ustach posmak krwi jednego z morderców, która trysnęła na niego kilka godzin wcześniej. „Być może – pomyślał – to idealny moment, żeby poznać się bliżej z senatorami i przekonać ich, że jego kłótnia z Liwią Druzyllą była jedynie prywatną sprawą i nie ma żadnego wpływu na ich plany”.

Wciąż intrygowały go powody, dla których Wergiliusz wezwał go, żeby rzucić jak brudną szmatę przed rzymskimi sojusznikami. Na razie zamiast odpowiedzi trzymał w ręku kielich wina i mógł podziwiać młodziutkie tancerki, młodsze nawet od Adriana.



Kobiety rozpoczęły swój taniec i powoli zaczęły zbliżać się do senatorów. Również do Lukanosa, lecz on tym razem nie przyłączył się do zabawy.

Kiedy po usilnych namowach Liwii Druzylli udało się wreszcie przekonać Adrianę, żeby dla własnego dobra nie opuszczała pałacu, postanowiła udać się do domu medyka Antoniusza Musy. Znając wszakże niepokorny charakter protegowanej, wiedziała, że nie powinna wierzyć w jej posłuszeństwo. Dlatego rozkazała strażnikom, by nie pozwolili dziewczynie opuszczać pałacu bez względu na to, jak bardzo będzie o to błagała.

Mimo powzięcia takich środków ostrożności żona cesarza nadal się niepokoiła. Wiedziała, że Lucanos tak łatwo nie odpuści Adrianie. Coraz mniej rozumiała syna nieszczęsnego Manniego. Gdy jako dziecko biegał i bawił się pod jej opieką, wydawał jej się takim samym chłopcem jak inni, może tylko trochę bardziej zainteresowanym kwestiami dotyczącymi władzy. Natomiast mężczyźni z jej otoczenia lubili jego towarzystwo i wróżyli mu wspaniałą przyszłość. Nawet Oktawian bardzo go sobie cenił, co nie miało nic wspólnego z przyjaźnią, która łączyła go z jego ojcem. „Ponieważ Lukanos dał się lubić – dumiała Liwia Druzylla, jadąc w eskorcie żołnierzy. – Był zawsze uprzejmy, a jego wiedza świadczyła o dużej inteligencji”. Miał też ciemną stronę, o czym mało kto wiedział. Liwia klóciła się o to z Oktawianem, który nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Syn Manniego był mu bliski i pokładał w nim wielkie nadzieje. Ku zadowoleniu Liwii Druzylli, ze względu na introwertyczny charakter cesarza Lukanos nie zdawał sobie sprawy ze swojej pozycji i nie mógł jej wykorzystać dla własnych celów. Chociaż w obecnej sytuacji żona Oktawiana nie była tego do końca pewna. Dlatego postanowiła odwiedzić Musę. Miała do niego o wiele większe zaufanie niż do Apollodorosa i lubiła z nim rozmawiać. Ponadto do tej pory nie miała okazji podziękować mu za lek, który przywiózł z Ausy. Oktawian nie wyleczył się z choroby, ale z każdym dniem czuł się coraz lepiej, spędzając czas na zimnych kąpielach i pijąc napary z ziół.

W pobliżu miejskich murów Liwia rozkazała żołnierzom zatrzymać się i wysiadła z lektyki. Bez żadnych tłumaczeń odprawiła gestem wszystkich oprócz jednego młodego legionisty ubranego w zwyczajną tunikę. Na wszelki wypadek zawsze zabierała ze sobą z pałacu kogoś w cywilu.

Ku swojemu zaskoczeniu na końcu ulicy ujrzała Lukanosa najwyraźniej

próbującego nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Wszedł z małej uliczki, przy której wznosił się tylko pałacyk rodziny Apiano, uśmierconej dziwną chorobą wkrótce po przybyciu do Tarraco. Musa twierdził, że zabiła ich dżuma, ale Liwia Druzylla często słyszała to z ust medyków, kiedy nie umieli postawić pewnej diagnozy.

Nagle pojawienie się Lukanosa wzbudziło jej ciekawość. Na szczęście po odprawieniu żołnierzy zakryła twarz, nie lubiąc afiszować się podczas wypraw po mieście, a strój jej nie zdradzał. Stała i z daleka patrzyła na rozgrywającą się scenę. Wkrótce okazało się, że nie tylko obecność młodzieńca była zaskakująca. W ślad za nim z uliczki wyszło kilku legionistów, którzy popatrzyli na edyla z nieukrywaną pogardą. Liwia przypomniała sobie wtedy coś, o czymś niedawno usłyszała. Chociaż dała informatorowi do zrozumienia, że nie przywiązywała do tego zbyt dużej wagi, zapamiętała tę informację na wypadek, gdyby mogła się jej kiedyś przydać...

Nie pamiętała już, kto jej o tym wspomniał, ale pałacyk rodziny patrycjusza został kupiony przez Wergiliusza – człowieka, którego Oktawian nominował duumwirem Llerdy. Liwii Druzylli nigdy nie podobał się ten typ. W towarzystwie przybocznego podeszła bliżej. Lukanos na chwilę zatrzymał się w zamyśleniu, ale zaraz ruszył dalej bardziej zdecydowanym krokiem, więc musieli ukryć się za ulicznym kramem, na którym sprzedawano piękne czerwone jabłka.

– To najlepsze jabłka w *Cessetànii* – powiedziała staruszka ku niezadowoleniu Liwii, która radziła mężowi zakazać używania lokalnych nazw terenów Tarraco.

– Dużo ludzi u was kupuje? – żona Oktawiana zapytała staruszkę, nie spuszczać oka z właśnie przechodzącego obok niej pogrążonego w myślach Lukanosa.

– Tak! Bogowie sprawili, że ten ważny człowiek kupił stary pałac. Jednak przyjechał tu po raz pierwszy.

– Skąd o tym wiecie? – Liwia zapytała, grzebiąc wśród jabłek.

– Jak mam nie wiedzieć, skoro przez całe życie siedzę w tym samym miejscu?

To było logiczne. Staruszka, mimo swojego wieku, byłaby dobrym szpiegiem. Cesarzowa uświadomiła to sobie i chciała ją jakoś wynagrodzić. Jednak nigdy nie nosiła przy sobie pieniędzy, a nie chciała prosić o nie żołnierza czekającego na nią posłusznie po drugiej stronie ulicy. Słowa staruszki ją zaskoczyły.

– Weź sobie to jabłko, daję ci je.

– Dziękuję – odpowiedziała zdumiona. – Życzę wam długiego życia i doskonałego utargu. Na pewno z tym ważnym człowiekiem przyjechało wielu żołnierzy.

– Wielu, wielu! Przez cały dzień się tu kręcili. Jakbym mieszkała przy pałacu cesarza.

Odchodząc od kramu staruszki, Liwia zdążyła jeszcze zobaczyć plecy Lukanosa, który oddalał się ulicą, być może w kierunku swojego domu. Była wściekła! Jak to możliwe, że żaden z jej szpiegów nie doniósł jej o przyjeździe Wergiliusza? Po śmierci Manniego należało mieć się na baczności, ale Oktawian spędzał całe dni ze swoimi generałami, omawiając techniki wojskowe podejmowane podczas wojny z Kantabrami nadal stawiającymi opór. A nocą? Musa zalecił cesarzowi kąpiele, które ten brał skwapliwie przy każdej okazji. Podobno leżał w wodzie godzinami, czasami nawet do świtu, ale Liwia wołała nie wiedzieć, co on i jego przyjaciele tak naprawdę robili w łaźniach.

Cofnęła się na widok czujnych legionistów stojących na rogu ulicy. Domyśliła się, że ktoś wyszedł z pałacyku. Nie dając żadnego znaku swojemu żołnierzowi, czekała na to, co się wydarzy. Ulicą szedł Wergiliusz w towarzystwie dwóch mężczyzn, którzy, jeśli wzrok jej nie mylił, byli rzymskimi senatorami. Wkrótce rozpoznała jednego z nich. To był Tulliusz Domicjusz. Nie miała co do tego wątpliwości. Był gubernatorem ziem afrykańskich za panowania Juliusza Cezara. Nie mogła sobie przypomnieć imienia drugiego mężczyzny, którego również już kiedyś widziała. Poza tym zdradzały ich obszyte purpurą tuniki.

Co oni robili w Tarraco? Śmierć Manniego nie mogła być powodem ich obecności. Nie zdążyliby dotrzeć do miasta po otrzymaniu tej smutnej nowiny. Chyba że ktoś ich o tym wcześniej uprzedził.

Zawołała żołnierza i oboje ruszyli w drogę powrotną do pałacu Oktawiana. Do końca dnia musiała dowiedzieć się wielu rzeczy, więc na odwiedzinie u gadatliwego Antoniusza Musy, który zawsze opowiadał jej o swoim bracie i chorobach, jakie należało zwalczyć w mieście, nie miała w tej sytuacji czasu.

Przede wszystkim musiała się dowiedzieć, co Lukanos robił w towarzystwie Wergiliusza.

Apollodoros zszedł z chłopcem do portu. Przy statkach, które przyplłynęły z Rzymu, nadal uwijali się tragarze. Na przystani piętrzyły się setki amfor z winem, gotowych do załadowania. Jednak tych z oliwą było zaledwie kilkadziesiąt. Serwiusz, prowadząc starca za rękę, skręcił na północ. Mijając po drodze kilka rybackich łodzi wyciągniętych z wody, dotarli do starych magazynów. Jakiś czas wcześniej, po wybudowaniu falochronu, centrum działalności portowej przeniosło się bardziej na południe, więc wokół magazynów nie widać było żywego ducha. Stary nauczyciel poczuł strach na tym odludziu. Nie był tchórzem, jednak z wiekiem postępująca słabość wzmagała w nim ostrożność.

– To ten magazyn – chłopak wskazał na rozpadającą się drewnianą konstrukcję.

– Jesteś tego pewien? Nie wygląda, żeby ktoś z niego korzystał, przynajmniej ostatnio.

– Oczywiście, że jestem pewien! Rybacy mówili właśnie o nim. Wiem, ponieważ często przychodziłem tu bawić się z kolegą.

– Co się stało z twoim kolegą?

– Nie żyje.

– Przykro mi, ja...

Tymczasem Serwiusz podszedł do drzwi budynku i zatrzymał się przed nimi. Apollodoros położył mu rękę na ramieniu, czekając, co zrobi.

– Dziwne – chłopak odezwał się w końcu.

– Co jest takiego dziwnego? Czy coś ci nie pasuje?

– Spójrzcie na ten drewniany drąg zamykający magazyn od zewnątrz... Nigdy wcześniej go nie widziałem. Poza tym to nie ma sensu! Jeśli ktoś byłby w środku, nie mógłby się stamtąd wydostać.

– Twierdzisz, że wcześniej go nie było? Nie widzę w tym nic dziwnego. Czasami drzwi zamyka się też od zewnątrz.

– Ale w zeszłym tygodniu go nie było! Przychodzę tutaj od czasu do czasu powspominać przyjaciela.

Apollodoros spróbował zdjąć ze wsporników drewniany rygiel i widząc to, chłopak ruszył mu z pomocą. Po otwarciu drzwi uderzył ich przerażający smród.

Cofnęli się i dopiero po chwili zebrali się na odwagę, żeby zajrzeć do środka. Stary nauczyciel wszedł, zakrywając nos skrajem togi, a Serwiusz ruszył za nim.

Światło wpadające przez otwarte drzwi i liczne szpary w drewnianych ścianach wystarczyło, żeby zrozumieli, co się stało w środku. Mieli przed oczami prawdziwą jatkę. Apollodoros zbliżył się ostrożnie do zwłok, wiedząc jednak, że istniały nikłe szanse, by którykolwiek z mężczyzn nadal żył. Wszystkim zadano liczne ciosy; dwóch miało podcięte gardła, a trzeci rozpruty brzuch niczym zwierzę w rzeźni.

Nie wytrzymali tam długo. Kiedy wyszli z magazynu, chłopak odbiegł na bok, żeby zwymiotować, a stary nauczyciel zastygł nieruchomo. Przypuszczał, że gdyby mógł się zobaczyć w tej chwili, dowiedziałby się dokładnie, jak wygląda śmierć. Pobladł i drżał na całym ciele. Serwiusz wrócił, wycierając usta tuniką, która opadła mu z jednego ramienia.

– Wygląda na to, że nie tylko mnie zebrało się na wymioty!

– Tak, oczywiście! – powiedział Apollodoros nieobecny głosem ze wzrokiem wbitym w kręcących się w porcie niewolników, jednak ich nie widząc.

– Jeśli macie zamiar wezwać żołnierzy, to ja lepiej pójdę; nie przepadamy za sobą.

– Zaczekaj, zaczekaj, porozmawiajmy chwilę – odpowiedział stary nauczyciel, widząc, że chłopak ma zamiar wziąć nogi za pas. – Chyba nie jesteś na bakier z prawem?

– Czasami, kiedy Ati zamyka swój kram, a ja jestem głodny, szukam jedzenia tam, gdzie nie powinienem.

W spojrzeniu Serwiusza widać było dziwny strach. Apollodoros ocknął się z zamyślenia i przypomniał sobie zdanie, które chłopak powiedział kilka minut wcześniej i nie miało praktycznie sensu.

– Dlaczego powiedziałeś, że komuś innemu też zebrało się na wymioty?

– Ponieważ zwymiotowałem tak jak ja, obok drzwi.

– Czy wiesz, co mówisz, Serwiuszu? To mogłoby oznaczać, że ktoś odkrył zwłoki przed nami!

– Tak, wiem, nie jestem dzieckiem.

Apollodoros spojrzał na niego; nie miał więcej niż czternaście lat, chociaż w tak brudnym ubraniu i z wiecznie rozczochranymi włosami mógł wydawać się starszy.

– Być może był to morderca, który nie wytrzymał widoku takiej ilości krwi.

– To słabość niepasująca do mordercy – stwierdził stary nauczyciel, mówiąc jakby sam do siebie.

– Podejdźcie i spójrzcie, jeśli mi nie wierzycie.

Zbliżyli się do wskazanego miejsca. Chłopak miał rację. Obok drzwi widać było wymiociny i po ich wyglądzie Apollodoros doszedł z obrzydzeniem do

wniosku, że musiały znaleźć się tam niedawno. Dręczyło go coś jeszcze, ale nie wiedział dokładnie co. Pomyślał, że z wiekiem jego tok rozumowania stał się powolniejszy i takie sytuacje zdarzały mu się od pewnego czasu coraz częściej. Czasami zapominał czyjegoś imienia albo nie mógł przypomnieć sobie, gdzie zostawił jakiś przedmiot codziennego użytku.

Serwiusz znów dał do zrozumienia, że chce odejść, lecz stary nauczyciel zapewnił go, że nie powinien się martwić, ponieważ jeszcze nie zdecydował, co zrobić ze zdobytą informacją. Chłopak uspokoił się trochę, w odróżnieniu od Apollodorosa, który zastanawiał się, jak powinien postąpić. Intuicja podpowiadała mu, że ci martwi mężczyźni mieli związek z morderstwem Manniego. To byli bandyci, ludzie z marginesu, idealnie nadający się do wykonania takiego zadania. Miał kilka opcji: mógł zgłosić strażom swoje odkrycie, co ściągnęłoby na niego kłopoty i przesłuchania. Znał metody stosowane przez żołnierzy w kryzysowych momentach i pomimo posiadanych znajomości uznał, że nie jest to najlepszy pomysł. Innym wyjściem było opowiedzenie o wszystkim Liwii Druzylli. Chociaż wtedy unikająca skandali żona cesarza najprawdopodobniej wyeliminowałaby go z gry.

Uznał w końcu – czując na samą tą myśl drżenie nóg – że najlepszym wyjściem będzie milczenie, obserwowanie i prowadzenie własnego dochodzenia. Tymczasem najsmardziej będzie zabrać ze sobą chłopaka i stąd odejść. Ci ludzie nie potrzebowali już pomocy, a on, biorąc pod uwagę rzeczy, jakie działy się w mieście, wiedział, że znając taką tajemnicę, nie mógł czuć się bezpiecznie.

W chwili gdy mijali w drodze powrotnej zacumowane przy przystani statki, udając, że im się przyglądają, Apollodoros zrozumiał nagle, co zwróciło jego uwagę, kiedy zobaczył przed magazynem wymiociny. Były w nich niestrawione kawałki jedzenia wyglądające na mięso. Biedacy, którzy zwyczaj kręcili się po porcie, nie mieli dostępu do takiego pożywienia.

Sulla i Trepso spędzili w jaskini dwie doby. Tylko raz zebrali się na odwagę, żeby zejść na plażę i się wykąpać, chociaż na widok kilku łodzi rybackich doszli do wniosku, że nie był to najlepszy pomysł. Musieli czekać, aż ktoś ich stąd zabierze. Na szczęście nie doskwierały im jeszcze letnie upały. Noce spędzone w jaskini były chłodne, więc z zadowoleniem siedzieli przy ognisku rozpalonym zaraz po przybyciu. Żywili się warzywami i suchym mięsem, jakie ktoś wcześniej tam dla nich zostawił; Sulla podejrzewał, że zrobił to sam Trepso.

Jego małomówny strażnik przez cały dzień krzątał się po jaskini. Sprawdzał stan prowiantu, dzięki któremu utrzymywali się przy życiu, lub spoglądał w morze, stojąc w wejściu do ich kryjówki.

Trepso zwlekał jakiś czas, zanim wstał i zaproponował, by udali się na drugi koniec małej zatoki, na brzegu której byli poprzedniego dnia. Zejście było niebezpieczne, tym bardziej że żaden z nich nie był wprawiony w wędrówce po ścieżkach wijących się tuż nad przepaścią, a pod spokojną tonią morza ukrywało się skaliste dno.

Po dojściu do zatoki zrzucili z siebie ubrania i wskoczyli do wody, która w odróżnieniu od nagrzanego piasku plaży, była chłodna jak na początku wiosny.

– Myślałem, że już nigdy się nie wykąpiemy – powiedział Sulla, próbując z trudem utrzymać się na wodzie, bo choć był synem żeglarza, nie pływał zbyt dobrze.

– Nie możemy pozwolić, żeby nasze ciała popadły w odrętwienie. W każdej chwili może się coś wydarzyć.

– Na przykład ktoś po nas przybędzie?

– Dobrze by było – odpowiedział Trepso z nutą smutku w głosie.

Płynąc w kierunku małej wysepki oddalonej około stu metrów od brzegu, wierny sługa Liwii Druzylli zastanawiał się, czy ich ratunek nie zależał wyłącznie od łutu szczęścia. Tylko jego pani wiedziała o ich kryjówce i знаła cel ucieczki Sulli. Zanim przyśle kogoś z informacją, że mogą wrócić do Tarraco, musi odnaleźć zabójców Manniego. Trepso czuł, że jego los w jakiś sposób połączył się z losem tego nieszczęsnego chłopaka. Nie miał już żadnych wątpliwości co do jego niewinności, ale wiedział, że Liwia poświęci ich bez wahania, jeśli uzna to za



konieczne.

Co powinien zrobić, jeśli sprawy przyjmą zły obrót? A jeśli nakryje ich patrol? Czy powinien walczyć o Sullę? Zadawał sobie w myślach te pytania, leżąc na skałach i odpoczywając przed powrotem na brzeg. Plan został stworzony z takim pośpiechem, że wiele wątpliwości pozostało bez odpowiedzi.

Z zadowoleniem stwierdzili, że patrząc od strony wysepki, wejście do jaskini było lepiej ukryte wśród roślinności, niż im się wydawało. O tej bezpiecznej kryjówce wiedziało niewielu Rzymian.

– Dowiedziałem się o tej jaskini od pewnego złodzieja, który ukrywał w niej przedmioty skradzione w najbogatszych domach w Tarraco – powiedział Trepso, dając jednocześnie znak chłopakowi, żeby nie wdrapywał się na wyżej położone skały.

– Ale na pewno wiedzą o niej miejscowi!

– Oni nie mają powodów, by cię szukać. Poza tym w pobliżu nie ma żadnej wioski.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Adriana nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy i że nie zjawi się tutaj, nawet jeśli by tego chciała?

– Nie dowie się tego, dopóki nie powie jej o tym Liwia. A chwilowo nie sądzę, żeby to zrobiła. Możemy tylko czekać.

– Trudno jest czekać, kiedy się nie wie, co się dzieje – Sulla poczuł gorąco i zszedł do wody, żeby schłodzić stopy.

– Być może masz rację, ale ta sytuacja ma też pozytywne strony. Pomyśl, że w ten sposób to oni muszą wyprać swoje brudy. A ty dzięki temu dostaniesz drugą szansę.

– Sądzisz, że Liwia znajdzie zabójcę Manniego?

– Powiedzmy, że ucieszyłbym się, gdyby tak się stało. Jednak nie jestem tego pewien. Odkąd opuściła Rzym, trudno jej się odnaleźć. Liwia władała prowincją poprzez Manniego. Cesarz od dawna pochłonięty jest wojną z Kantabrami, a teraz jeszcze ta jego choroba...

– Dlatego powinniśmy być przy niej i jej pomóc!

– Właśnie z tego powodu nie chciała ryzykować. Ma nadzieję, że zabójca gubernatora zareaguje na twoją ucieczkę, czując się niepewnie bez kozła ofiarnego w więzieniu.

– Oby bogowie cię wysłuchali, Trepso! – wyszeptał Sulla, jak gdyby pieczętując tym pragnieniem rozmowę.

– Tak, potrzebujemy pomocy bogów, a może nawet jakiegoś czarownika, który wskaże nam drogę w ciemnościach – Trepso popadł w melancholię; tęsknił za dzieciństwem, kiedy wszystko było prostsze i nie musiał zabijać, żeby przeżyć.

– Nie wierzę w czary – odpowiedział Sulla. – Gdybym wychowywał się przy ojcu, wierzyłbym tylko w potęgę pieniądza. Na szczęście miałem dobrego

nauczyciela.

– I czego cię nauczył twój nauczyciel? – zapytał Trepsa z wrodzoną sobie ciekawością.

– Wiary w ludzi.

– To też ma swoją magiczną stronę – stwierdził człowiek Liwii Druzylli, po czym wskoczył do wody i zaczął płynąć z powrotem w kierunku plaży.

Liwia Druzylla szła za Wergiliuszem i senatorami i zupełnie jej nie zdziwiło, kiedy ci nieoczekiwani goście zatrzymali się przed cesarskim pałacem. Odprawiła towarzyszącego jej żołnierza i przemknęła do środka drzwiami prowadzącymi do pomieszczeń niewolników.

W pałacu czekała na nią kolejna niespodzianka – Kaenos Likinos, ojciec Sulli. Z przekąsem pomyślała, że on bardziej zasłużył na jej uwagę niż senatorowie. Natychmiast poinformowała legionistę zastępującego Trepsa, że w pierwszej kolejności przyjmie żeglarza. Jednak cel wizyty Kaenosa ją zaskoczył. Żeglarz chciał przede wszystkim zdać relację z podróży z Ostii. Sprawami handlowymi do tej pory zajmował się Manni lub jego współpracownicy, więc jego śmierć naruszyła codzienne funkcjonowanie miasta. Liwia Druzylla pomyślała, że trzeba szybko temu zaradzić, ale Oktawian, zajęty wojną, nie chciał słyszeć o nominacji nowego gubernatora przed znalezieniem morderców przyjaciela.

Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Znajdowali się w komnacie audiencyjnej, podeszła zatem do krzesła, na którym zwykle zasiadał jej mąż, i przyjęła odpowiednią pozę.

– Przykro mi, że podczas waszej nieobecności zdarzył się tak przykry incydent. Musicie być załamani.

– Nie wierzę w nic, co mówią o moim synu, pani. On nie jest żołnierzem i nie byłby zdolny nikogo zabić. Nie wyobrażam sobie nawet, żeby zabił muchę przeszkadzającą mu podczas wieczerzy, więc jak mógłby zamordować człowieka, który wygrał tysiąc bitew.

– Dobrze, że tak myślicie o synu. Jednak powszechnie wiadomo, że działanie z zaskoczenia jest również niebezpieczną bronią – odrzekła Liwia Druzylla, chcąc pociągnąć go za język. – Rozumiem, że nikt nie chciałby, żeby jego syn okazał się zabójcą, nawet jeśli wszystko za tym przemawia.

– Wydaje mi się, że nie do końca wierzycie w to kłamstwo, Liwio Druzylllo! Cieszy mnie to.

– Niestety będę musiała uwierzyć w to, co powiedzą sędziowie, oczywiście, jeśli twój syn kiedykolwiek zostanie odnaleziony i stanie przed sądem. Nie wiecie przypadkiem, gdzie on się ukrywa?

– Nie wiem ani nie wyjawilibym tego, gdybym wiedział. Mogę wyrzec się Sulli jako syna, jeśli podejrzenia się potwierdzą, ale nie zdradzę go w ten sposób.

– Dobrze, już dobrze, Kaenosie. To było retoryczne pytanie. Musisz jednak wiedzieć, że istnieją mocne dowody przemawiające za jego winą. Z zimną krwią zabił strażników więziennych.

– Moim zdaniem każdy, kto traci wolność w wyniku niesprawiedliwego oskarżenia, powinien spróbować ją odzyskać na wszelkie sposoby. Inaczej, po co nam wolność, którą głosi Rzym?

– Czyli nawet może się uciec do morderstwa?

Kaenos Likinos nie odpowiedział i żona Oktawiana poczuła się urażona jego stwierdzeniem. Obywatele rzymscy nie powinni uważać wymiaru sprawiedliwości za wroga. Liwia była jednak zbyt inteligentna, by robić mu wyrzuty, a sytuacja na tyle skomplikowana, że nie miała zamiaru kłócić się z kupcem, który tak dobrze służył cesarstwu. Jednak była pamiętliwa i postanowiła zapamiętać ton, na jaki pozwolił sobie ojciec Sulli.

Tymczasem rzekła:

– Lepiej już idź, sama powiadomię cesarza o przybyciu floty.

Żeglarz skłonił się jej z krzywym uśmiechem na twarzy.

– I... Kaenosie! – zawołała Liwia Druzylla, kiedy był już w progu.

– Tak, pani?

– Dam ci radę, którą dobrze zapamiętaj: zanim ponownie staniesz przede mną, pozwól, żeby upłynął jakiś czas. I niech będzie on długi.

Likinos zaskoczyło, że w ten sposób zwróciła się do niego kobieta, nawet jeśli była nią napawająca wszystkich strachem Liwia Druzylla. Pokłonił się jeszcze raz i odwrócił, żeby opuścić pałac, nie czekając na strażnika.

Żonie Oktawiana, która zazwyczaj patrzyła na świat z optymizmem, pozostał gorzki posmak po tych odwiedzinach. Zamiast jednak oburzać się brakiem szacunku ze strony Kaenosa, pomyślała, że senatorowie i Wergiliusz powinni wyczuć pogardę, jaką chciała im okazać. Przyjęcie na audyencji zwykłego żeglarza przed tak wysokimi urzędnikami było niemal równoznaczne z wypowiedzeniem wojny.

Tymczasem kiedy duumwir wszedł do sali w towarzystwie senatorów, nie zauważyła na jego twarzy niezadowolenia, którego się spodziewała. Wręcz przeciwnie, był bardzo wylewny. Przeszedł przez salę, szeroko rozkładając ramiona i trzepotem swojej togi spychając senatorów na drugi plan przedstawienia.

– Witaj, Wergiliuszu. Nikt mnie nie uprzedził o twojej wizycie i z tego, co widzę, masz wyśmienite towarzystwo – stwierdziła żona Oktawiana, ciekawa, co się kryje za taką uprzejmością.

– Droga Liwio – Wergiliusz opuścił ramiona, zza których ukazali się dwaj senatorowie – sprowadzają nas tutaj ważne sprawy, o jakich chcielibyśmy

pomówić z cesarzem. Jednak na wieść o jego chorobie uznałem za stosowne najpierw porozmawiać z tobą.

– Zawsze podziwiałam nienaganność twoich manier, Wergiliuszu – „i zepsucie” pomyślała Liwia Druzylla, przypominając sobie niedawno usłyszaną historię świadczącą o okrutnej naturze duumwira. Chodziły pogłoski, że najważniejszy Rzymianin Llerdy wziął sobie za nałożnicę kobietę będącą żoną wodza pewnej górskiej wioski i już drugiej nocy próbowała ona zabić podczas snu swojego porywacza. W odpowiedzi na to Wergiliusz spalił wioskę i wymordował wszystkich zamieszkujących ją mężczyzn. Liwia nie miała żadnych wątpliwości, że wszystkie kobiety wziął do niewoli...

– Z pewnością znasz senatorów Tulliusza Domicjusza i Septimiusza Maksymusa, którzy właśnie przybyli z Rzymu... – rzekł duumwir, wyrwijając żonę Oktawiana z zamyślenia.

– Za tego co mi wiadomo, a może raczej nie było wiadomo, ich podróż była dobrze chronioną tajemnicą, Wergiliuszu! Z jakiego powodu? – zapytała, gdy senatorowie składali jej wyćwiczony ukłon.

– Widzę, że jesteś taką samą konkretną i bezpośrednią kobietą, jaką cię zapamiętałem. Senatorowie przybyli tu w prywatnych sprawach, aby dopilnować interesów w *Hispanii*, i podczas swojego tu pobytu dowiedzieli się o śmierci naszego gubernatora. Natychmiast postanowili ofiarować ci pomoc.

Liwia Druzylla skinęła głową, czekając na dalsze wyjaśnienia, ponieważ te, które usłyszała do tej pory, wydały jej się dziwne. To był zbyt oczywisty zbieg okoliczności, że senatorowie przybyli do Tarraco w tym momencie, chociaż prawdopodobne. Wiedziała, że wielu rzymskich senatorów ucieszył podbój *Hispanii* i chętnie przenieśli do niej część interesów prowadzonych w innych zakątkach imperium, które weszły w fazę wyraźnego spadku. Lecz jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Wergiliusz? Być może również brał udział w handlowej gorączce, jaka najwyraźniej opanowała rzymskie prowincje. Chwilowo nie była tego pewna, chociaż intuicja podpowiadała jej, że wystarczyło zaczekać i nadstawić uszu.

– Senatorowie chcieliby, żebyś poznała ich zdanie na temat obecnego kryzysu – stwierdził Wergiliusz.

– Zawsze chętnie wysłucham wartościowych opinii w kwestii, którą nazywasz kryzysem. *Tarraconensis* straciła jedynie wspaniałego gubernatora, ale o tym fakcie wie zbyt mało osób, żeby wywołał kryzys – odpowiedziała żona Oktawiana opryskliwie. W rzeczywistości cieszyła się, że może przed cesarzem poznać zamiary, które sprowadzały przybyszów.

– Zacna Liwio – podszedł do niej Tulliusz Domicjusz, najwyraźniej przyjmując rolę rzecznika grupy – wiesz, że ufamy w zdolności cesarza do rządzenia naszymi losami, ale uznaliśmy za stosowne zjawić się tutaj, żeby zwrócić

jego uwagę na kilka kwestii wynikłych ze śmierci Manniego.

– Wiecie również, senatorze, że nie lubię niejasności, a imperium wymaga obecnie całej mojej uwagi i nie mogę pozwolić sobie na stratę czasu. Przejdźcie więc do sedna.

– Oczywiście, oczywiście... – Tulliusz był lekko zbity z tropu, mimo że znał szorstki i obcesowy charakter żony Augusta. Septimiusz zachęcił go gestem, by mówił dalej. – Pozwolę sobie jednak najpierw na kilka uwag. Zarówno Septimiusz, jak i ja posiadamy gaje oliwne na wyróżniających się żyznością południowych obszarach Betyki.

– Cieszę się – odpowiedziała Liwia, kręcąc się niespokojnie na honorowym miejscu Oktawiana. – Nie ulega wątpliwości, że cesarz miał rację, przyznając rzymskim obywatelom prawo do wolnego handlu. Wciąż jednak nie wiem, do czego dążycie.

– Jeszcze nie doszedłem do tego, droga Liwio. Chodzi o to, że oliwa wysyłana z Betyki nie wystarcza, żeby zaspokoić potrzeby Rzymu. Gaje oliwne zostały nadmiernie wyeksploatowane i wiele z nich nie rodzi nowych owoców.

– To z pewnością wina ambicji ich właścicieli – stwierdziła żona cesarza z przekąsem, ale Septimiusz i Tulliusz udali, że tego nie słyszą.

– Senat zlecił nam przedstawienie wniosku, z którym chcieliśmy zwrócić się do Manniego. Należy wyznaczyć nowe tereny pod uprawy będące w stanie zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na oliwę. Pomyśleliśmy, że ziemie Tarraco są najlepiej przygotowane do podniesienia produkcji...

Liwia Druzylla przestała na chwilę słuchać przemowy senatora. Przypomniała sobie, że Manni zawsze był przeciwny tym jakże starym naciskom. Co prawda Tarraco otoczone było gajami oliwnymi, ale od zawsze należały do rdzennej ludności i Rzymianie jeszcze nie zdobyli wystarczających wpływów, żeby narzucenie jej zmian nie spotkało się z buntem. Septimiusz Maksymus znał dokładnie swoją misję i z pewnością wiedział, że śmierć Manniego ułatwi osiągnięcie rzymskich celów. Zastanowiła się, jak postąpiłby Oktawian. On zawsze starał się czynić zadość woli senatu, nawet jeśli nie popierał jego decyzji, chociaż równie często próbował zadowolić obie strony. Liwia Druzylla żałowała, że nie posiada takich zdolności.

– ...Jednak nie tylko o tym chcielibyśmy porozmawiać... – żona Oktawiana wróciła do rzeczywistości w decydującym momencie perory Septimiusza – wierzymy i jesteśmy pewni, że senat poparłby nasz wniosek, by nowym gubernatorem prowincji Tarraconensis został ktoś zaufany i gotowy do dialogu, posiadający talent do zarządzania i pogodzenia interesów Rzymu i prowincji...

– I zapewne macie na myśli kogoś konkretnego.

– Naszym zamiarem jest zasugerowanie cesarzowi wyboru, który zadowoli wszystkich, droga Liwio. Skoro jednak pytasz, odpowiem, że uznaliśmy za

właściwe zaproponować kandydaturę Wergiliusza, który ma za sobą nieposzlakowaną karierę wojskową, a poza tym doskonale zna obszar, jakim miałby zarządzać, może nawet lepiej niż poprzedni gubernator.

– Cóż, rozumiecie jednak, że tę decyzję podejmie cesarz.

– Wiemy o tym, pani – odezwał się nagle Tulliusz Domicjusz – ale wierzymy w wasz zdrowy rozsądek i jesteśmy pewni, że rozważycie nasze argumenty.

Liwia Druzylla zauważyła wyraźne zdenerwowanie Wergiliusza podczas całej rozmowy. Senat nie miał wystarczającej kontroli nad Betyką, a teraz planował zawładnąć, przynajmniej pod względem handlowym, *Cessetànią*. Natychmiast przeciwstawiłaby się temu, chociażby przez wzgląd na lojalność w stosunku do nieszczęsnego Manniego, ale Oktawian nauczył ją nie oceniać zbyt nisko wpływów tych ludzi, tak przywykłych od czasów republiki do postępowania według własnego widzimisie. W grę musiało wchodzić wiele czynników, skoro weszli w sojusz z takim człowiekiem jak Wergiliusz.

– Przekażę wasze sugestie Oktawianowi. Teraz, jeśli pozwolicie, muszę zająć się innymi sprawami.

– Bylibyśmy wam również wdzięczni, gdybyście umożliwili nam audiencję u cesarza. Wszyscy na tym skorzystamy – dodał Septimiusz przy jawnej aprobacie pozostałych.

– Wezmę to pod uwagę – powiedziała Liwia Druzylla, dając znak strażnikom, że uznaje rozmowę za zakończoną i gości należy odprowadzić do drzwi.

Wergiliusz skłonił się jej przesadnie, patrząc na nią z zuchwałym błyskiem w oku i uśmiechając się pewnie. Żona Oktawiana nie zareagowała na to w żaden sposób, ale w środku kipiała z oburzenia. Wielkim problemem władzy byli zawsze ludzie, którzy dążyli do jej posiadania.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. n.e.*

W mojej wsi panowała opinia, że rzymscy medycy byli barbarzyńcami i ćwiartowali zwłoki, by dowiedzieć się rzeczy, o których wiedzieli tylko bogowie. Cóż, mówiąc o mojej wsi, mam głównie na myśli Akrisę i jej przyjaciółkę Belindę. Ta kobieta spędziła długi czas w Carthago Nova, więc nie była powszechnie lubiana. Uważano ją za obcą, chociaż, jak sama twierdziła, mieszkała w górach Ausy aż do czasu, kiedy została porwana przez żołnierza podczas prania ubrań w potoku. Cóż, prawdę mówiąc, mało kto wierzył w tę historię.

Lubiłem Belindę. Sądzę, że pociągały mnie jej wielkie piersi i sposób, w jaki mierzyła się z problemami. Czasami myślałem, że jeśli nie zjawiłbym się na świecie, moja matka byłaby szczęśliwa tylko w towarzystwie tej kobiety. Być może właśnie dlatego starałem się być przydatny i starannie spełniać jej polecenia.

Dzisiaj boli mnie całe ciało. Uczucie niepokoju przebiega od żołądka aż po gardło i nie mam ochoty na spacer do portu. Wyszedłem do ogrodu i opadłem ciężko na trawę. Wiem, że trudno będzie mi wstać, ale staram się teraz o tym nie myśleć. Czuję tylko zapach ziemi i mięty rosnącej w pobliżu muru oddzielającego mnie od zewnętrznego świata i przypomina mi się dzień, w którym pewien rzymski barbarzyńca przeszedł przez próg naszego domu. Matka zleciła mi zebrać dużą ilość mięty, ponieważ zbliżało się lato i w wiosce ceniono przyrządzany z niej napój. Właśnie pomagałem wybierać najładniejsze liście, sprzedawane przez matkę po wyższej cenie, gdy nagle do naszej chaty weszła Falcja.

– Czego chcesz? – zapytała matka, kiedy tylko wyczuła jej obecność, nie podnosząc jednak wzroku znad ziół. – Myślałam, że nie rozmawiasz już z ludźmi gorszymi od siebie, skoro zyskałaś przychylność Rzymian.

– Przyszłam tu, bo mam dla ciebie interesującą wiadomość – warknęła sąsiadka, jednocześnie gestem ręki zaprzeczając oskarżeniom Akrisy.

– No tak, dobrze jest dzielić się z innymi swoją wiedzą – odpowiedziała matka z ironią, którą tylko ja wyczułem i starałem się powstrzymać wybuch śmiechu.

– Medyk opowiedział mi o problemie jednego z leczonych przez siebie chorych i wspomniałam mu, że ty mogłabyś mu pomóc – powiedziała Falcja z ważną miną, spodziewając się zapewne wybuchu euforii, a napotykając się na



ledwie zdawkowe zainteresowanie mojej matki.

– A kto jest tym chorym, jeśli można wiedzieć? – Akrisa zapytała, uderzając mnie pod stołem swoją zdrową nogą.

– Tego nie wiem, ale najwyraźniej ma problemy żołądkowe i zapalenie wątroby. Ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie Serafięgo, którego wyleczyłaś naparami.

Byłem bardzo mały, kiedy to się wydarzyło, ale matka wielokrotnie opowiadała mi swą ulubioną historię o chorobie pomyłonego pasterza, który od lat żywił się tym samym co jego kozy. Z tego powodu cierpiał na ostre biegunki, co uniemożliwiało mu wyjście w góry ze względu na ogromne osłabienie. Kiedy padło imię Serafięgo, Akrisa pierwszy raz spojrzała dumnie na kobietę, wcześniej puściwszy do mnie oko.

– Przypuszczam, że przypomniawszy sobie o nim, ponieważ dzięki mojej pomocy przeżył kilka lat dłużej. Wykorzystałaś ten czas dla zaspokojenia swej chuci, a co ważniejsze, nie musiałaś szukać innego kochanka. A to byłoby trudne, biorąc pod uwagę, że twoje ciało zaczęło przypominać zwiędłą sałatę.

Słowa Akrisy potrafiły być okrutne, a jednocześnie bardzo zabawne. Włożyłem sobie kilka listków mięty do ust, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Kobieta zaniemówiła i matka musiała wyrwać ją z osłupienia.

– Chcesz powiedzieć, że wybitny rzymski medyk Antoniusz Musa jest skłonny wysłuchać rad wiejskiej zielarki?

– Jak najbardziej! I jeśli zechcesz, zrobi to natychmiast. Czeka na zewnątrz i prosi, żebyś go przyjęła.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej widział takie zaskoczenie na twarzy matki. Naturalne napięcie całkowicie zniknęło i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że nie była już tą energiczną i waleczną kobietą sprzed kilku lat.

– Chce wejść do mojego domu? – zapytała z niekrytym przerażeniem.

– Cóż, jeśli chcesz, możecie spotkać się u mnie. Jest starszy i...

– W żadnym wypadku! Powiedz, żeby zaczekał chwilę i zaraz go przyjmę.

To ja powiedziałem. Sądziłem, że tego właśnie chciała matka, jednak Falcja nie poruszyła się, dopóki nie uzyskała zgody Akrisy. Kiedy nasza kłopotliwa sąsiadka wyszła, pozbieraliśmy zioła i ogarnęliśmy trochę chatę. Jedyne garnki, jakie mieliśmy, wylądował na środku stołu z bukietem werbeny, którą zebrałem tamtego ranka. Oboje powstrzymaliśmy śmiech, ale błyszczały nam oczy. Wspomnienia z tamtych chwil są prawdopodobnie najmiłszymi, jakie pozostały mi po matce.

W końcu Akrisa rozejrzała się wokół i uniosła ręce. Nie mogła zrobić nic więcej, ale jeszcze nie pozwoliła mi pójść po medyka. Wcześniej podeszła do jednego z dwóch pieńków, których używaliśmy jako stołki, usiadła za stołem i podała mi dwa kije służące jej za kule. Odłożyłem je obok narzędzi i jestem

pewien, że nikt nie domyśliłby się, do czego naprawdę służyły.

Wyszedłem z chaty i zobaczyłem medyka. Był wysoki i silny niczym żołnierz, chociaż ubrany w białą tunikę i skórzane sandały.

Przechadzał się po podwórzu, nie zwracając uwagi na małe kałuże. Zaprosiłem go do środka. Na mój widok podszedł spokojnie i zatrzymał się obok mnie w progu. Chciałem wejść tuż za nim, żeby odciąć drogę Falcji, lecz nie spodziewałem się tego, co nastąpiło dalej. Spojrzał mi prosto w oczy z wyrazem, który wydaje mi się teraz dobrotliwy, położył lewą rękę na mojej głowie, a prawą wręczył mi monetę.

Poczułem się urażony, być może dlatego, że przyszedł do mojego domu, a traktował mnie jak żebraka. Instynktownie zamknąłem dłoń, denar odbił się od mojej pięści i upadł na ziemię. Tym razem to on był zaskoczony, ale, ku mojemu zdziwieniu, nie wyglądał na zdenerwowanego. Spodziewałem się mocnego uderzenia w twarz, na które nie wiem jak bym zareagował, mógł również zawołać żołnierzy. Przez chwilę pomyślałem, co poczęłaby Akrisa bez mojej pomocy. Być może zamieszkałaby z nią Belinda...

To, co się potem stało, uważam za największą lekcję pokory, jaką dostałem. Rzymski medyk spojrział na mnie obojętnie, schylił się i zaczął grzebać w mieszaninie błota i odchodów, w którą wpadła moneta. W końcu ją odnalazł, wytarł w tunikę i schował.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać taki srebrny denar – powiedział, a jego zachowanie zawstydziło mnie i kompletnie zapomniałem o Falcji. Myślałem, że za tę monetę mógłbym kupić parę sztuk lnianej tkaniny i zawijałbym w nią zioła, tak jak robili to Rzymianie.

– Wejdźcie i rozgoście się w naszym skromnym domu – odezwała się matka, która później wyrzucała mi moją wyniosłość.

– Ubóstwo jest stanem ducha, dobra kobieto, a z tego, co słyszałem, w tym domu może i brakuje wiele rzeczy, ale bogaty jest w wiedzę.

– U mnie przynajmniej mam zawsze gotowy napar, żeby poczęstować nim gości – mruknęła Falcja, stając dwa kroki za medykiem.

Kiedy Akrisa spojrzała na mnie, ruszyłem w stronę drzwi. Rozumieliśmy się bez słów. Zawsze byłem z matką sam, ponieważ Belinda wołała odwiedzać ją pod moją nieobecność. Wychodziłem właśnie z dzbanem w ręku po wodę na przygotowanie naparu, kiedy Musa mnie powstrzymał.

– To naprawdę nie jest konieczne – jego żywe i głębokie spojrzenie nie pozwoliło mi się poruszyć. – Nasza rozmowa jest warta więcej niż jakakolwiek uprzejmość.

Spojrzałem na matkę, nie rozumiejąc, co ten człowiek miał na myśli, i nie bardzo wiedząc, co mam zrobić. Akrisa pozwoliła mi zostać, a medyk przejechał dłonią po zniszczonym pieńku, który służył nam za taboret. Falcja milczała

z wyrazem przegranej na twarzy.

– Wasze odwiedziny są dla mnie zaszczytem – odezwała się matka, a ja znów zastanawiałem się, co chciała przez to powiedzieć.

– Nie musicie mi schlebiać. Chciałbym, żebyśmy podzielili się wzajemnie naszą wiedzą. Tak jak już wspomniała Falcja, sądzę, że jeden z moich pacjentów jest nieuleczalnie chory.

Stałem, przysłuchując się im. Nie tylko dlatego, że nie miałem gdzie usiąść. Dotychczas nie słyszałem, żeby jakiś Rzymianin – cóż, prawdopodobnie ktokolwiek inny oprócz mojej matki – mówił w ten sposób. Żeby uniknąć pełnego napięcia milczenia, Musa wziął gałązkę werbeny, przełamał ją i włożył do ust.

– Już sam ten świeży zapach jest dla mnie pochlebstwem – odpowiedział i jestem przekonany, że Falcję zaskoczyło to jeszcze bardziej niż mnie.

– Z tego co wiem, poszukujecie w naszych górach leczniczych roślin – odezwała się Akrisa, która zdążyła już zapanować nad swoim początkowym zmieszaniem, a w jej głosie brzmiała pewność i zdecydowanie.

– Tak, dobrze jesteście poinformowani, choć przyznaję, że nie rozwiązałem dręczącego mnie problemu. Przyjechałem do Ausy właśnie ze względu na ciężki stan pacjenta, ponieważ słyszałem wiele dobrego o roślinach rosnących w okolicznych lasach.

– A na co choruje wasz pacjent? Może mogłabym mu pomóc.

Słyszając te słowa, Musa poruszył się niespokojnie na pieńku. Robił wrażenie skrępowanego i co chwilę spoglądał na Falcję stojącą wyprostowana przy stole, przy którym siedzieli, nie chcąc stracić ani jednego ich słowa.

– Czy mogę liczyć na waszą dyskrecję? – zapytał nagle, nie ukrywając dłużej swoich zamiarów.

– Perthusie! Czy mógłbyś odprowadzić Falcję na podwórze? I nie zapomnij podziękować jej za uprzejmość – powiedziała Akrisa, zastanawiając się na pewno, dlaczego medyk zatrzymał się w domu tej czarownicy, skoro chciał zachować tajemnicę.

Wahałem się przez chwilę, ale zaraz potem stanąłem pomiędzy stołem a sąsiadką i wskazałem jej gestem drzwi wejściowe. Nie zareagowała. Na jej twarzy wyraz zaskoczenia ustąpił rezygnacji, po czym zmienił się w gniew. Podszedłem do niej i powoli wyprowadziłem ją z chaty. Nie miała wyjścia, byłem od niej większy i cięższy, a ona była już prawie staruszką. Stanąłem w progu, pilnując, by trzymała się w pewnej odległości od chaty. Stamtąd mogłem podsłuchiwać rozmowę medyka z Akrisą.

– Dziękuję! – rzekł Musa. – W Tarraco jest nieuniknione, że niewolnicy plotkują między sobą o tym, co się dzieje w domach ich panów, ale tutaj sprawa, o której chcę wam powiedzieć, powinna pozostać tajemnicą.

– Możecie mi zaufać – matka promieniała, a może to światło wpadające

z dworu sprawiało, że błyszczały jej oczy.

– Jestem o tym przekonany, dlatego wyjaśnię wam, co mnie przywiodło w te okolice. Zapewne wiecie, że Oktawian August, cesarz wszystkich Rzymian, przybył do *Hispanii*, żeby stłamsić ostatnie ośrodki buntu kantabryjskich ludów. Jednak musiał opuścić pole walki z powodu poważnej choroby.

Matka odrzekła, że słyszała o tym coś niecoś na targu w Ausie, ale nie zna szczegółów. Oslupiałem. Akrisa wszędzie chodziła w moim towarzystwie, więc jak to możliwe, że nie miałem o tym pojęcia, chociaż pilnie przysłuchiwałem się jej każdej rozmowie.

– Cesarz cierpi na nawracające gorączki – kontynuował Musa. – A co gorsza, doświadcza biegunek, które zmuszają go do pozostawiania w łóżku dłużej, niż pozwala mu na to jego pozycja i związane z nią liczne obowiązki. Uważam, że związane jest to z jakąś przypadłością dręczącą jego jelita, chociaż zauważyłem również obrzęk wątroby.

– I sądzicie, że tutejsze zioła mogą go uleczyć.

– Mam taką nadzieję – odpowiedział medyk. – Przez wiele lat opierałem moją praktykę na naturalnych środkach i Apollo mi świadkiem, że wyleczyłem dzięki temu wiele chorób, jednak w wypadku Oktawiana żadna z moich kuracji nie przyniosła skutku. Falcja, której jedynie z grubsza opisałem problem, powiedziała mi, że być może wy spotkaliście się z podobnym przypadkiem.

– Oboje macie rację. Lasy Ausy obfitują w cudowne naturalne środki, a wśród nich jest roślina, o której być może nie pomyśleliście.

– Proszę, opowiedzcie mi o tej roślinie. Jeśli okaże się skuteczna, osobiście was za to wynagrodzę.

– Jakie wynagrodzenie macie na myśli? – zapytała Akrisa ku mojemu zdziwieniu, ponieważ nie spodziewałem się po niej zainteresowania tą kwestią.

– Nie wiem. Może macie jakąś propozycję.

– Wybaczcie moją zuchwałość, Antoniuszu, jeśli mogę tak się do was zwracać, ale w tej wiosce mój syn, Perthus, nie ma perspektyw na rozwijanie swoich zdolności. Jesteście wielkim medykiem, a ja jestem pewna, że mój syn również mógłby się nim stać.

Stałem do nich tyłem, nadal nie spuszczać wzroku z Falcji, która próbowała podsunąć się bliżej i podsłuchać rozmowę toczącą się w chacie. Jednak mój wzrok trzymał ją na odpowiednią odległość. Stałem nieruchomo, ale wewnątrz mnie kipiło. Do czego zmierzała matka?

– Nie należycie do ludzi tracących czas na czcze gadanie – odrzekł Musa po krótkim milczeniu. – Zapewniam was, że jeśli mi pomożecie, przyjmę waszego syna na ucznia. Jeśli jednak okaże się nieprzydatny, nie znajdę w nim zalet, o których wspominaliście, odeślę go z powrotem. Czy to sprawiedliwy układ?

– Uczciwy. Chociaż mogę z góry powiedzieć, że nie będziecie musieli go

odsylać.

Nie mam pojęcia, dlaczego nie wtrąciłem się do rozmowy, w której zdecydowano o mojej przyszłości, chociaż przypuszczam, że mój szacunek do Akrisy – najmądrzejszej osoby, jaką znałem – nie pozwolił mi na żaden sprzeciw. A może, kierując się zasłyszonymi w Ausie opiniami na temat Rzymian, miałem nadzieję, że Musa nie dotrzyma danego słowa. Przez kolejne dni byłem jednak zbyt zajęty, żeby zastanawiać się nad umową zawartą między medykiem i moją matką.

Tego dnia długo jeszcze rozmawiali, a ja pilnowałem Falcji. Matka opowiedziała Musie o doskonale znanej mi bukwicy zwyczajnej. Jest to roślina o jajowatych owłosionych liściach. Kwitnie na purpurowo lub różowo pomiędzy lipcem a sierpniem, więc wczesną wiosną jest najlepszy moment na zbiory. Akrisa tłumaczyła mi podczas naszych nocnych rozmów, że roślina ta była zdolna wyleczyć biegunki i migreny, poza tym doskonale wspomagała gojenie ran.

Niemal nie spaliśmy. Chciałem w ciągu kilku dni nauczyć się od niej całej jej wiedzy i dowiedzieć, jak miałem się zachowywać w stosunku do medyka. Mówiła, że to jest moja życiowa szansa, ale ja czułem się zraniony, że nie zapytała mnie o zdanie.

O świcie, w towarzystwie Andromikusa i Musy, ruszałem do lasu i zbieraliśmy całe naręczą roślin. Dobrze wspominam te chwile, kiedy z dumą pokazywałem medykowi nieznanne mu zioła, a przede wszystkim rywalizowałem z jego zwinnym pomocnikiem, żeby przekonać się, który z nas dwóch lepiej wyszukiwał i zbierał odpowiednie okazy. Musa również wydawał się szczęśliwy i sądzę, że mnie polubił, być może dochodząc do wniosku, że wywiązanie się z danego mojej matce słowa nie będzie trudnym zadaniem.

Chciałbym podnieść się z trawnika, gdzie siedzę już zbyt długo. Czuję na plecach wilgoć i przemarzły mi kości, ale nie mam siły się poruszyć. Mam wrażenie, jakbym przybrał pozycję pośmiertną, która czeka mnie już niedługo. Zrobiło się późno, a słońce zeszło już ze skrawka nieba widocznego z mojego ogrodu.

Może powinienem krzyknąć, by przyszła Nídia i mnie uratowała przed niechybnym przeziębieniem, jednak mój głos już dawno stał się szorstki i trudno mi mówić dostatecznie głośno. Nie wiem, kiedy Nídia przyniesie mi napar na noc i mam tylko nadzieję, że nie pozostawi mnie na pastwę losu.

*Tarraco, lato 26 r. p. n.e.*

Stary nauczyciel był tak bardzo zaabsorbowany ożywieniem panującym w porcie, że nie zwrócił uwagi, że Serwiusz w pewnej chwili zniknął. Kto mógł wiedzieć, gdzie podział się cieszący się zawsze pełną wolnością chłopak. Prawdopodobnie, znudzony czekaniem aż Apollodoros ocknie się z zadumy, wmieszał się w tłum.

Starzec zawsze podziwiał zręczność, z jaką niewolnicy przynosili ładunek ze statków na stały ląd. Tym razem wyładowywali materiały budowlane, przyprawy i ozdoby, wiedział jednak, że nieproporcjonalnie więcej towarów z *Hispanii* wywożono do Rzymu. Poza tym duża część dóbr przywiezionych do Tarraco lądowała prosto w cesarskim pałacu lub domach możnych obywateli, którzy jako jedyni mogli się nimi cieszyć.

Zapytał człowieka kierującego rozładunkiem o Kaenosa Likinosa, a ten – z pewnością będąc poinformowany o ostatnich wydarzeniach w mieście – zmierzył go wzrokiem z góry na dół i powiedział, że żeglarz wyszedł wcześniej rano, żeby załatwić swoje sprawy. Apollodoros czuł, iż mało brakowało, a mężczyzna by go przegonił.

Obawiał się reakcji Kaenosa. Flota, której przewodził ten wspaniały żeglarz, mogła czuć się bezpieczna. Niemniej był również człowiekiem porywczym, a wiadomość o tym, że jego syn podejrzany był o potrójne zabójstwo, z pewnością go nie ucieszyła.

Apollodoros jeszcze przez chwilę przyglądał się, jak niewolnicy próbowali zachować równowagę, schodząc po mostkach łączących statki z nabrzeżem. Niektórzy wpadali do wody z powodu zbyt dużego ciężaru, jaki nieśli. Musieli jednak samodzielnie wydostawać się z wody, ponieważ ich towarzysze mieli zakaz pomagania im. Rozkazywano im tylko odzyskiwać towary i dopiero pod koniec dnia wyławiano ciała topielców.

Starzec nie mógł zapomnieć widoku okaleczonych mężczyzn znalezionych w magazynie. Czy mieli coś wspólnego ze śmiercią Manniego? To było mało prawdopodobne, ale intuicja podpowiadała mu, że ktoś się ich pozbył, nie dając im możliwości obrony. Ktokolwiek to był, postąpił z wielkim okrucieństwem.

Przyszło mu do głowy, że przed rozmową z Liwią Druzyllą powinien

dowiedzieć się, do kogo należą te magazyny. Drzwi nie tylko wyglądały, jakby ktoś je zaryglował od zewnątrz celowo, ale sam drewniany drąg zrobiony był ze świeższego drewna, niż ta rozpadająca się rudera. Ktoś może zamknął tam tych ludzi, a potem zaatakował, odcinając im drogę ucieczki. Ale kto to zrobił i dlaczego?

Przeszedł przez miasto pogrążony w zadumie. W powietrzu unosił się zapach świeżych ryb, intensywniejszy za każdym razem, kiedy podmuch wiatru przelatywał nad wzgórzami złotych sardynek i sardeli wyładowywanych z łodzi. Apollodoros miał nadzieję, że Serwiusz nie piśnie nikomu słowa, ale nagle przypomniał sobie o Atim. Jeśli sprzedawca książek dowie się o ich odkryciu, doniesie o nim strażnikom, a oni natychmiast udadzą się do magazynu. Przeszedł odległość dzielącą go od *tabularium* najszybciej jak pozwalało mu na to jego słabe ciało. Miał nadzieję, że przez wzgląd na swoją pozycję uda mu się uzyskać pożądane informacje, chociaż może też skłamać, mówiąc, że zamierza kupić magazyny w porcie, żeby założyć w nich szkołę. Urzędnicy miejscowego rejestru często dostawali od właścicieli nieruchomości prowizje i nie tracili żadnej okazji dodatkowego zarobku.

Budynek *tabularium* znajdował się nieopodal forum. Kiedy wszedł do środka, myślał, że nikogo tam nie było, dopiero po chwili zauważył potężnego mężczyznę skrytego za stertą zwojów i pergaminów. Wyglądał, jak gdyby on również był pokryty kurzem i chociaż nauczyciel stał niemal przed nim, z trudem widział cokolwiek poza dokumentami.

– Jak tu weszliście? Zamknięte. Mamy przerwę na posiłek – powiedział mężczyzna beznamiętnym głosem.

– Nie widziałem żadnego napisu. Poza tym wy również nie przestrzegacie godzin urzędowania... – Apollodoros zdawał sobie sprawę, że to nie był dobry początek, ale nie mógł okazać ustępliwości, jeśli chciał osiągnąć cel.

– Tak, to prawda, powinienem wyjść stąd już jakiś czas temu – odpowiedział mężczyzna z pewnym smutkiem, wbijając wzrok w dłonie o suchej i popękanej skórze. – W czym mogę wam pomóc? Jeśli to nic wielkiego, mógłbym zrobić wyjątek.

Stary nauczyciel zauważył, że mężczyzna był tak pochłonięty pracą, że nawet na niego nie spojrział. Położył rękę na stosie dokumentów, żeby pokazać mu swoje drogie szaty.

– Potrzebuję tylko pewnej informacji. Prowadzę interesy w porcie i być może byłbym zainteresowany kupnem starych magazynów znajdujących się w jego północnej części. Wiem, że są w opłakanym stanie, ale mógłbym je wyremontować.

Urzędnik sprawiał wrażenie, że czegoś szuka.

– Stare magazyny? – zapytał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Tak, chyba zbudowano je za panowania Juliusza Cezara. Wyglądają na opuszczone. W środku porozrzucane są stare narzędzia, a przez dziurawe ściany wpada piasek naniesiony przez burze.

– Już wiem! – zawołał mężczyzna z dziecięcą radością. – Macie na myśli dawne składy wina. Pozwólcie, że sprawdzę... Chwileczkę...

Apollodoros wykorzystał ten czas, żeby rozejrzeć się po pomieszczeniu – podłużnej sali wypełnionej regałami z dokumentami. Wątpił, czy ktokolwiek był w stanie coś tam odnaleźć. Jednak jego plan działał; urzędnik miał już swoje lata i wydawał się uwielbiać swoją pracę. Stary nauczyciel nie potrzebował nawet wyciągać kilku monet, chociaż trzymał je zaciśnięte w ręku na wypadek, gdyby uzyskana informacja okazała się użyteczna.

– Nie mogę znaleźć... – wymamrotał mężczyzna i nagle puknął się znacząco palcem w czoło. – Już sobie przypominam! Po przyjeździe cesarza cały ten teren został oddany do dyspozycji legionów. Wydaje mi się, że zamierzano wybudować tam koszary, z których kontrolowano by port. Przykro mi, że nie mogę wam bardziej pomóc.

Zamilkł, z pewnością przekonany, że powiedział za dużo, ale kiedy spojrzał na Apollodorosa, z jego oczu zniknęła obawa.

– Rozumiecie, ta informacja jest poufna.

– Oczywiście. Jednak kto jest ich właścicielem? Rzymskie imperium? Gubernator, wojsko, a może sam Oktawian?

– A kto to może wiedzieć? – odrzekł beznamiętnie mężczyzna. – Pamiętam tylko, że ludzie gubernatora zabrali wszystkie dokumenty. Jednak teraz wybaczcie, muszę już zamykać. W związku z przyplłynięciem floty jutro zjawi się tu wielu kupców i będę zajęty do późna.

Apollodoros stwierdził, że nie ma w tym miejscu nic więcej do roboty, chociaż wyniki jego śledztwa nie były zadowalające. Jeśli tę część portu ustanowiono terenem wojskowym, trudno będzie dowiedzieć się czegokolwiek więcej. Jednak był przygotowany na to, że drążąc tę sprawę, wejdzie na ruchome piaski. Nadal nie opuszczało go uczucie, jakiego doświadczył na widok zwłok. Przypominał sobie mężczyznę, który nie miał poderżniętego gardła. Jego rana nie wydawała się na tyle poważna, żeby spowodować śmierć, lecz na twarzy zabitego zastygło przerażenie, rozpacz i być może wstępn.

Nauczyciel czuł, że intuicja go nie zawodzi i ktoś pozbył się tych ludzi. Powie o tym Liwii Druzylli; warto było jej pokazać, że na coś się przydał, ponieważ żona Oktawiana umiała docenić pomocnych jej ludzi. Być może wpłynie to pozytywnie na los Sulli.

Z wrzącym od nadmiaru myśli umysłem Apollodoros wrócił do domu, żeby zmienić sandały. Bolały go odparzone w letnim upale stopy.

Potem niezwłocznie zamierzał udać się do Liwii.





Trepsa podszedł na skraj urwiska. Mało brakowało, żeby rzucił się w przepaść. Zdążył się jednak opanować i odzyskując jasność umysłu, oderwał oczy od pustki.

Zadawał sobie pytanie, kiedy stracił czujność i popełnił największy w życiu błąd? Zresztą i tak było za późno! Nie sądził, że Sulla był na tyle nierozsądny, by odważyć się wejść do jednego z tuneli w głębi jaskini, ale chłopak uciekł. Zniknął niczym dym, który ucieka szczelinami znanymi tylko jaszczurkom. Nie ma go na dnie przepaści ani nie widać na ścieżce prowadzącej na plażę. Trepsa miał być jego strażnikiem, pilnować go z rozkazu jego pani, Liwii Druzylli. I zawiódł!

Jaki czekał go teraz los? Dzięki tej misji mógł odzyskać wolność. Nawet pozostając na usługach Liwii, może znalazłby sobie kobietę, z którą zamieszkałby w skromnym domu? Tymczasem jego więzień ulotnił się w pełnym znaczeniu tego słowa. Gdzie się podział ten wyglądający na pokornego chłopak? Jak udało mu się zwieść jego czujność?

Nie mając pojęcia o desperacji Trepsa, Sulla pruł przez fale, chcąc opłynąć skały i wydostać się na plażę po drugiej stronie. Świadomy ryzyka, bił wodę coraz silniejszymi uderzeniami ramion. Nieraz widział, jak jego koledzy rzucali się w odmęty w niebezpiecznych miejscach, ryzykując życie dla głupich zakładów. On nigdy się na to nie odważył. Robienie tego bez powodu uważał za szaleństwo. Teraz miał jednak motyw, i to o wiele ważniejszy niż przypuszczał.

Zastanawiał się przez dwa dni, czy powinien się rzucić w przepaść. Wiedział, że na dole były skały, ale również morze, które czekało na niego z poduszką z piany. Zaczął obserwować pływy morskie i zapamiętywał, gdzie woda była najgłębsza w czasie odpływów. W końcu zaczerpnął głęboko powietrza i skoczył, żeby odzyskać wolność.

Przez długi czas leżał na piasku. Powoli łapał oddech. Jeśli chciał dotrzeć do Tarraco przed nocą, czekała go długa wędrówka, ale na myśl, że ma szansę znów zobaczyć Adrianę, odzyskał siły, które stracił, płynąc wśród fal. Szkoda mu było Trepsa. Okazał się zupełnie innym niewolnikiem niż ci, których poznał do tej pory. Przypomniawszy sobie słowa Apollodorosa, który wróżył w dalekiej przyszłości równość wszystkich ludzi. Żył jednak nadzieję, że będzie miał okazję go

przeprosić i w razie czego wstawi się za nim.

Uciekł, ponieważ chciał dowiedzieć się prawdy o zabójstwie Manniego, a także dlatego, że tęsknił za Adrianą, jej ustami, spojrzeniem, szeptanymi rozmowami w ogrodzie. Pragnął zadać jej pytanie, które nie dawało mu spokoju, i wiedział, że jest niebezpieczne ze względu na rodzące się między nimi uczucie. Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić.

Nad morzem zapadał zmrok, kiedy w oddali ujrzał miasto. Szedł brzegiem plaży, z ulgą czując chłód wody oblewającej jego poranione przez skały stopy. Przed sobą widział niewielkie otoczone murami Scypiona wzgórze wznoszące się nad Tarraco oświetlanym ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Życie Sulli przez ostatnich kilka lat uległo tak dużym zmianom! Kiedy był dzieckiem, jego ojciec spędzał cały dzień na morzu, żeby dzięki złowionym rybom utrzymać rodzinę. Obecnie miasto nabierało coraz większego znaczenia, stając się ważnym portem na szlakach handlowych, a podczas wojen z ludami północnej *Hispanii* najlepiej chronioną rzymską bazą wojskową.

Kaenos wyczuł w tym dla siebie szansę. Rzucił rybactwo i zaciągnął się jako marynarz na statkach pływających po Morzu Śródziemnym. W ciągu kilku lat z podrzędnego stanowiska awansował na komendanta floty handlowej pływającej do Ostii, portu położonego najbliżej Rzymu. Transportowano tam owoce, przyprawy, czasami surowce z odległej Galicji. Nikogo w Tarraco to nie zdziwiło; jego ojciec znał morze jak mało kto, tysiące razy wypływał na nie małą rybacką łodzią, za każdym razem ryzykując życie.

Kaenos nigdy nie był czułym ojcem, a po tragicznej śmierci matki Sulli i przyjęciu odpowiedzialnej funkcji w rzymskiej flocie jeszcze bardziej oddalił się od syna. Sulla wychowywał się pod pieczę nauczycieli prowadzących go przez samotne życie, ale dużo czasu spędzał też na zabawach w porcie. Kiedy poznał Adrianę, jego serce zaczęło bić mocniej i rozkwitły w nim nadzieje. Tym bardziej teraz chciał rozwiać dręczące go wątpliwości. Dlatego postanowił uciec, rzucić się w przepaść i walczyć z nieposkromionym morzem pomimo swoich raczej słabych zdolności pływackich.

Sulla przeszedł obok opuszczonych magazynów, którymi interesował się Apollodoros, a następnie ruszył do górnej części miasta. Dzięki nocnym wycieczkom do pałacu gubernatora, wiedział, którędy pójść, żeby nie spotkać nikogo po drodze. Przeszedł przez tyły łaźni i szedł dalej w górę, trzymając się blisko murów. Bez trudu dotarł do domu Adriany.

Jednak to, co tam zobaczył, sprawiło, że powstrzymał się od podejścia bliżej. Wszędzie kręcili się żołnierze, a w progu stał Lukanos, rozmawiając z Lucjuszem. Czy mógł zaufać synowi gubernatora? Miał co do tego wątpliwości. Odbywali wspólnie część lekcji u Apollodorosa, ale fakt pobierania nauk u tego samego nauczyciela raczej nie wzbudził ich wzajemnej sympatii. Lukanos zawsze

traktował go z pewnym dystansem. Był rzymskim patrycjuszem, a on, mimo wszystko, zwykłym Iberem, tubylcem, nawet jeśli jego ojciec miał uzyskać niebawem rzymskie obywatelstwo za swoje zasługi dla cesarstwa.

Nie miał jednak innego wyjścia. Jeśli chciał zobaczyć Adrianę, musiał dostać się do domu, a biorąc pod uwagę wszędzie rozstawione straże, mógł to zrobić tylko w towarzystwie któregoś z domowników. Oprócz Adriany znał tylko Lukanosa.

Zauważył, że syn Manniego kłócił się z Lucjuszem, człowiekiem, którego podobno gubernator bardzo sobie cenił i który, według słów Adriany, wiedział o ich schadzках.

Sulla doszedł do wniosku, że nie był to najlepszy moment, żeby się ujawnić, a może obawiał się reakcji Lukanosa. Oparł się o mur. Miał na sobie stare łańchmany znalezione w porcie i wyglądał jak żebrak, co również nie przemawiało na jego korzyść, gdyby złapano go w tej części miasta. Rozważył swoje opcje. Mógł pójść do domu Apollodorosa, chociaż obawiał się, że nauczyciel jest zbyt blisko związany z cesarzem, żeby udzielić mu schronienia, natychmiast nie donosząc na niego. Nie chciał wracać do siebie, ponieważ był pewien, że Trepso zdążył wrócić do miasta wozem, który uprzednio ukrył w lesie, i teraz obserwował jego dom. Pozostawało mu więc poczekać na moment, kiedy będzie mógł przechytryć straże i niepostrzeżenie wślizgnąć się do domu gubernatora. Robił to już tak wiele razy, że kolejny nie stanowił kłopotu. W najgorszym razie porozmawia z Lukanosem. W ten sposób najlepiej udowodniłby swoją niewinność. Powinien wejść tam i powiedzieć synowi Manniego, że nie zabił jego ojca. Jednak Sulla wątpił, czy się na to odważy.

Wergiliusz wyszedł wściekły z audiencji u Liwii Druzylli. Mimo że jego przyjaciele uważali go za eksperta, on nigdy nie mógł zrozumieć, o co tak naprawdę chodziło kobietom, choć oczywiście rozumiał, że istniała różnica między rzucającymi mu się do stóp prostytutkami czy córkami wieśniaków, które próbowały kupić szczęście swoim ciałem, a kobietą o wysokiej pozycji, grającą w drużynie mężczyzn i mogącą zniszczyć każdy wcześniej uknuty plan.

Nastawienie Liwii Druzylli poważnie zagrażało jego zamysłom. Wszyscy wiedzieli o wpływie, jaki miała na cesarza. Jeśli ona sprzeciwi się otwarcie jego kandydaturze na funkcję gubernatora, trudno będzie wyciągnąć jakkolwiek korzyść ze śmierci Manniego. A to oznaczało dodatkową przeszkodę.

Z drugiej strony, co powinien zrobić z Lukanosem? W drodze powrotnej z Llerdy uszedł z życiem dzięki sprytnemu manewrowi, jednak intuicja podpowiadała Wergiliuszowi, że edyl był bardziej osamotniony, niż się do tego przyznawał. A po śmierci morderców był jedyną osobą, która mogła go zdradzić.

Wergiliusz miał teraz ważniejsze sprawy na głowie. Senatorowie zatrzymali się kilka kroków przed pałacem i w milczeniu czekali, aż zakończy wydawać rozkazy swoim ludziom. W spojrzeniach Septimiusza Maksymusa i Tulliusza Domicjusza malowało się oburzenie i zaskoczenie. Sytuacja nie wyglądała tak prosto, jak zapowiadał. Chcieli wyjaśnić.

– Jeśli Oktawian nie nominuje cię na gubernatora, będziemy musieli poszukać innego rozwiązania – odezwał się Septimiusz, wyrażając myśli ich obu.

– To tylko kwestia czasu – odpowiedział Wergiliusz, próbując znaleźć jakieś słowa łagodzące sytuację. – Oktawian był bliskim przyjacielem Manniego, a sprawa jego zabójstwa jest jeszcze świeża. Musimy uszanować jego żalobę.

– W Rzymie wszystko jest gotowe – przerwał mu Tulliusz autorytarnym tonem. – Jeśli nie uda nam się sprawić, by Tarraco oddało swoje tereny do masowej produkcji oliwy, stracimy poparcie kupców...

– ...którzy wpłacili już wysokie sumy – dodał Septimiusz. – Ty jako pierwszy z tego wyciągnąłeś korzyści, Wergiliuszu.

– Powszechnie wiadomo, że bogowie zawsze potrzebują pomocy, mój przyjacielu – stwierdził Tulliusz.

Wergiliusz zamilkł, rozważając sugestię senatora. Przyzwyczał się już do ich sposobu działania i coraz bardziej przekonywał się, że postąpiłby w ten sam sposób. Musiał im coś dać, jakiś okruch nadziei, dopóki nie rozwiąże tej sprawy. Nie spodziewał się jednak tego, co usłyszał chwilę później.

– Przybyliśmy tutaj, żeby raz na zawsze zamknąć temat – stwierdził Septimiusz. – Mamy tylko jedno wyjście: porozmawiać z cesarzem. Zastanawialiśmy się nad tym, Wergiliuszu, i uważamy, że to jest najbardziej odpowiednie posunięcie. Zrobimy to z twoją pomocą lub bez niej...

– Jak możecie przypuszczać, że nie poprę waszych inicjatyw? – odpowiedział duumwir zrezygowanym tonem. – Porozmawiam z cesarzem, ale pozwólcie mi wybrać najdogodniejszy ku temu czas.

– To również jest już postanowione – wtrącił się Tulliusz. – Z naszych informacji wynika, że Oktawian spędza dużo czasu w łaźni ze względu na swoją chorobę. To najlepszy moment, tym bardziej że Liwia Druzylla nie będzie mogła być przy tym obecna. Zapewniałeś nas, że ona jest po naszej stronie, ale raczej w to wątpimy.

– Właśnie! – dodał Septimiusz.

Wergiliusz zrozumiał, że rozmowa dobiegła końca. Miał kilka godzin, żeby zastanowić się, jak ma dalej postępować. Do zachodu słońca, kiedy cesarz udawał się do łaźni.

Patrzył na oddalających się ulicą senatorów. Nie zauważył, że Lukanos właśnie wyszedł ze swego domu i podszedł do niego, ignorując otaczających go strażników.

– Mam wrażenie, że rozmowa z Liwią Druzyllą nie poszła zbyt dobrze – odezwał się syn gubernatora poważnym tonem, chociaż z błyskiem złości w oczach.

– Lukanosie! Skąd się tutaj wziąłeś? – wykrzyknął Wergiliusz, zły na samego siebie, że dał się zaskoczyć.

– Z mojego domu. Przecież stoisz przed nim.

– Oczywiście, oczywiście! – odpowiedział duumwir. – Nie powiedziałbym, żeby rozmowa poszła źle; znasz przecież żonę Oktawiana. Chociaż odmówiła rozważenia sprawy oliwy.

– Oliwy i, jak się domyślam, również mianowania cię gubernatorem, czyż nie?

– Masz dobrych informatorów, bo właśnie o tym rozmawialiśmy... – przyznał Wergiliusz.

– Nie potrzebuję informatorów, przyjacielu. Gdyby ci się udało z nią dogadać, nie napadłbyś na mnie w ten sposób.

– Widzę, że dobrze mnie znasz, może zbyt dobrze...

– Liwia Druzylla zasługuje na nauczkę – powiedział Lukanos, chcąc zmienić

temat, ale natychmiast tego pożałował.

– To nierozważne mówić takie rzeczy.

– Wiem, Wergiliuszu, ale ona znieważyla moją rodzinę, dając schronienie Adrianie pomimo mojego sprzeciwu.

Lukanos przeklął się w duchu. Obiecał sobie przecież, że zapanuje nad swoją młodzieńczą impulsywnością. Teraz Wergiliusz wiedział, że relacje syna gubernatora z żoną cesarza nie były na tyle dobre, żeby mógł wpłynąć na nią w jakiegokolwiek sprawie.

– Wybacz mi, ale muszę zająć się pilnymi sprawami – powiedział Wergiliusz i ruszył w tym samym kierunku, jakim wcześniej odeszli rzymscy senatorowie.

– Oczywiście, porozmawiamy później. Wszystko ułoży się zgodnie z naszymi planami, zobaczysz.

Lukanos powiedział to jednak bez większego przekonania. Nie wierzył w swoje słowa. Wiedział, że właśnie stał się zbędny dla duumwira, lecz pomimo wszelkich starań nie był w stanie wymyślić, jak odzyskać pozycję jego silnego sojusznika. A myśl o Adrianie ukrywającej się w pałacu cesarza doprowadzała go do szału.

Kiedy Apollodoros dotarł do pałacu Oktawiana Augusta, zaskoczyła go liczba strzegących budynku żołnierzy. Stali na pobliskich ulicach, wieżach strażniczych, w bramach w większej liczbie, zdając się bardziej przygotowywać do ataku, niż mieć zamiar przepuścić przez swe szeregi starego nieszkodliwego nauczyciela.

Na szczęście centurion natychmiast go rozpoznał i pozwolił przejść do atrium. Musiał tam zaczekać, ponieważ Liwia Druzylla zajęta była w tym momencie innymi sprawami. Usiadł w cieniu i zdał sobie sprawę, że kompletnie zapomniał o lekcjach. Perthus przybył na lekcję na próżno, ale był to mądry i zdecydowany chłopak, więc będą mieli okazję, żeby nadrobić stracone zajęcia.

Chwilę później zobaczył Trepsa opuszczającego komnaty Liwii Druzylli. Jego widok go nie zdziwił. Niewolnik był wiernym sługą cesarzowej, a wykształceniem prześcigał niektórych patrycjuszy. Nauczyciel podziwiał jego zdolność logicznego rozumowania i łatwość dialogu.

– Panie – skłonił się niewolnik, mijając go w drodze do wyjścia z pałacu.

– Zaczekaj, Trepsie! – zawołał Apollodoros z nikłą nadzieją w głosie.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał Trepsie, spoglądając na starca z trudno ukrywanym niepokojem.

– Jak wiesz, jestem nauczycielem Sulli. Martwię się o niego. Być może... wiesz, gdzie on jest.

– Szlachetny Apollodorosie, byłbym najszcześniejszym człowiekiem w Tarraco, gdybym to wiedział. Jednak nie pytajcie mnie, dlaczego.

– Rozumiem, przyjacielu. I mam nadzieję, że ty również rozumiesz, że chcę tylko pomóc.

– Obawiam się, że nikt mu nie może pomóc, panie. Sulla postanowił wziąć los w swoje ręce i będzie jedynym odpowiedzialnym za to, co się z nim stanie.

– Wierzysz, że jest winny wszystkich zabójstw, o które jest oskarżany?

Trepsie wpatrywał się w niego przez chwilę. Stary nauczyciel stawiał go w bardzo niewygodnej sytuacji, ale dostrzegając w jego spojrzeniu ogromny smutek, postanowił odpowiedzieć.

– Z tego co mi wiadomo, szlachetny Apollodorosie, Sulla jest winny jedynie



tego, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w złym czasie. Jednak pomimo starań osób, które się o niego martwią, trudno jest przewidzieć, co się z nim stanie.

– Dziękuję, Trepso. Przepraszam, że cię zatrzymałem, ale przypuszczam, że dążymy do tego samego celu.

– Być może, jednak zniknięcie Sulli nam tego nie ułatwi – zakończył niewolnik, zastanawiając się jednocześnie, co takiego było w tym człowieku, że tak łatwo wzbudzał zaufanie w rozmówcach.

Apollodoros pozostał jeszcze przez chwilę w atrium, czekając aż ktoś poinformuje go, czy Liwia Druzylla zechce go przyjąć. Jednak szybko zdał sobie sprawę, że czeka na próżno. Strażnicy pilnowali otoczenia pałacu, lecz w środku nie widział nawet niewolników, którzy mogliby go obsłużyć. Pomyślał, czyby ponownie nie zwrócić się o pomoc do centuriona stojącego w drzwiach, w końcu, przewyciężając nieśmiałość, podszedł do prywatnych komnat żony cesarza, za którymi znajdowała się sala audiencyjna, i pomyślał, że nikt nie będzie miał mu za złe, jeśli rzuci na nią okiem.

To, co tam zobaczył, poruszyło go. Na cesarskim tronie siedziała Liwia Druzylla, a u jej stóp z podciągniętymi pod brodę kolanami rozpaczała Adriana. Z początku żadna z nich nie zauważyła jego obecności.

– Obiecujesz mi to, Adriano? Obiecujesz? – naciskała Liwia swoją protegowaną. – Jeśli Sulla skontaktuje się z tobą, natychmiast mi o tym powiesz. Nie będziemy mogły mu pomóc, jeśli wpadnie w kolejne kłopoty. A z tego co zdążyłam zauważyć, ma do tego talent.

Adriana nie odpowiadała. Wyglądała na załamana. Stary nauczyciel nie chciał dłużej ukrywać się w półmroku.

– Droga Liwio... – odezwał się do kobiet zaskoczonych jego milczącą obecnością. – Przyszedłem... Cóż, nie wiem do końca po co, ale zastanawiałem się, czy mógłbym się do czegoś przydać.

– Apollodorosie! Jesteś niecierpliwym człowiekiem! W sumie podoba mi się to. Jak możesz nam pomóc? Czy wiesz, gdzie jest Sulla?

– Oczywiście, że nie, pani, chociaż pragnąłbym to wiedzieć. Morderstwo gubernatora naruszyło spokój w Tarraco i wystawiło na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi.

– Gdybyś coś wiedział, czy powiedziałbyś nam o tym? – zapytała Adriana, próbując powstrzymać szloch.

– Oczywiście, drogie dziecko. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy to się na coś przyda, ale...

Liwia Druzylla ujęła nagle głowę Adriany obiema rękami i odwróciła ją twarzą do siebie. Poprosiła, aby zostawiła ich samych. Dziewczyna jednak odmówiła tak kategorycznie, że cesarzowa zgodziła się w końcu, by pozostała w komnacie.

– Mówcie, co macie do powiedzenia, Apollodorosie. Moja cierpliwość nie jest nieskończona.

Stary nauczyciel opowiedział im ze szczegółami o swoim odkryciu. Wiedział, że to nie było nic wielkiego, ale nic nie wskazywało na to, by żołnierze odkryli do tej pory zwłoki. Taka wiadomość natychmiast rozeszłaby się po mieście. Kiedy skończył swoją opowieść, Liwia spytała:

– Dlaczego sądzicie, że te morderstwa mają jakiś związek ze śmiercią Manniego?

– Ze względu na dziwne okoliczności. Zabójca tych ludzi chciał koniecznie ukryć ich ciała.

– To wszystko tylko przypuszczenia! – odpowiedziała Liwia, podczas gdy Adriana uważnie słuchała słów nauczyciela.

– Nie do końca. Dziwny jest też fakt, że do ich zabójstwa doszło w magazynach należących do wojska – Apollodoros wiedział, iż był to ryzykowny wniosek, ale nie widział innej możliwości, żeby zrobić postępy w sprawie.

– Sprawdzę wszystkie twoje informacje, ale w tej chwili najgorsze jest to, że Sulla uciekł i nikt go nie widział, chociaż żołnierze przeszukują całe miasto. Teraz możecie odejść.

– Dziękuję, że mnie wysłuchaliście, szlachetna Liwio. Mam nadzieję, że na coś wam się przydałem.

Apollodoros opuścił salę audiencyjną całkiem zadowolony. Ryzykował, jeśli żona Oktawiana miała coś wspólnego z wydarzeniami ostatnich dni, ale intuicja podpowiadała mu również, że wpływowa Liwia tym razem trzymała się na uboczu. Idąc do wyjścia, usłyszał od strony atrium głos Adrianę.

Natychmiast zrozumiał, że powinien zacząć się martwić.

Sulla czekał wycieńczony w rogu ogrodu otaczającego wschodnią część pałacu gubernatora. Miał zamiar zabić Lukanosa, nawet jeśli miałby przypłacić to własną śmiercią. Wmawiał sobie, że byłby to szlachetny czyn, który z czasem wszyscy uznają za konieczny.

Na nic zdała się obietnica, którą kilka godzin wcześniej dał Adrianie. Ten łądak nie był godzien nazywać się bratem jego ukochanej. Wola, którą chciał jej narzucić, była wbrew prawom natury, bez względu na to, jak często rzymscy patrycjusze zwykli je naruszać. Na szczęście nie odważył się porozmawiać z Lukanosem, by wyznać mu swoją miłość do Adriany.

Nikt inny nie zdołałby się dostać do tego domu, ale Sulla robił to przez wiele tygodni i znał doskonale każdy fragment muru, którego strażnicy nie pilnowali przez cały czas.

Adriana, korzystając z nieobecności brata, wróciła do domu, żeby zabrać kilka potrzebnych jej rzeczy. Wyszła do ogrodu ze skrywaną nadzieją, że może Sulla się w nim ukrył, i rzeczywiście ujrzała go w umówionym miejscu ich conocnych schadzek.

Z daleka obserwował ich Lucjusz.

– Czy jesteś pewna lojalności Lucjusza, Adriano? – zapytał Sulla, kiedy usiedli na trawie.

– Tak samo jak twojej, Sullo! – odpowiedziała, rzucając się mu w ramiona i oboje upadli objęci na ziemię.

Adriana opowiedziała mu w kilku słowach, jak wiele osób chciało mu pomóc; jak Apollodoros, Liwia Druzylla, Trepso próbowali wyciągnąć go z poważnych tarapatów. Starła się przekonać go o swoim zaufaniu i przekonaniu o jego niewinności. Jednak kiedy wyznał jej, że chciałby zwrócić się o pomoc do jej brata, dziewczyna nie potrafiła dłużej utrzymać przed nim swojej tajemnicy.

– Nie możesz tego zrobić! Lukanos cię zabije!

– Zabije mężczyznę, który chce uszczęśliwić jego siostrę? – zapytał Sulla, natychmiast żalując tak bardzo wypełnionego próżnością zdania.

– To bardzo skomplikowane, najdroższy – odpowiedziała, opuszczając wzrok. – Zainteresowanie Lukanosa moją osobą wykracza poza...

– Co masz na myśli?

– On jest we mnie zakochany, odkąd byliśmy dziećmi! To jest silniejsze od niego.

– Nie mogę w to uwierzyć! A co na to twój ojciec?

– Mój ojciec o niczym nie wiedział.

Siedzieli w milczeniu na trawie. Lucjusz dawał Adrianie znaki, żeby podeszła do niego. Nie miał dobrych wieści. Lukanos zbliżał się do domu i byłoby lepiej, żeby dziewczyna wróciła do pałacu cesarza.

– Bardzo mi przykro, Sullo! Gdzie się podziejesz? Gdzie przenocujesz? Tak bardzo się o ciebie niepokoiłam.

– Możesz być spokojna, dam sobie radę. Jednak uważaj i nie ufaj nikomu, a szczególnie nie mów Liwii Druzylli, że się ze mną spotkałaś...

– Ona może ci pomóc!

– Nie chcę, by pomagała mi uciec z Tarraco. Muszę coś zrobić. Z mojej winy zginęło wiele osób.

– Ale ona przyjęła mnie do swojego domu, nie mogę jej zdradzić...

– Adriano!

– Dobrze, dobrze, nic jej nie powiem. Lucjusz też będzie milczał – odpowiedziała, widząc jak Sulla wskazywał na centuriona. – Ale tylko do jutra. Potem będziemy musieli jej zaufać. Oboje zbyt wiele ryzykujemy!

Sulla skinął głową na znak zgody. Być może Adriana miała rację i nie mogli nic zrobić, ale chciał się o tym przekonać i dlatego potrzebował wolności, nawet jeśli miałyby potrwać tylko jeden dzień. Dręczyła go pewna myśl. Stwierdził, że nie może dłużej zwlekać.

– Muszę cię o coś zapytać i proszę, żebyś była ze mną szczerą.

– Nie okłamałabym cię – odpowiedziała, wiedząc jednak, że nie byłaby w stanie powiedzieć mu niczego więcej o swoich relacjach z bratem.

Jednak Sulla miał innego rodzaju wątpliwości.

– Czy miałaś coś wspólnego z zabiciem moich strażników?

– Ja? Nie, w żadnym wypadku. Trepsa miał rozkaz wyciągnięcia cię z więzienia, ale to nie był mój pomysł. Nie wiń go za to, wydaje się być dobrym człowiekiem i wypełnia tylko rozkazy...

– ...Liwii Druzylli? Kobiety, która chce decydować o naszych losach?

– Nic nie jest takie proste i bez skazy, jak oboje byśmy tego chcieli, Sullo!

Sulla Likinos poderwał się z ziemi. Nie był w stanie znaleźć kontrargumentu na stwierdzenie, które było typowe dla Rzymian. Nic nie jest bez skazy. To prawda, ale dla niego to nie był wystarczający argument.

Być może właśnie dlatego pozostał w ogrodzie, czając się na Lukanosa. Czekał, by go zabić, i z każdą mijającą minutą rozumiał to coraz lepiej. Brat Adriany nie zasługiwał, aby dalej żyć.

Chłopakowi przychodziły do głowy różne myśli. Być może Mani zauważył niskie instynkty, którymi kierował się jego syn, i ten, obawiając się utraty przywilejów, zabił ojca? Czując jednak, że ogarniająca go nienawiść nie pozwala mu myśleć trzeźwo, Sulla postanowił skoncentrować się na jednym: zabiciu Lukanosa, kiedy ten tylko przejdzie przez próg swojego domu.

Na widok zbliżającego się Alteriusza syn gubernatora rzucił nieufne spojrzenie na towarzyszących mu dwóch żołnierzy należących do osobistej straży Manniego. Niewiele by zdziałali, gdyby musieli stawić czoła niewolnikowi, który wyświadczył tak wiele usług jego ojcu. Alteriusz wydawał się jednak spokojny. Podszedł i pokłonił mu się z szacunkiem. Lukanos postanowił nie tracić czasu.

– Widzę, że cię uwolniono, zgodnie z moim rozkazem.

– Nie do końca, ponieważ sam uciekłem w drodze do więzienia – odrzekł Alteriusz z udawaną obojętnością.

– Powinieneś być zaczekać. Najważniejszy jest jednak rezultat. Rozkażę, żeby dano ci spokój, ponieważ doszło do nieporozumienia.

– Jesteś bardzo łaskaw, panie – odpowiedział niewolnik, unikając wzroku edyla. – Przyszedłem, żeby was ostrzec. Dowiedziałem się, że ktoś czeka na was w ogrodzie domu.

– Ktoś na mnie czeka? Co to za nieszczęśnik? Może ktoś, kto chce umrzeć, zanim wezwą go do siebie sami bogowie?

– Z tego co widziałem, to ten morderca Sulla. Spotkał się z Adrianą w ogrodzie, a potem nie opuścił z nimi domu.

– Z nimi?

– Adrianą i Lucjuszem – wyszeptał Alteriusz, mając nadzieję, że dzięki tej informacji odzyska zaufanie pana, chociaż nie miał pewności, że tak się stanie.

– Lucjuszem? Ciekawe rzeczy mówisz, Alteriuszu. Chyba mam dla ciebie zadanie, oczywiście pod warunkiem, że nadal chcesz mi służyć.

– Należałem do waszego ojca, więc teraz jestem waszym sługą.

– Tak, tak – przyznał Lukanos, zdając sobie sprawę, że lojalność niewolnika wkrótce mogła się skończyć, jeśli odpowiednio nie wykorzysta sytuacji. Dlatego stwierdził bez owijania w bawełnę:

– Ten Sulla jest mordercą bez skrupułów. Zabił mojego ojca i teraz chce zdobyć zaufanie Adriany, żeby się ratować. Doskonale się spisaleś. Jeśli chcesz pomścić śmierć gubernatora, zabij Sullę, zanim wyrządzi więcej krzywd.

Alteriusz z początku nie wiedział, jak zareagować. To, co widział wcześniej na własne oczy, kłóciło się ze słowami syna gubernatora. Jeśli Sulla był winny, jak

Adriana mogła go tak kochać? Wiedział jednak, że nie ma wyboru. Tylko Lukanos mógł cofnąć nakaz ścigania go, który z pewnością sam wydał. Niewolnik w końcu skinął głową i odszedł w stronę domu Manniego. Wiedział, że czekało go trudne zadanie, chociaż liczył na element zaskoczenia, ponieważ Sulla się go nie spodziewał.

Po dotarciu na miejsce niewolnik zobaczył, że większość żołnierzy wróciło do pałacu. Pozostali tylko strażnicy czekający przed wejściem na powrót Lukanosa, ale im mógł zaufać. Nikt nie zatrzymał go, gdy wchodził do domu gubernatora; od dawna uważany był za domownika. Chociaż śmierć Manniego naruszyła panującą w nim równowagę, której nowy pan nie zdołał przywrócić, Alteriusz nadal przynależał do tego domostwa. Tyle że teraz Lukanos, którego od dzieciństwa Alteriusz chronił na rozkaz gubernatora, był jego panem.

Wszedł do środka i udał się prosto do ogrodu. Robił wokół siebie dużo hałasu i wołał Adrianę, wiedząc doskonale, że nie otrzyma odpowiedzi. Nie chciał, żeby Sulla pomylił się i zaatakował go zniecacka, biorąc go za tego, na kogo czekał.

Dotarłszy do perystylu, zauważył, że chłopak ukrywa się za drzewem oliwnym, posadzonym w tym miejscu na rozkaz Manniego, który lubił te drzewa i mawiał, że bogowie przechowywali w nich czas na wypadek, gdyby go kiedyś potrzebowali. Odezwał się bez wahania:

– To wy, Sullo? Widzę was.

– Alteriuszu! – wykrzyknął chłopak. – Jak mnie rozpoznałeś?

– Drzewo oliwne nie jest jeszcze na tyle duże, żeby można było się za nim całkiem ukryć.

Sulla wyglądał na zakłopotanego. Co tu robił Alteriusz? Służył w tym domu, ale zazwyczaj towarzyszył Lukanosowi. Czy to możliwe, że przysłał go do niego jego wróg?

– Czekałem na twojego pana – przyznał chłopak, wychodząc ze swojej kryjówki. – Chcę z nim porozmawiać.

– Nie będziesz już miał ku temu okazji.

Niewolnik wyciągnął spod tuniki sztylet, który wielokrotnie przydał mu się w krytycznych sytuacjach. Tym razem przecenił jednak swoje siły i sądząc, że ma Sullę wystarczająco blisko, nie wziął pod uwagę jego młodzieńczej zwinności. Chłopak odskoczył do tyłu i unikając ataku, oparł się plecami o drzewo. Przypomniał sobie nagle rozmowę z Adrianą, która nie mogła zrozumieć jego wątpliwości co do zamiarów Liwii Druzylli. Teraz był już pewien, że ten, kto sprzeciwiał się ich miłości, był potężny i potrzebowali pomocy przyjaciół.

Zamknął oczy, sądząc, że nadszedł jego koniec. Alteriusz był od niego zręczniejszy, silniejszy i wyższy. Nie wyślizgnie się mu.

Nagle zobaczył, że niewolnik jakby się zawahał, a jego ciało osłabło. Po

chwili z rąk wypadł mu sztylet, a Alteriusz ukląkł na trawie. Kiedy zwał się na bok, Sulla, zrozumiał, co się stało. W piersi niewolnika tkwił krótki miecz, który przebił serce, a mężczyzna, który nim rzucił, stał w głębi ogrodu. To był Trepsos.

– Widzę, że niebezpieczeństwo wciąż na ciebie czyha.

– Czy musiałeś go zabić?! – zawołał chłopak, klękając przy martwym ciele.

– Czy nigdy się z tym nie pogodzisz, chłopcze? Inaczej on by cię zabił! Jak wtedy udowodniłbyś swoją niewinność?

– Nie wiem, czy warto żyć, skoro przez to giną inni ludzie, Trepsos. Już ci to powiedziałem w jaskini.

– Cóż, wydaje mi się, że powinieneś być wdzięczny. Masz szczęście, że domyśliłem się, co może zrobić w swojej głupocie zakochany chłopak, i cię odnalazłem.

– W głupocie?

– Tak, bo tylko głupiec sam wchodzi do paszczy lwa. Co za pomysł, żeby zakradać się do domu wroga!

– Lukanos jest łajdakiem, zasługuje na śmierć i ja go zabiję.

– Masz rację, ale zasługuje na nią być może z powodów, których nawet nie podejrzewasz.

Sulla zamilkł. Mogli mieć odmienne zdania, ale ten człowiek uratował go już kilkakrotnie. Był niewolnikiem Liwii Druzylli, a mimo to Sulla czuł do niego sympatię, ponieważ wydawał się jako jedyny go rozumieć.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Wytlumaczę ci to, jeśli ze mną pójdziesz.

– Nie chcę iść do Liwii ani żebyś wywiózł mnie z Tarraco. Adriana mnie potrzebuje.

– Nie mogę cię do niej zaprowadzić. Mam pewien pomysł, tylko musisz mi pomóc w jego realizacji.

Sulla przystał na to, ale zanim opuścili dom gubernatora, przenieśli ciało Alteriusza w bardziej ustronne miejsce, w pobliżu zakątka, w którym Sulla zwykł spotykać się z Adrianą. Chłopak pomyślał, że w miejscu, gdzie do tej pory kwitła miłość, teraz skryła się śmierć, ale nie odezwał się ani słowem, dopóki nie dotarli do domu Apollodorosa.



## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. n.e.*

W gruncie rzeczy mam szczęście. Mimo że pochodzę z małej wioski leżącej na ziemiach Ausy, która nie ma nawet swojej nazwy, wiodłem wygodne życie. I długie, bardzo długie, jeśli wziąć pod uwagę czas, jaki dany jest każdemu człowiekowi.

Mało kto, nawet najważniejsi Rzymianie, mogą pochwalić się, że dożyli osiemdziesięciu ośmiu lat. Ja, Perthus, zbieracz ziół, osiągnąłem to pogodzony z upływem czasu.

Mówi się, że wiek ludzi w miastach ulega wydłużeniu dzięki higienie, dobremu odżywianiu i medykom, ale łatwo byłoby mi obalić to twierdzenie. Czyż kiedykolwiek mogłem mieć czystsza i gładszą skórę jak wtedy, gdy kąpałem się codziennie w strumieniu i po wyjściu z wody moje ciało było niczym lustro odbijające promienie słońca? Czy mógłbym odżywiać się lepiej, niż jedząc owoce, leśne jagody, świeże warzywa i pijąc wodę ze stopniałego śniegu?

Ogarniają mnie również pewne wątpliwości co do stwierdzenia, że medycy przejęli funkcję zarezerwowaną do tej pory tylko dla bogów. Miałem okazję zapoznać się z dorobkiem największych mędrców, a nawet stosowałem wiele polecanych przez nich sposobów, lecz nie spotkałem wśród nich panaceum, które w tak bezpośredni sposób oddziaływałoby na dręczące ludzi choroby, jak te sporządzane przez matkę. Obecnie, gdy w modę weszły rozwiązania wprowadzane przez młode pokolenie medyków, ja uparcie stosuję nadal napary z macierzanki i bukwicy, a rezultaty tego uporu wpływają pozytywnie również na moją duszę.

Wiem, że może ci, którzy widzą moje pomarszczone ciało lub wiedzieliby, ile potrzebuję czasu, żeby wyjść z domu, mogą mieć uzasadnione wątpliwości, czy naprawdę żyję. Jeśli byłbym jedynie umęczoną zjawą, oczekującą przejścia na tamten świat, nie mógłbym spełniać codziennie swoich pragnień z doczesną precyzją, jaką pozostawili nam po sobie nasi bracia Grecy.

Nie ma więc znaczenia, że przez długi czas leżałem rozciągnięty na trawie, drżąc z zimna, dopóki Nidia nie raczyła mi przynieść naparu. Zjawiała się dopiero, gdy księżyc oświetlał groteskową pozycję, w której zastygłem, jak gdybym chciał cofnąć się myślami daleko w przeszłość, kiedy Akrisa mając mnie jeszcze w swoim łonie, kąpała się o świcie w lodowatych wodach strumienia.

– Ta woda dodaje mi życia, nie może ci więc zaszkodzić, Perthusie. Kiedy się urodzisz, będziesz umiał odróżniać życie od śmierci.

Te zdania wyryły się w mej pamięci, być może mam je wypisane na skórze w jakimś nieznanym języku. Nie ulega też wątpliwości, że pod koniec życia wiem już coś niecoś o tym, co znaczy być martwym. W przeciwnym razie, kiedy niejednej nocy sądziłem już, że na zawsze odchodzę z tego świata, nie byłbym w stanie do niego wrócić. Jednak powtarzałem sobie wtedy, że jeśli moje wspomnienia są nadal tak żywe, że pamiętam, iż jestem Perthusem, chłopcem z Ausy, który opuścił swój dom i przybył do Tarraco, by przeżyć wielką przygodę, to nie mogłem być martwy.

Po tym jak dzisiaj ponownie otarłem się o śmierć, czując, jak chłód rozlewa się wewnątrz mojego ciała, kiedy tak leżałem pośrodku ogrodu na wilgotnej trawie, postanowiłem udać się na spoczynek we własnym łóżku. Nidia, mając wyrzuty sumienia, przez cały dzień nie spuszczała mnie z oka. Chciała wezwać najlepszych medyków w prowincji, ale wybiłem jej to z głowy. Wiem, jak się czuję, i w każdym razie nie jest mi gorzej niż wczoraj, kiedy morska bryza przenikała przez moją tunikę, pozostawiając słone ślady na skórze.

Czasami trudno mi nie wracać wspomnieniami do trudnych czasów. Teraz jednak niemal nie odczuwam przy tym bólu. Zrozumiałem, że aby odnaleźć szczęście, trzeba podążać raz wybraną drogą. Matka ostrzegła mnie, iż życie może zmienić się w jednej chwili, ale ja miałem marzenia, których konsekwencji sobie nie wyobrażałem. Musiałem opuścić rodzinną wioskę, aby poznać sens mojego życia. I był on dla mnie zaskoczeniem.

Zebraliśmy się zaraz po wschodzie słońca. Podróż do Tarraco była długa i Musa chciał przejechać ją w trzy dni. Rzymianie mieli silne i dobrze wyszkolone konie, ale wątpiłem, czy będą w stanie przejść tyle mil w planowanym czasie. Tylko Andromikus wyglądał na wesołego i beztróskiego. Pozostali członkowie wyprawy mieli na głowie dużo rzeczy, a ja zostawiałem za sobą całe dotychczasowe życie.

Akrisa stała przez cały czas w progu chaty, wspierając się na kijach, które wbijały jej się niewygodnie w dłonie, pozostawiając siniaki. Pamiętam, jak podchodziłem wiele razy, żeby się do niej przytulić, a ona zawsze odpowiadała to samo:

– Patrz zawsze w przyszłość, synu. Masz całe życie przed sobą, i to jest twój wielki skarb.

Prawdopodobnie właśnie wtedy zrozumiałem, że jeśli przyszłość była najcenniejszą rzeczą, jaką posiadałem, powinienem wypełnić ją planami i marzeniami, żeby w ten sposób zapomnieć o tym, co zostawiłem za sobą.

Nadeszła wreszcie chwila odjazdu. Musa wyciągnął mnie z objęć matki i pomógł wsiąść na konia. Z trudem powstrzymując łzy, usłyszałem, jak obiecywał

Akrisie, że zajmie się mną jak własnym synem.

Czy byłem świadom, iż na zawsze opuszczam góry Ausy? Myślę, że zrozumiałem to, kiedy matka przytuliła się do swojej przyjaciółki Belindy, która w czasie przygotowań do podróży podeszła do mnie i powiedziała, że Akrisa da sobie radę, bo ona się nią zaopiekuje.

Teraz wiem, że wtedy właśnie każde z nas wzięło na siebie nowe obowiązki. Zawsze wiedziałem, chociaż trudno mi było to zaakceptować, że Belinda bardzo kochała matkę i mój wyjazd był jej na rękę. Ja tymczasem znalazłem się w sytuacji o wiele trudniejszej. Opuszczałem rodzinne strony z obcym człowiekiem, który miał jednak kogoś, dzięki komu nie czuł samotności. Musa przygarnął Andromikusa podczas jednej ze swoich podróży w podobnych do moich okolicznościach, z tą różnicą, że rodzice chłopaka zginęli podczas najazdu.

Ogarnęły mnie wątpliwości. Tak, zastanawiałem się, czy postępowałem dobrze, chociaż to matka podjęła za mnie decyzję. Nie spodziewałem się, że targać mną będą tak sprzeczne uczucia.

Konie szły jeden za drugim w stronę Ausy, gdzie zamierzaliśmy dotrzeć około południa, odświeżyć się przy źródle na głównym placu i bez zwłoki wyruszyć w dalszą podróż. Przeprawiliśmy się przez strumień, w którym tyle razy, po kilkugodzinnym zbieraniu ziół dla matki, brałem odświeżającą kąpiel. Przez większą część drogi moje myśli krążyły wokół tamtych chwil i mogłem niemal czuć dotyk zimnej wody na ciele. Wywołało to we mnie niepokój. Opuściłem matkę, rodzinną wioskę, ludzi, czyli wszystko, co tworzyło moje miejsce na świecie, a mimo to w głębi duszy czułem, że najbardziej będzie mi brakowało tego strumienia i wypraw w góry, które traktowałem jak swoją własność.

– Dobrze się czujesz, Perthusie? – zapytał mnie medyk, gdy zatrzymałem się na zakręcie, skąd po raz ostatni mogłem spojrzeć na krainę dzieciństwa.

– Tak, ale żał mi opuszczać matkę – odpowiedziałem, doświadczając jednocześnie mieszaniny innych uczuć. – Mam nadzieję, że przy was wiele się nauczę i będę mógł sprowadzić ją do miasta.

– Tak, tak, zrobisz to, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jestem pewien, że będzie ci za to wdzięczna, pamiętaj jednak, że kiedy nadejdzie ta chwila, to ona sama dokona wyboru. Czasami ludziom wystarcza to, co mają, i nic im więcej do szczęścia nie potrzeba.

Czy moja matka była szczęśliwa? Będąc zbieraczem ziół w małej wiosce na końcu świata, nigdy się nie zastanawiałem nad jej ani własnym szczęściem. Nagle przypomniałem sobie słowa Belindy i jak przytulała Akrisę. Czułem złość, tęsknotę, a może rozpacz? Teraz wiem, że matka pokładała we mnie wielkie nadzieje. Tłumaczyła mi, że mam przed sobą wspaniałą przyszłość, a ja przede wszystkim czułem nieobecność moich lasów, dotyku skał, szemrania wody spływającej strumieniem, który zawsze wskazywał mi drogę, kiedy się zgubiłem.

Nie wiedziałem, czy uda mi się zabrać do siebie matkę, jeśli wytrwam przy Musie, ale byłem pewien, że te góry stawały się dla mnie tylko słodkim wspomnieniem. A to było o wiele ważniejsze niż Akrisa, sąsiedzi czy moja przyszłość.

Kiedy droga stała się szersza i w oddali widać było pierwsze zabudowania Ausy, podjechał do mnie Andromikus.

– Polubisz Tarraco, zobaczysz – stwierdził nagle, być może wyczuwając mój niepokój. – Wychowałeś się w górach, ale spodoba ci się też życie nad morzem. Ze mną było tak samo. Sądziłem, że będę tęsknił, że bezmiar wody nie zrobi na mnie żadnego wrażenia, a teraz często obserwuję morze, wsłuchuję się w jego szum, i to dodaje mi otuchy, kiedy myślę o tym, co straciłem.

Z początku nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zaskoczył mnie tym, że trafił w sedno. Spędziliśmy razem w górach trochę czasu. Zakładaliśmy się o śniadanie, kto pierwszy znajdzie jakąś rzadką roślinę czy dotrze do wioski. To były szczęśliwe dni, które wydawały się nie mieć końca.

– Czy Musa dobrze cię traktuje? Spełnił wszystkie twoje oczekiwania? – udało mi się wykrztusić z siebie pytania, które być może nie miały odpowiedzi, lecz Andromikus był nie tylko życzliwy, ale nade wszystko szczery.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć – stwierdził. – Chociaż pamiętam jedno z pierwszych zdań, jakie powiedział do mnie Musa wkrótce po tym, jak chętnie przystałem na propozycję wyjazdu z nim. Zapytał, czy chciałbym mu służyć, co było jak najbardziej na miejscu, biorąc pod uwagę mój stan. Byłem sierotą bez perspektyw i zastanawiałem się nawet, czy nie byłoby lepiej, gdybym umarł.

– Rozumiem – powiedziałem, nie domyślając się jednak, do czego dąży.

– Kiedy opuszczaliśmy miasto, w którym moi rodzice zginęli z rąk Rzymian, powiedział mi, że dostajemy tyle samo, co dajemy, i stało się to moją życiową maksymą. Jak widzisz, poszczęściło mi się, zdobyłem jego szacunek, czuję się przydatny, a czasami nawet szczęśliwy, że służę człowiekowi, który zna moje wady i zalety.

– Chyba nie jesteś niewolnikiem?

Pamiętam, że nasze wierzchowce przez cały czas szły w równym tempie, jakby rozumiały, że chcemy porozmawiać.

– Nie jestem, chociaż z pewnością taki czekał mnie los. Jednak na twoje pierwsze pytanie nie umiem dać ci odpowiedzi, bo nigdy niczego od Musy nie oczekiwałem. Byłem tylko wystraszonym i zziębniętym chłopcem, który nade wszystko chciał się do kogoś przytulić. A on pierwszy mnie objął.

Skończył mówić dokładnie w chwili wjazdu naszego orszaku do Ausy. Chciałbym powiedzieć, że odłożyliśmy rozmowę na potem, ale nie było żadnego potem. Orzeźwiliśmy się źródlaną wodą, a konie zarżały, dając nam do zrozumienia swoją gotowość do dalszej drogi. Musa chciał dotrzeć jeszcze tego

samego dnia do miejscowości Baètulo, gdzie mieszkali jego krewni. Wszystko jednak wskazywało na to, że po drodze zastanie nas noc i będziemy musieli podróżować przy świetle księżyca.

I nikt z nas nie spodziewał się, że w ciemnościach staniemy się czyimś celem.

Nidia po raz enty weszła do mojej pracowni, czym mnie rozzłościła, ponieważ miałem ochotę jeszcze trochę sobie powspominać. Słyszę, jak chodzi po izbie. Pewnie sprząta na stole, zapominając, że jej tego zabroniłem, ale nie otwieram oczu. Może, jeśli pomyśli, że śpię, zostawi mnie w spokoju i będę mógł dalej snuć wspomnienia.

Nic z tego. Kiedy znudziło ją przestawianie przedmiotów z miejsca na miejsce, usiadła przy mnie i wiem, że nie odejdzie, dopóki nie upewni się, że żyję. Czuję jej delikatnie cierpki, choć niedrażniący zapach i zaskakuje mnie ukłucie pożądania, chociaż jestem pewien, że nie chodzi o odczucie fizyczne, tylko raczej myśl... Wprawia mnie to w zakłopotanie. Nidia jest starszą kobietą, chociaż patrząc na jej ciało, zastanawiam się, czy nie zawarła paktu z bogami, podobnego do tego, o który podejrzewają mnie samego.

Z rezygnacją otwieram oczy. Siedzi przede mną, bardzo blisko, i patrzy na mnie złotymi oczami, które nie mają wieku. Przez chwilę jestem jej wdzięczny za troskę, lecz zaraz odzywam się do niej szorstkim tonem:

– Czuję się dobrze, Nídio. Nie musisz się o mnie martwić.

– Nie martwię się – odpowiada, postanawiając podjąć grę. – Pilnuję tylko własnych interesów. Co zrobię, jeśli umrzecie?

– Sądzę, że dasz sobie radę – waham się, czy byłby to dobry moment, by wyjawić, że już dawno w testamencie zapisałem decyzję o przekazaniu jej na własność wszystkiego, co posiadam, po mojej śmierci.

– Jeśli naprawdę odzyskaliście siły, mam dla was dobrą wiadomość.

– Nie wiem, czy czeka mnie jeszcze w życiu wiele dobrych wiadomości. O co chodzi? – zapytałem sceptycznie.

– Wygląda na to, że zakończył się remont teatru po zeszłorocznym pożarze i jutro wystawiają tam komedię Plauta. Może chcielibyście ją zobaczyć. Wiem, jak bardzo lubicie jego sztuki, i jeśli chcecie, abym wam towarzyszyła...

To była interesowna propozycja. Może właśnie dlatego nie dokończyła zdania. Nidia lubi teatr równie mocno jak ja. Chodzimy do niego od lat, chociaż ja wolę tragedie, które ją zazwyczaj nudzą. Nic na to nie poradzę. Wystawia się już niewiele tragedii, a ludzie nie mogą doczekać się cyrku, który cesarz obiecał im zbudować. W chwili gdy inteligentne rozrywki zmienimy na igrzyska śmierci, wszystko będzie stracone.

Tymczasem mówię mojej niewolnicy, że pójdziemy na przedstawienie, ale wstanę z łóżka dopiero przed samym wyjściem do teatru. Ona znów obejmuje mnie

ciepłym spojrzeniem i obiecuję sobie, że powiem jej o wszystkim po powrocie z teatru; wyznam, jak bardzo jestem wdzięczny za jej poświęcenie i że nie mam jej za złe tego, iż zamieniła mój dom w zajazd dla kupców.

– Możesz być pewna, że to wszystko będzie twoje, Nídio – szepczę, kiedy ona podchodzi do stołu, żeby podać mi napar z bukwicy.

– Co mówicie?

– Nic, nic ważnego. To może poczekać.

– Dobrze, że nadal tak myślicie.

– Należy mieć zawsze nadzieję, że czeka nas jeszcze jakaś przyszłość.

– Niech was bogowie wysłuchają!

– Wysłuchają. Do tej pory zawsze to robili i mam nadzieję, że nie zmienią zdania przynajmniej do jutrzejszego przedstawienia.

*Tarraco, lato 26 r. n.e.*

Od pewnego czasu, wbrew rzymskim zwyczajom, Apollodoros rzadko jadał kolację. Przekonał się, że wieczorem wystarczyło mu jedynie odżywcze *cocetum*, które sporządzał z mleka, łyżki maku i łyżki miodu. Nie zapominał też o odrobinie delikatnego sera, który dodawał mu sił i dostarczał wyjątkowej przyjemności. Po tak skromnym posiłku przesypiał całą noc, nie cierpiąc na głośną przypadłość jelit, która zazwyczaj dręczyła go po tradycyjnej kolacji. „Najważniejsze jest zdrowie” – mówił do siebie, czując jak kupowany co rano na targu ser, rozpływał mu się w ustach.

Tej nocy miał dobry pretekst, by ominąć te zasady. Z powodu wizyty w *tabularium* nie jadł nic w południe, więc teraz odczuwał silny głód. W kuchni znalazł dużą porcję twarogu, postanowił więc upiec bułeczki nazywane *liba*, które jego przodkowie składali w ofierze bogini Ceres, kiedy był małym chłopcem. Próbował przypomnieć sobie przepis, jaki jego matka często powtarzała siostrze, przekazując jej tradycję ich wypieku.

Z poważną miną kogoś, kto przygotowuje się do rytuału, zmieszał twaróg z mąką, solą i proszkiem z liści laurowych. Uśmiechnął się z dziecięcą radością, gdy poczuł ulubiony zapach ostatniego ze składników. Powoli wygniatał ciasto, aż nabrało odpowiedniej konsystencji. Zadowolony rozpalił ogień w piecu i rozłożył ciasto na liściach laurowych.

– Tajemnica polega na tym, żeby stały się chrupiące... – mruknął, naśladowując głos kobiety, która wydała go na świat, i zerkając na nabierające pięknego złotego koloru bułeczki.

Przygotowanie potrawy nie zajęło mu dużo czasu. Uważał się za dobrego kucharza i zwykł mawiać do siebie, że nie miał wyboru, biorąc pod uwagę swój charakter samotnika.

Ustawił mały stolik i ulubione krzesło w zacienionej części atrium. Wszystko było gotowe i pomimo wzrastającego głodu poczuł ogarniającą go radość. Brakowało tylko jednego szczegółu, kaprysu uświetniającego chwilę, jakich nikt mu nie mógł odebrać. Poszedł do pomieszczenia, w którym przechowywał najbardziej drogie księżki i do którego nie pozwalał uczniom wchodzić bez jego zgody, po czym po krótkim namyśle wybrał *O powinnościach* Cyncerona.

Zawsze wyciągał z tego dzieła jakieś nauki, a teraz potrzebował inspiracji, by móc poczynić postępy w tej tak tajemniczej sprawie, jaką było zabójstwo Manniego.

Rozsiadł się na *triclinium*, w jednej ręce trzymając zwój, a w drugiej bułeczkę. Ledwo zdążył ją ugryźć, kiedy usłyszał pukanie do drzwi, z początku delikatne, choć niecierpliwe. Postanowił je zignorować, bo zbyt rzadko dane mu było cieszyć się chwilami osobistej przyjemności, by teraz pozwolić komuś w nich przeszkadzać już na samym początku.

Pukanie nie ustawało, wręcz było coraz bardziej natarczywe. Ktoś bardzo chciał, żeby mu otworzono. Apollodoros z rezygnacją odłożył zwój na *triclinium* i włożył do ust reszkę *liby*. Niestety, pomyślał, drzwi wejściowe domu znajdowały się zbyt blisko atrium. Nie mógł więc zignorować pukania, nawet gdyby chciał.

– Zaryglujcie porządnie drzwi, nie wiemy, czy ktoś nas nie śledził – rzucił Trepsa, przechodząc przez próg w towarzystwie wysokiej postaci, szczelnie zasłoniętej od głowy aż po czubki palców nóg.

Nauczyciela zaskoczył widok i ponaglanie niewolnika, ale szybko zrozumiał powagę sytuacji. Znał Trepsa od dawna i był pod wrażeniem jego inteligencji, którą zdradził w czasie kilku ich rozmów. Towarzysząca mu postać nie musiała zdejmować z siebie okrycia, żeby stary nauczyciel domyślił się, że był nią jego uczeń.

– Czy Liwia wie, że tu jesteście? – zapytał zdezorientowany. – I ktoś mógł was śledzić? Czy chcecie ściągnąć na mnie kłopoty?

– Przykro nam – odezwał się Sulla, odkrywając twarz. – Powiedziałem Trepsowi, że być może to nie jest najlepszy pomysł, ale on jest uparty.

– Dobrze, już dobrze! – Apollodoros wiedział przecież, że nie wahałby się nawet sekundy, gdyby wcześniej poprosili go o pomoc. Wszelkie wymówki nie miały sensu. – Wchodźcie i opowiadajcie.

Poprowadził ich do atrium i kazał Trepsowi przysunąć ławę stojącą obok *impluvium*. Sulla na widok leżących na tacy bułeczek rzucił się na nie i nim się obejrzel, pochłonął większość. Następnie spojrzał na swojego nauczyciela i próbował wydusić z siebie słowa przeprosin, ale ten machnął ręką i zachęcił go do dalszego jedzenia.

– Przykro mi, że wciągam was w tę sprawę, panie, ale nie wiedziałem, gdzie się udać. Liwia uważa was za godnego zaufania, a Sulla darzy was szacunkiem. Zdaję sobie sprawę, że nasza obecność tutaj może ściągnąć na was kłopoty, lecz wydało mi się to na tę chwilę jedynym bezpiecznym rozwiązaniem.

– Uspokój się, Trepsa, a przede wszystkim opowiedz mi, co się stało.

– Chętnie – odrzekł zausznik Liwii, rzucając ukradkowe spojrzenia na bułeczki. – Wczoraj Sulla uciekł z jaskini, w której się ukryliśmy, i odnalezienie go sprawiło mi wiele trudu. Na szczęście zdążyłem...

– Gdyby nie Trepsa, byłbym już martwy – wtrącił się Sulla z pełnymi



ustami.

– Wybaczcie mi, ale nic nie rozumiem. – Apollodoros wolałby, żeby nie przerywali jeden drugiemu i nie mówili bez ładu i składu, lecz rozumiał, że utrudniały im to targające nimi emocje.

– To proste! – stwierdził Trepso, sięgając po *libę*. – Odnalazłem Sulle w chwili, kiedy zaatakował go Alteriusz. Musiałem go zabić.

– Widzę, że siejesz śmierć, gdziekolwiek się pojawisz, Trepso. Domyślam się, że zabójstwa w więzieniu też są twoją sprawką – powiedział Apollodoros i natychmiast pożałował braku taktu, chociaż tak właśnie myślał.

Nagle umilkli, żeby wsłuchać się w znany im odgłos. Z ulicy dochodził charakterystyczny tupot rzymskich sandałów, który wydawać mogli jedynie zbliżający się strażnicy. Trzej mężczyźni nasłuchiwali w ciszy, obawiając się, że żołnierze zatrzymają się przed domem Apollodorosa. Jednak hałas słabł i wkrótce stał się tylko echem.

– Nie rozumiem, co Alteriusz miał przeciwko Sulli – zastanawiał się głośno Trepso. – Chyba że...

– Sądziś, że odważyłby się zaatakować mnie, gdyby ktoś mu tego nie rozkazał? – chłopak odezwał się uniesionym głosem.

– Sulla ma rację – zapewnił Apollodoros. – Niewolnik nie odważyłby się na taki czyn.

– W takim razie ten, kto mu to zlecił, próbuje coś ukryć. – Trepso zamyślił się, a pozostali zapadli w wypełnione wątpliwościami milczenie.

– Mam inną teorię, lecz chciałbym podzielić się nią z Trepsem na osobności. Przykro mi, Sullo, ale muszę cię chronić.

– Rozumiem – odpowiedział chłopak, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu miejsca, dokąd mógłby pójść; uchylone drzwi do prywatnej biblioteki niespodziewającego się odwiedzin nauczyciela zapraszały do środka.

Po chwili wahania Apollodoros skinął głową na znak przyzwolenia, po czym zaprowadził Trepsa w drugi koniec atrium, gdzie kazał mu zaczekać, a sam wszedł do biblioteki z zapaloną lampką oliwną. Na widok Sulli pogrążonego już w rozszyfrowywanie poematu Wergiliusza zapisanego na woskowej tabliczce nauczyciel pomyślał, że stęsknił się za swoim zawsze żądnym wiedzy wychowankiem. Teraz jednak ważniejsza była rozmowa z niewolnikiem.

– Jaką macie na ten temat teorię? – zapytał Trepso, przechodząc od razu do sedna sprawy, za co Apollodoros był mu wdzięczny.

– Masz rację, to tylko teoria, ale sądzę, że nie możemy jej zlekceważyć.

– Mówcie więc!

– Alteriusz był jednym z zaufanych niewolników Manniego. Często widywałem go w pałacu gubernatora i wydaje mi się, że Adriana również go ceniła.

– To prawda.

– Ale jeśli się nie mylę, Alteriusz pozostaje teraz na rozkazach Lukanosa. Na pewno wiesz więcej ode mnie o chorej obsesji, jaką ten młodzieniec ma na punkcie siostry. Śmiem tak twierdzić, ponieważ dopiero teraz zrozumiałem, jak wielka jest to fiksacja.

– Lukanos zawsze prześladował siostrę, ale Manni nigdy nie upatrywał w tym niczego poważniejszego ponad dziecięce zabawy.

– Wydaje mi się, że sprawa jest o wiele poważniejsza i z bólem serca podejrzewam, że Lukanos mógł być zleceniodawcą Alteriusza. Może syn Manniego uznał, że jeśli pozbędzie się konkurencji, będzie mógł zrobić z Adrianą, co chce.

– Sądzicie, że byłby do tego zdolny?

– Och, Trepso. Z wiekiem zrozumiałem, że namiętność, nieważne, dobra czy zła, jest najczęstszą z przyczyn ściągających na ludzi nieszczęścia.

– Być może macie rację, ale nadal nie mamy odpowiedzi na bardzo ważne pytanie: kto zabił Manniego?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że masz na ten temat jakąś teorię?

– Tak, ale muszę się upewnić w swoich podejrzeniach, dość śmiałych nawet jak na mnie – odpowiedział Trepso, a stary nauczyciel wiedział już, że więcej się od niego nie dowie.

– Co możemy tymczasem zrobić, panie?

– Zaczniemy składać elementy w całość. Czy Liwia wie, że Sulla jest u mnie?

– Jeszcze nie, ale uważam, że powinna się o tym dowiedzieć.

– Też tak myślę. Idź do niej i się nie martw. Chwilowo Sulla jest u mnie bezpieczny, ale spróbuj szybko wyjaśnić sprawę. Nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać jego obecność w tajemnicy.

– Tak zrobię. Słyszałem, że jesteście lojalnym sługą cesarza, ale teraz widzę, że potraficie zareagować odpowiednio do sytuacji.

– Dziękuję, ale teraz już idź. Może Liwia wpadnie na pomysł, jak wyciągnąć nas z tej opresji.

Trepso zastanawiał się przez chwilę nad słowami nauczyciela, spojrzał mu w oczy i skinął głową. Apollodoros odprowadził go do drzwi i uściśnął na pożegnanie.

– Przepraszam za te słowa, że siejesz śmierć. Mam cię za dobrego człowieka i uważam, że zmuszają cię do tego okoliczności.

– Mam nadzieję, że będę mógł wam to udowodnić, panie!

Apollodoros wrócił do swojej biblioteki i zastał tam Sullę zaczytanego w poematach Wergiliusza. Na jego widok chłopak odłożył jednak natychmiast woskową tabliczkę na inne i poprosił, aby stary nauczyciel przy nim usiadł.

– Drogi Apollodorosie, z początku odmówisz mojej prośbie, ale zaraz

zrozumiesz, że jeśli mi nie pomożesz i tak to zrobię.

– O co chciałbyś mnie prosić? – zapytał starzec, z góry obawiając się odpowiedzi.

– Chciałbym, żebyś zaprowadził mnie do Adriany. Muszę raz jeszcze zobaczyć się z nią i upewnić, że nie ma między nami nieporozumień. Tylko was mogę prosić o tę przysługę.

– Zgadza się z twoim ostatnim zdaniem – odpowiedział nauczyciel, wspominając Trepso i zadając sobie w duchu pytanie, czy postąpił właściwie, oddając ich los w jego ręce.

– Czy to znaczy, że się zgadzacie? Muszę spotkać się z nią dzisiejszej nocy, zanim ktokolwiek się dowie, gdzie się ukrywam.

– Postaram się, chłopcze.

Łaźnie mieszczące się w głównej części miasta, niezbyt daleko miejsca, w którym powstawał cyrk, zaczynały robić się zbyt małe. Rok wcześniej otwarto dwie nowe sale z basenem, lecz często tworzyły się przed nimi kolejki ze względu na dużą liczbę osób chcących z nich skorzystać. Do sal przeznaczonych do ćwiczeń fizycznych, zwanych *palestrae*, co rano schodziły się tłumy matek z dziećmi, którym kazano przechodzić szybko do kolejnych pomieszczeń łaźni, co budziło ich protesty.

Pozbawione w ten sposób jakiegokolwiek możliwości ćwiczeń wewnątrz term dzieci musiały biegać po prowizorycznych bieżniach prowadzących aż do portu. Następnie wracały i przechodziły do *tepidarium*, pomieszczenia przeznaczonego do wypoczynku, chociaż w ostatnich czasach również to zaczęło robić się problemem. *Caldarium* i *frigidarium* były zapchane do tego stopnia, że regularne masaże olejowe, które się tam odbywały, tymczasowo zawieszono.

Ponieważ po południu, kiedy klientela była w większości męska, problemy pozostawały te same, łaźnie wieczorem zamykano na kilka godzin, podczas których korzystali z nich jedynie najważniejsi obywatele miasta. Wśród nich zawsze był Oktawian August, przybywający tu zwykle razem z kilkoma swoimi doradcami.

Chory cesarz był wyjątkowo drażliwy i nie lubił mieć wokół siebie wielu osób. Dlatego też ustalono, że po pierwszym wejściu do *tepidarium* omawiano z nim ważne sprawy dopiero po kąpieli, kiedy Oktawian pił napary przepisane mu przez medyków, a jego ciałem zajmowało się kilka kobiet, masując je ze znanstwem.

Wergiliusz, mający od jakiegoś czasu swoich szpiegów w Tarraco, bez problemu dowiedział się o tych zwyczajach. Zaczekał do zachodu słońca i w towarzystwie dwóch rzymskich senatorów i jednego żołnierza, którego chciał wykorzystać jako posłańca, zjawili się przed termami. Jednak sprawy nie potoczyły się zgodnie z jego oczekiwaniami.

Grupa pretorianów z oddziału stworzonego rok wcześniej przez Oktawiana Augusta dla swojej ochrony zastąpiła im drogę.

– Jak śmiecie stawiać opór duumwirowi Llerdy i rzymskim senatorom –

zapytał oburzony Septimiusz Maksymiusz, widząc zmieszanie Wergiliusza.

– Jestem trybunem Markiem Owidiuszem, a moi ludzie otrzymują rozkazy bezpośrednio od cesarza, który zabronił kogokolwiek wpuszczać do środka – odpowiedział dumnym tonem pretorianin. Biorąc pod uwagę, do kogo mówił, było to jawne zuchwalstwo.

– Ryzykujecie utratę waszej pozycji, Marku Owidiuszu – wtrącił się Wergiliusz tonem, który bynajmniej nie łagodził sytuacji.

Być może dlatego, że oddział powstał dość niedawno, nieprzyzwyczajony do tego typu sytuacji żołnierz zawahał się przez chwilę, nie będąc pewien, czy może przeciwstawić się woli senatorów. W końcu posłał jednego ze swoich ludzi do cesarza.

Tymczasem Septimiusz i Tulliusz krytykowali między sobą zmiany w strukturach władzy wprowadzone przez Oktawiana. To, że nawet senatorski pierścień nie był w stanie zmusić do uległości żołnierza, nawet jeśli był pretorianinem, jasno świadczyło, w jakim kierunku zmierzało cesarstwo.

Żołnierz wrócił z rozkazem wpuszczenia ich i Wergiliusz uśmiechnął się pogardliwie do trybuna zagrządzającego im drogę. Jednak w łaźniach nadal nic nie szło po jego myśli. Kiedy dotarli do *tepidarium*, Oktawian zdążył już przejść do następnych pomieszczeń, gdzie dostępu strzegli inni pretorianie.

Ta zabawa trwała aż do *caldarium*, skąd wyszedł posłaniec z wiadomością, że cesarz zajmował się sprawami wagi państwowej i jeśli chcieli się z nim widzieć, musieli poczekać do następnego dnia. Wergiliusz zaczął głośno protestować i jego krzykami zainteresował się sam generał Agrypa, jeden z najbliższych doradców Oktawiana, który nakazał intruzom opuścić łaźnię.

– Nie spodziewałem się takiego potraktowania rzymskich senatorów – oświadczył Tulliusz Domicjusz.

– Pomimo zajmowanej przez was pozycji Oktawian jest waszym cesarzem. Chyba o tym zapomnieliście. Osobiście wydał mi rozkaz, żeby wyrzucić was z łaźni, ale ze względu na szacunek, jakim was darzę, proszę, byście wyszli po dobroci – tłumaczył Agrypa.

– Jak śmiecie? – odezwał się Septimiusz Maksymiusz. – Kiedy o tej zniewadze opowiemy w Rzymie, z pewnością senat będzie oburzony. Chcemy pomówić z cesarzem o sprawie niecierpiącej zwłoki.

– Macie do tego prawo – odpowiedział ugodowo Agrypa – ale ja już powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia.

– Jak śmiecie... – tym razem uniósł się Wergiliusz i zrobił krok do przodu, ale Tulliusz stanął przed nim.

– Jeśli cesarz chce, żebyśmy poczekali do jutra, tak zrobimy, ale przekażcie mu, że to pilne.

Tulliusz Domicjusz pociągnął za sobą towarzyszy i ruszyli w stronę wyjścia.

Wiedział, że powinni działać ostrożnie, chociaż kłębiące mu się w głowie myśli bynajmniej nie były dla cesarza łaskawe. Kiedy wyszli z łaźni, Wergiliusz, zaniepokojony swoim malejącym autorytetem w oczach senatorów, nawet nie zauważył ironicznego uśmiechu na twarzy pilnującego wejścia trybuna.

– Może jednak powinniśmy poprosić o wstawiennictwo Liwię – Septimiusz odezwał się z troską na twarzy.

– Nigdy – odpowiedział Wergiliusz, odzyskując panowanie nad sobą. – Liwia Druzylla nie ma zamiaru nam pomóc.

– Nie to nam pisałeś w listach, którymi wymienialiśmy się przez wszystkie te miesiące – stwierdził Septimiusz.

– To nie ma teraz znaczenia. Oktawian August przyjmie nas jutro i uważam, że warto poczekać.

– Naszym zdaniem, mamy małe szanse, żeby w jeden dzień przekonać cesarza. Lecz nie to nas martwi.

– Cóż zatem? – zapytał duumwir, przygotowując sobie z góry odpowiedź, chociaż jeszcze nie wiedział, o co chodzi, i czując, jak oblewa go pot.

– Doszliśmy do wniosku, że najłabszym ogniwem naszego planu jest twój przyjaciel Lukanos. Jest zbyt impulsywny, a po zleceniu zabicia własnego ojca dostał pomieszania zmysłów. Proponujemy zatem, żebyś się go pozbył.

– Mam zabić Lukanosa?! – wykrzyknął Wergiliusz w nocnej ciszy. – Przecież to wywołałoby skutek odwrotny od zamierzonego. Oktawian mógłby pomyśleć, że on sam jest w niebezpieczeństwie, że istnieje spisek i nikt nie może być już bezpieczny w Tarraco. Postawiłby legiony w stan czujności!

– Co nas to obchodzi, przyjacielu? – odrzekł protekcjonalnym tonem Tulliusz. – Zaofiarujemy mu nasze wsparcie. A im sytuacja będzie bardziej zapalna, tym chętniej nas wysłucha.

– Uważam, że Tulliusz ma rację – wtrącił Septimiusz. – Wyciągniemy więcej korzyści, jeśli miasto ogarnie chaos.

Wergiliusz wysłuchał ich z uwagą. Być może mieli rację. Sam niejednokrotnie przekonał się o korzyściach wynikających z poważnych konfliktów. Jeśli cesarz poczuje, że jest przyparty do muru, nie będzie miał innego wyjścia, jak posłuchać członków rzymskiego senatu i przyznać im rację. Każde inne posunięcie byłoby samobójstwem.

– Lukanos umrze w ciągu doby – obiecał Wergiliusz senatorom, a oni z zadowoleniem skinęli głowami.

Apollodoros i jego uczeń siedzieli przez długi czas w bibliotece, czytając poematy Wergiliusza, Cycerona i innych autorów, których chłopak do tej pory nie znał. Jednak prośba Sulli zawisała w powietrzu niczym rozrastająca się w miarę upływu czasu pajęczyna.

Nagle, kiedy kończyli ostatnie wersy *Georgik*, które Wergiliusz napisał w ślad za *Pracami i dniami* Hezjoda, Sulla uniósł wzrok znad pergaminu i wbił go w swojego nauczyciela.

– Już czas – powiedział tonem nieznoszącym odmowy.

– Nie mogę zostawić cię samego! Jak mam pójść do Adriany?

– Możecie posłać niewolnika!

– Nie mam niewolników. Już dawno zdecydowałem, że posiadanie ich jest wbrew moim zasadom.

– To chwalebne, ale nie pomaga nam w tej chwili. Możecie iść. Strażnicy was znają i pozwolą wam z nią porozmawiać. Lucjusz zawsze kręci się w pobliżu, więc być może wystarczy, że jemu przekażecie wiadomość.

– Za bardzo bym się o ciebie niepokoił, tym bardziej że czeka cię jeszcze jedno wyzwanie. Chyba jednak znalazłem rozwiązanie: nieopodal mieszka Perthus i mógłby nam wyświadczyć przysługę.

– Perthus! Przecież on przybył do miasta niedawno. Może nawet nie wiedzieć, gdzie przebywa Adriana.

– Chyba go nie doceniasz. Ten chłopak jest mądrzejszy, niż ci się wydaje, poza tym chyba cię polubił, więc sądzę, że zechce nam pomóc.

– Zgoda, skoro nie mamy innego wyjścia! – poddał się Sulla, nie mając jednak pewności, czy chciał cokolwiek zawdzięczać temu młodemu wieśniakowi.

Apollodoros, błagając ucznia, żeby nie ruszał się z biblioteki, wyszedł z domu i po przejściu kilku ulic dotarł do niedawno wybudowanych *insulae*. Liwia Druzylla początkowo chciała, aby Perthus zamieszkał w pałacu, ale ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. Co o nim było wiadomo? Całe dotychczasowe życie spędził w odległej górskiej wiosce, w której nadal praktykowano dawne lokalne zwyczaje. Nawet jeśli mieszkańcy regionu Ausy w swoim czasie wsparli wojska Juliusza Cezara, to było dawno temu, a poza tym podczas wojen zawierano różne

dziwne sojusze.

Tymczasem Trepsa zbliżał się do górnej części miasta. Wahał się, czy powinien podzielić się swoimi podejrzeniami z Liwią, ale chyba nie miał wyjścia. Jeśli miał rację, przemilczenie tego mogło być niebezpieczne.

Dotarłszy do pałacu, zauważył grupę nieznaną mu pretorianów. Jego imię i zapewnienie, że jest zaufanym niewolnikiem Liwii, na nic się zdało. Tej nocy wszystko wydawało się sprzysięc przeciwko niemu. Strażnicy go nie znali, a jego pani rozkazała, żeby jej nie przeszkadzano. Musiał dać sobie spokój, jeśli nie chciał na całą noc wylądować w więziennej celi. Inaczej Liwia Druzylla wściekłaby się o to następnego dnia i winiła go za to, że nie powiedział jej, gdzie był.

Postanowił udać, że odchodzi, po czym z ukrycia obserwować znajdujący się nieopodal dom Manniego i śledzić ruchy Lukanosa. To, co zobaczył w perystylu, mocno go zaniepokoiło.

Apollodoros wyprostował się, słysząc stukanie w drzwi. Stojący obok niego Sulla upuścił z rąk woskowe tabliczki i próbował je szybko pozbiierać.

– Czy to ona? – zapytał chłopak, rzucając się biegiem w drugi koniec atrium.

– Stój! – zawołał nauczyciel zdecydowanym tonem. – Przecież to może być ktokolwiek, na przykład żołnierze.

– Przecież Perthus powiedział, że zanieś jej wiadomość, prawda? Kto to może być, jeśli nie Adriana?

– Wracaj do biblioteki, ja otwieram drzwi mojego domu.

Było to polecenie, któremu Sulla nie mógł się sprzeciwić, wiedząc, że to było najrozsądniejsze i najszybsze rozwiązanie. Niemniej, biorąc pod uwagę rozwój wydarzeń, obawiał się, że nie pozostało mu wiele okazji, by zobaczyć Adrianę.

Najpierw przez próg domu starego nauczyciela przeszedł Lucjusz.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał z niepokojem w głosie.

– Oczywiście, centurionie! Nie odważyłbym się na ten krok, gdyby groziło nam niebezpieczeństwo.

– Rozumiem, panie, ale musiałem zapytać.

Apollodoros zdążył przytaknąć, kiedy za żołnierzem niczym biały cień ukazała się Adriana. Nauczyciel zdziwił się na jej widok. To nie była ta sama dziewczyna, która śmiała się podczas lekcji niczym mała dziewczynka i patrzyła łagodnymi migdałowymi oczami. Zmieniła się pod wpływem śmierci ojca i kłopotów, w jakie wpadł Sulla. Miała na sobie długą białą *stolę* oraz jedwabną *pallę* podkreślającą bladość jej twarzy pozbawionej kredowego pudru i pięknie kontrastującej z czerwienią glinki, którą miała pomalowane usta. Była piękniejsza niż kiedykolwiek. I nie potrzebowała żadnego klejnotu, żeby dodać sobie urody.

Sulla, tracąc cierpliwość, wybiegł z biblioteki. Młodzi rzucili się sobie w ramiona, gdy tymczasem Lucjusz i stary nauczyciel starali się patrzeć w inną



stronę. Chwilę później chłopak dał Apollodorosowi znak, jaki można było zinterpretować tylko w jeden sposób, po czym zniknął ze swoją ukochaną w głębi domu, zamykając się w izbie dla gości, która zawsze stała pusta. Apollodoros zaprosił Lucjusza do atrium, po czym przeszli do *triclinium* znajdującego się w przeciwnej stronie domu, niż ta, gdzie zniknęli Adriana i Sulla.

– Obawiam się, że mogę poczęstować was jedynie odrobiną miodu pitnego. Już dawno ograniczyłem swoje potrzeby.

– Chętnie. Prawdę mówiąc, przez ostatnie kilka dni prawie nic nie jadłem. Nie wiem już, co robić, żeby ochronić skutecznie Adrianę od wszystkich niebezpieczeństw, jakie na nią czyhają.

– Szczególnie kiedy jeden z najbardziej nieprzewidywalnych wrogów znajduje się w jej własnym domu, prawda? – Apollodoros wiedział, że zadanie tak bezpośredniego pytania było bardzo ryzykowne, ale miał wrażenie, że Lucjusz był przywiązany do dziewczyny bardziej niż do własnej rodziny.

– Nie wiem, co wiecie o tym problemie, ale mogę was zapewnić, że bardzo się tym martwię – przyznał centurion, spuszczać wzrok. – Gdyby nie to, że Adriana przebywa w pałacu, obawiam się, że musiałbym stawić czoła synowi człowieka, którego tak bardzo poważałem.

– Rozumiem, przyjacielu. Zastanawiam się, czy Lukanos mógł postradać zmysły do takiego stopnia, żeby rozkazać kogoś zabić.

– Wiem, chodzi wam o Alteriusza, którego znaleziono martwego w ogrodzie. Nikt nie wie, dlaczego został zamordowany. Też podejrzewałem, że stoi za tym Lukanos.

– Nie, zabójcą jest człowiek Liwii, Trepto, ale wszystko wskazuje na to, że nie miał wyboru. Alteriusz próbował zabić Sullę.

– Chwileczkę, nie wiem, czy dobrze was zrozumiałem. Chcecie przez to powiedzieć, że ktoś pragnął śmierci Sulli? To oznacza, że jest niewinny!

– Miałeś kiedykolwiek co do tego wątpliwości?

– Chyba nie. To jednak oznacza, że morderca nadal pozostaje na wolności i w każdej chwili może znów zabić!

Nagle z pokoju w głębi domu dotarł do nich przeciągły jęk. Lucjusz tak się zaczerwienił, że Apollodoros oddał mu swoją porcję miodu. Centurion wypił go jednym haustem.

– Dziękuję, wiem, że to nieprzyzwoite, ale...

– To naturalne. Choć jestem już stary, to mnie też trochę zawstydzą. Jednak oni są młodzi i przy okazji dorosli w oczach rzymskiego prawa. Poza tym są zakochani! Co może ich bardziej uszczęśliwiać?

– Może jednak doczekają się szczęśliwego zakończenia?

– Być może, lecz choć wszyscy mamy swoje podejrzenia, nad sprawą morderstwa gubernatora nadal wisi dużo znaków zapytania.



Lukanos pogrążył się w smutku. Sądził, że w Tarraco będzie bezpieczny, chroniony przez przyjaciół ojca, a jednocześnie zachowa wpływy, dzięki którym nie będzie musiał obawiać się ataków Wergiliusza. Jednak rzeczywistość była zupełnie inna. Odkąd duumwir pojawił się w mieście, młody edyl czuł się zbędny, Liwia Druzylla nie chciała mu zaufać w żadnej sprawie, a co najgorsze, zniweczyła jego plany związane z Adrianą.

Zaraz po przebudzeniu stwierdził, że może wyjść z honorem tylko popełniając samobójstwo. Poczul przeszywający ciału dreszcz i wyskoczył z łóżka. Nie był tchórzem, odebranie sobie życia uznał za ostateczne rozwiązanie, ale wcześniej jeszcze powalczy. Jego ojciec zawsze szukał jeszcze jednej szansy, zanim uznał bitwę za przegraną. Jednak Manniego już nie było przy nim, i cóż, trzeba przyznać, nie wbrew jego woli, więc powinien wykorzystać swoją samodzielność.

Wyszedł z komnaty do atrium i spojrzął w niebo. Było bezchmurne, chociaż Lukanosowi wydało się, że wokół niego wszystko stało się bardziej mroczne. Z pozycji słońca domyślił się, że dochodziło południe. Przespał wiele godzin, o wiele za dużo jak na jego zwyczaje. Czuł się wypoczęty, miał rzeźki umysł i jego młode ciało domagało się działania.

Jednak ten entuzjazm stłumił Lucjusz, pojawiając się z wyrazem twarzy świadczącym o tym, że przynosi złe wiadomości. Syn gubernatora odezwał się pierwszy:

– Lucjuszu! Wczoraj wieczorem szukałem cię po całym domu. Sądziłem, że miałeś mnie chronić!

– Panie – odpowiedział zaskoczony ostrym tonem tej rozmowy centurion – mam również obowiązek opiekować się waszą siostrą. Byłem w pałacu.

– W pałacu mają wystarczająco dużo straży, żeby Adriana była tam bezpieczna i strzeżona przede mną – powiedział Lukanos, a żołnierz pomyślał, że chyba naprawdę zwariował.

– W każdym razie przyszedłem ostrzec was, że w nocy w domu doszło do strasznego zdarzenia. Nie byłem jednak w stanie zbadać bliżej jego okoliczności.

– Mów – Lukanos rozkazał lakonicznie.

– Alteriusza, którego tak cenił wasz ojciec, znaleziono w ogrodzie z podciętym gardłem w kałuży krwi.

– Alteriusza? Nie widziałem go, odkąd zbiegł podczas mojej podróży powrotnej z Llerdy. Pewnie przyszedł prosić mnie o wybaczenie i ktoś go zaatakował.

Lucjusz zaniemówił, słysząc interpretację faktów syna Manniego, ale to, co usłyszał chwilę później, zaskoczyło go jeszcze bardziej.

– Już wiem, co się stało, Lucjuszu. Po Tarraco krąży czający się na mnie morderca i pewnie Alteriusz nakrył go w tym domu. Nieszczęsny niewolnik natrafił na kogoś dużo młodszego od siebie i bardziej bezwzględnego. To był Sulla! Tylko on mógł popełnić tak zdradziecki czyn! Chciał dokończyć dzieła, mordując mnie! Rozumiesz?

– Ależ panie, Sulla... – przerwał mu nagle Lucjusz i mało brakowało, aby zdradził się, że przez całą noc miał na oku syna żeglarza.

– Tak, to był on! Nie ma co do tego żadnych wątpliwości! Muszę wydać nakaz poszukiwania. Może ukrywać się nawet tutaj, gdzieś obok nas, czekając, żeby się na mnie rzucić. Zbierz swoich ludzi...

– O tym również chciałem z wami porozmawiać – odpowiedział Lucjusz. – Rozmawiałem z Liwią Druzyllą o mojej dalszej służbie w tym domu i otrzymałem nawet nie pozwolenie, lecz rozkaz, by wspomóc swoim oddziałem cesarskie straże...

– O czym ty mówisz? Chcesz zdradzić pamięć gubernatora Manniego, zostawiając jego syna na łaskę mordercy?

Lukanos powiedział to z całą siłą i złością, na jakie było go stać, ale centurion pozostał niewzruszony. Po kilku sekundach wahania Lucjusz stwierdził:

– Sądzę, że nie jesteście w stanie myśleć trzeźwo, panie. Może powinniście poszukać pomocy.

– Jak śmiesz? Zejdź mi z oczu, jeśli nie chcesz, żebym kazał cię wyrzucić. Ty zdrajco, niewdzięczniku...

Centurion wraz ze swoimi żołnierzami opuścili dom gubernatora. Lukanos poczuł panikę. Wszyscy, którzy go otaczali, stali się jego wrogami i został sam. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że może dzięki temu będzie miał większą swobodę, by wykonać swój plan. Musiał odzyskać zaufanie Wergiliusza i udowodnić mu, że może na niego liczyć. I przychodził mu do głowy tylko jeden sposób: odnaleźć Sullę i oddać go w ręce władz, by został ukarany za zabójstwo gubernatora. Dopóki chłopak był na wolności, mógł przekonać kogoś o swojej niewinności i wskazać zabójców, co zagroziłoby planom Lukanosa związanym z produkcją oliwy.

Nagle jakby go oświeciło i zrozumiał, kto byłby skłonny uwierzyć Sulli, gdzie chłopak mógłby szukać schronienia i być najbliżej Adriany. Wyszedł na

ulicę, nie zwracając uwagi, że w drzwiach wejściowych nie stał już żaden strażnik. Doskonale znał drogę do miejsca, w które miał zamiar się udać.

*Domus* nauczyciela znajdował się w centrum miasta i o tej porze ulice pełne były kobiet prowadzących dzieci do łaźni lub idących na codzienne zakupy. Lukanos szedł zdecydowanym krokiem, mijając ustępujących mu z drogi ludzi, aż w końcu dotarł do kamiennych podcieni, w których można było się ukryć podczas deszczu.

Na jego widok kilka osób wybuchło śmiechem, lecz gdy Lukanos dobył krótkiego miecza, drwiny ucichły, a szydercy się rozpięchli. Dotarł do domu Apollodorosa i zaczął walić w drzwi.

„Kto się tak dobija?” – zastanowił się stary nauczyciel, nie podejrzewając, żeby Trepsa, Perthus czy Lucjusz, którzy jako jedyni wiedzieli o obecności Sulli w jego domu, byli na tyle niedyskretni.

– Otwieraj, Apollodorosie! Mam dobre wieści dla Sulli. Liwia powiedziała mi, że cesarz postanowił mu wybaczyć. Chciałbym go uściskać!

– Źle cię poinformowano, Lukanosie. Sulli tu nie ma...

– Otwórz drzwi! Jeśli tego nie zrobisz, rozkażę żołnierzom, by po niego przyszedli – upierał się Lukanos, tracąc początkowe opanowanie.

– Nie mogę ci teraz otworzyć. Mam lekcje. Wróc kiedy indziej. Jednak zapewniam cię, że Sulli u mnie nie ma.

– Przeklęty staruchu! Jeśli mi nie otworzysz, rozwalę drzwi... i zabiję was obu!

– Teraz cię poznaję, Lukanosie. Jesteś chory! Powinieneś poszukać pomocy.

Słyszając ponownie słowa wmawiające mu chorobę, syn gubernatora wpadł we wściekłość. Wyciągnął miecz, próbując nim przez szczelinę w drzwiach podnieść skobel, ale przy drugiej próbie go złamał. Ani kopniaki, ani obelgi nie zmieniły decyzji starego nauczyciela, który wiedział, że w żadnym wypadku nie może wpuścić Lukanosa. Na szczęście okna jego domu nie wychodziły na ulicę, a jedyne drzwi wejściowe zrobione były z solidnego drewna.

Lukanos skaleczył się w nogę, ale zanim poczuł ból, usłyszał okrzyk. Ulicą biegła postać, w której rozpoznał barczystego Trepsa. Wyczerpany wysiłkiem, jaki włożył w próbę złamania oporu starca, Lukanos uciekł, kulejąc, w kierunku portu.

Kiedy Apollodoros usłyszał ponownie pukanie do drzwi, miał już przy sobie stary miecz, który przechowywał w domu. Nigdy go nie użył, ale to była jego jedyna broń, nie licząc starego noża odziedziczonego po ojcu, ale ten gdzieś mu zaginął. Nauczyciel był jednak gotów na wszystko, żeby pomóc Sulli, który wyszedł ze swojej przymusowej kryjówki i próbował wyjąć mu miecz z rąk.

– Powiedziałem, żebyś odszedł, Lukanosie! Masz już wystarczająco dużo kłopotów, nie powinieneś szukać kolejnych – Apollodoros uznał, że syn Manniego zmienił taktykę.

– To ja, Trepso. Jestem sam. Otwórzcie bez strachu.

– Trepso! – zawołał radośnie Sulla, słysząc znajomy głos, choć niewolnik nadal budził w nim sprzeczne uczucia.

Apollodoros otworzył drzwi i na widok człowieka Liwii Druzylli wypuścił miecz z rąk.

– Co się stało? Po co wam ten miecz? – zapytał Trepso.

– Lukanos tu był – powiedział Sulla – i groził nam śmiercią.

– Lukanos? – powtórzył niewolnik, patrząc ze zdziwieniem na Apollodorosa.

– Do jakiego stopnia namiętność może człowiekowi zmać zmysły!

Serwiusz tego ranka był bardzo szczęśliwy, choć nie był pewien, czy Apollodoros miał z tym coś wspólnego. Handlarz książek i papirusów Ati Viperi Foscul kazał mu przyjść do forum i podczas jego nieobecności zająć się straganem. Ati poprosił o to spokojnym i grzecznym tonem i Serwiusz miał wrażenie, że świat nagle zawirował wokół własnej osi i wśród ludzi zapanował pokój.

Chociaż pomógł Apollodorosowi znaleźć zwłoki w portowym magazynie, chłopak wciąż odczuwał niepokój i ciężar tajemnicy. Nie powiedział staremu nauczycielowi całej prawdy o mężczyznach, którzy przez większą część swojego życia parali się krwawą robotą.

Idąc wśród straganów z owocami i warzywami, chłopak przyglądał się kolumnom świątyni. To właśnie tam sędziowie ustanawiali prawa i wymierzali kary. Ale jak mogli to robić, nie znając prawdy? Serwiusz był tak pochłonięty tymi myślami, że zapomniał o wybuchowym charakterze sprzedawcy książek.

– Spóźniłeś się, Serwiuszu – powiedział Ati wyjątkowo spokojnym tonem. – Zastanawiałem się już, czy nie zamknąć kramu.

– Wybaczcie! Wczoraj nic nie jadłem i trochę kręci mi się w głowie.

– Nie miałeś za co kupić jedzenia? Dlaczego więc nie przyszedłeś po pomoc do mnie ?

– Myślałem, że jesteście wściekli...

– Może za dużo myślisz, chłopcze. Biegnij szybko do tawerny i kup sobie coś na śniadanie – powiedział, wkładając mu do ręki monetę, ale Serwiusz był tak oszołomiony tym gestem, że musiał jeszcze raz na niego krzyknąć: – Na co czekasz? Biegnij! I wracaj szybko, bo muszę odwiedzić dostawców. Wydaje mi się, że przywieźli nowe książki z Rzymu.

Serwiusz rzucił się biegiem, potrącając kilku wieśniaków, którzy rozkładali na ziemi sałatę i pomidory zebrane na swoich polach. W tawernie poprosił o talerz potrawy i prędko ruszył z powrotem do kramu. Zanim tam dotarł, zdążył zjeść już połowę posiłku.

Atiemu jak zwykle ciężko było opuścić stragan i bez końca instruował Serwiusza, jak powinien traktować klientów. Trwało to tak długo, że wciąż myślący o swej tajemnicy chłopak nie wytrzymał i wyznał mu to, co skrywał przez

ostatnie dni.

– Co ty mówisz, chłopcze? Jak to możliwe? – zdenerwował się Ati, każąc mu usiąść na jedynym stołku w kramie i stając przed nim.

– To prawda, panie! Nie wiedziałem, czy nie narobię przez to wam albo Apollodorosowi kłopotów, więc milczałem. Jednak tego ranka, kiedy zobaczyłem, że żołnierze sprzątaję magazyn, pomyślałem, że nigdy ich nie odnajdą i morderca pozostanie na wolności.

– Czy będziesz w stanie powtórzyć wszystko, co mi powiedziałeś? Dla twojego i mojego dobra nie możemy zataić takiej tajemnicy.

– Komu miałbym to powiedzieć? – zapytał przestraszony Serwiusz.

– Czy ufasz mi, chłopcze?

– Chyba tak – odpowiedział, przeżuwając kawałek mięsa, chociaż już z mniejszym apetytem.

– Zamknijmy stragan. Musimy iść.

– A wasze spotkanie i nowe książki?

– Pójdę tam później. To jest o wiele ważniejsze.

Zebrali zwoje oraz tabliczki i schowali je w skrzyniach pod ladą. Ati poprosił właściciela przyległego straganu, żeby w czasie ich nieobecności miał oko na ich kram. Sąsiad sprzedawał artykuły z metali i w jego działkach nie było ani jednego zęba, ponieważ, jak sam twierdził, resztę złamał, sprawdzając autentyczność denarów. Teraz handlował już tylko złomem, kotwicami, łańcuchami czy gwoźdźmi, które najczęściej trafiały do przetapialni. Serwiusz zawsze uważał go za krętacza.

Kiedy stanęli przed cesarskim pałacem, chłopak próbował wyrwać się Atiemu, ale ten złapał go mocno za ramię. Powiedział mu kilka słów otuchy i Serwiusz nieco się uspokoił. Następnie handlarz pewnym tonem zdołał przekonać strażnika, że muszą przekazać Liwii Druzylli bardzo ważną informację.

Po wejściu do sali audiencyjnej domyślili się, że są świadkami jakiejś kryzysowej sytuacji. Wokół było pełno żołnierzy, którym żona Oktawiana bez ustanku wydawała rozkazy. Ati z jej słów zrozumiał, że miało to coś wspólnego z córką gubernatora. Nagle dwóch strażników wypchnęło księgarza i chłopca przed oblicze Liwii.

– Czego chcesz, Ati? – Handlarz był zaskoczony, że znała jego imię, ale natychmiast przypomniał sobie, że ta kobieta miała opinię najlepiej poinformowanej w całym Tarraco. – Mam nadzieję, że nie będziesz teraz próbował sprzedać mi książek! Mam ważniejsze sprawy.

– Pani, nie ośmieliłbym się przeszkadzać wam, jeśli nie byłoby to naprawdę ważne. Mój pomocnik Serwiusz ma informacje, które powinniście jak najszybciej usłyszeć.

– Niech tak będzie. Co mi masz do powiedzenia, chłopcze?



Serwiusz z zaskoczeniem usłyszał z ust Atiego, że jest jego pomocnikiem. Zastanawiał się, czy od teraz tak się w rzeczywistości stanie, czy tylko tak go nazwał, zważywszy na okoliczności. Nie czuł strachu ani wątpliwości i wahania, które odczuwał, wyznając sekret Atiemu. Jasno i szczegółowo opowiedział o wszystkim, co wiedział. O tym, jak często biegał po znajdujących się w północnej części portu magazynach, gdzie szukał starych przedmiotów, które na forum sprzedawał za kilka monet. Robił to niemal każdego dnia, więc nie znalazł się tam przypadkiem, kiedy miało miejsce wydarzenie, o jakim mówił.

Liwia Druzylla słuchała go z uwagą, chociaż nie wiedziała jeszcze, do czego zmierza.

– ...To się wydarzyło kilka nocy temu, ale nie umiem określić dokładnej daty, ponieważ nigdy nie liczę dni.

Ati lekko ścisnął go za ramię i poprosił, żeby przeszedł do sedna. Serwiusz więc mówił dalej:

– Tego dnia, szukając złomu w pobliżu pierwszego magazynu, który położony jest najbliżej morza, usłyszałem głosy. Podeszedłem bliżej i ujrzałem pod drzwiami młodego mężczyznę. Z wnętrza magazynu dochodziły krzyki, jakby kogoś torturowano. Trudno mi powiedzieć, czy w środku był jeden czy więcej ludzi. Kiedy głosy ucichły, mężczyzna zdjął z drzwi rygiel, dobył miecza i trzymając go ostrzem ku górze, wszedł do środka. Nie odważyłem się podejść bliżej, ale widziałem jak po chwili wyszedł blady jak śmierć, a jego miecz splamiony był krwią. Przez chwilę stał oparty o ścianę, po czym zwymiotował. W końcu ponownie zaryglował drzwi i odszedł w stronę górnej części miasta....

Opowieść Serwiusza przerwało pojawienie się kogoś, kogo Ati znał tylko z widzenia. Liwia Druzylla spojrzała na niego z niepokojem i kazała mu się zbliżyć. Zanim jednak Liwia dała mu dojść do słowa, spojrzała na pomocnika kramarza i zapytała:

– Czy jesteś w stanie powiedzieć nam bez cienia wątpliwości, kim był ów człowiek?

– Serwiusz jest pewien jego tożsamości, pani – wtrącił Ati, ale zamilkł, widząc gniewne spojrzenie Liwii.

– Niech sam odpowie!

– Człowiekiem, który ich zabił albo... – Serwiusz zawahał się – ...może tylko dobił, był Lukanos, syn gubernatora Manniego. Jestem tego pewien, ponieważ często widziałem go na forum w towarzystwie Apollodorosa, jego nauczyciela.

Przez salę audiencyjną przeszedł pomruk, niosący się z szybkością błyskawicy w czasie letniej burzy. Liwia i mężczyzna, który podeszedł, nawet nie drgnęli.

– Co chciałeś nam powiedzieć, Trepso? – zapytała żona Oktawiana właśnie przybyłego swojego człowieka, zachęcając go do podzielenia się informacją ze

wszystkimi obecnymi.

Niewolnik nie dał się prosić dwa razy.

– Lukanos próbował wedrzeć się siłą do domu Apollodorosa. Zagroził nauczycielowi, że zabije jego i Sullę, oczywiście, jeśli go z nim znajdzie.

– Sulla jest niewinny! To nie on zabił gubernatora! – zawołał Serwiusz, znów skupiając na sobie uwagę wszystkich.

– Skąd wiesz, chłopcze? – zapytała Liwia Druzylla.

– Sulla to dobry chłopak. Zawsze mi pomaga, kiedy mam kłopoty. Pozwolił mi nawet kiedyś u siebie przenocować, oczywiście podczas nieobecności Kaenosa.

Liwia Druzylla uśmiechnęła się, słysząc te naiwne słowa, po czym nagle odwróciła się do Trepsa i powiedziała mu coś na ucho. Niewolnik wyszedł pospiesznie z sali, przeszedł przez główne patio pałacu i spotkawszy Lucjusza, poprosił, aby mu towarzyszył. Centurion zgodził się, nie zadając żadnych pytań.

Zbliżając się do domu Apollodorosa, ujrzeni jak stary nauczyciel z wyraźnym zafrasowaniem na twarzy podążyła w ich stronę. Trepsa domyślił się, co się stało, ale Lucjusz zapytał:

– Gdzie idziecie, Apollodorosie? Czy nie powinniście pilnować Sulli?

– Wyszedłem na chwilę, tylko na chwilę, do tawerny obok. Potrzebowaliśmy mleka i jajek... A kiedy wróciłem, już go nie było! Sulla zniknął!

– Co z Adrianą? Sądziłem, że są razem u was! – zawołał Trepsa, opierając się na kamiennym słupku i zasłaniając twarz rękami.

– Być może była, ale już ich obojga tam nie ma – odrzekł Apollodoros.

Lucjusz postanowił osobiście poinformować Liwię Druzyllę o zniknięciu Adriany i Sulli. Wiedział, że żona Oktawiana na nim wyladuje cały gniew, ale nie dbał o to. Nic nie mogło zmienić faktu, że młodzi kochankowie uciekli, chociaż intuicja podpowiadała mu, że ukryli się gdzieś w Tarraco. Nadal nie wiadomo było również, kto zamordował Manniego, aczkolwiek mieli teraz już zaskakujące oświadczenie pomocnika Atiego, że Lukanos zabił z zimną krwią trzech ludzi, których prawdopodobnie najpierw otrul.

Próbując w myślach połączyć oba wątki w jedną coraz bardziej niewiarygodną wersję, centurion wszedł do pałacu, gotów zmierzyć się z gniewem Liwii. Jednak czekała go niemiła niespodzianka: w sali audiencyjnej ujrzał Wergiliusza, duumwira Llerdy, oraz dwóch rzymskich senatorów i sądząc po tonie ich rozmowy, domyślił się, że przyjdzie mu długo poczekać.

Tymczasem Apollodoros zaprosił Trepsa do domu i zaproponował kubek miodu pitnego. Niewolnik był tak przygnębiony, że nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa. Jednak napój go ożywił. Chciał wyruszyć na poszukiwania uciekinierów, ale stary nauczyciel stanowczo go powstrzymał.

– Teraz nie czas, żeby tracić głowę, Trepsa. Oczywiście możemy pomóc w poszukiwaniach Sulli i Adriany, ale jeśli się nie mylę, kiedy tylko centurion przekaże wiadomość Liwii Druzylli, zacznie ich szukać cały garnizon Tarraco. Powinniśmy działać w przemyślany sposób.

– Co proponujecie?

– To proste. Znasz wszystkie zaułki i kryjówki tego miasta. Przeszukaj najdziwniejsze miejsca, do których nikt by nie zajrzał. A ja zrobię odwrotnie. Pójdę na forum, do domu rodziny Likinosów i zajrzę do portu.

– Brzmi rozsądnie. Zatem do dzieła.

Trepsa dopił resztkę miodu i bez zwłoki opuścił dom Apollodorosa. Stary nauczyciel jednak się nie spieszył. Nie zdążył się jeszcze otrząsnąć z oszołomienia na wieść, że za śmierć trzech mężczyzn, których znalazł dwa dni wcześniej dzięki pomocy Serwiusza, odpowiedzialny był Lukanos. Apollodorosa najbardziej zirytowało, że pomocnik Atiego nie wyznał mu całej prawdy; pokazał mu trupy, nie zdradzając tożsamości człowieka odpowiedzialnego za ich śmierć.

Z tą niedającą mu spokoju myślą nauczyciel wyszedł z domu i ruszył boczną uliczką w stronę forum. Zbliżała się pora obiadu, ale coś mu mówiło, że tego dnia również nie zje go w spokoju. O tej porze właściciele straganów już składali swój towar, ale Ati zawsze zostawał dłużej, wiedząc, że klienci woleli zjawiać się przy jego kramie, kiedy na forum robiło się spokojniej. Jednak nigdzie nie było widać Serwiusza.

– Apollodorosie! – zawołał księgarz na jego widok. – Wiedziałem, że przyjdiesz.

– Nie pomyliłeś się. Gdzie jest twój pomocnik? Muszę z nim porozmawiać.

– Był wyczerpany i pozwoliłem mu zostać u mnie w domu, żeby odpoczął.

– Miło mi to słyszeć. Powinieneś był zaopiekować się nim już dawno temu.

Ten chłopak zrobiłby wszystko, żeby zyskać chociaż odrobinę twojej uwagi.

– Rozumiem, chociaż jestem podobnym do ciebie starym samotnikiem. Nie wiem, czy w moim wieku mam ochotę opiekować się jakimś dzieciakiem.

– Ten dzieciak mógłby dać radość twojej starości, Ati. On jest ci wierny jak pies.

– Chwileczkę, przyjacielu, już wiem, do czego pijesz. Jesteś wściekły, naprawdę wściekły! Serwiusz powiedział mi całą prawdę, zamiast podzielić się nią z tobą. Chociaż nie jestem pewien, czy zrobił to z rozmysłem.

– Być może, ale to już nie ma znaczenia. Problem w tym, że Sulla i Adriana zniknęli. Szukamy ich wszędzie, ale obawiam się, że ktoś może znaleźć ich przed nami.

– Nie zdziwiłbym się, Apollodorosie. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Syn Manniego okazał się zabójcą i im więcej się nad tym zastanawiam, tym mniej rozumiem jego motyw. Wiemy, że stara się być dobrym edylem, pomimo że często nadużywa swojej władzy, ale jeśli chciał kogoś ukarać, to nie musiał robić tego w taki sposób.

– Chyba że martwi mogliby zdradzić jakąś bardzo haniebną tajemnicę, nie sądzisz?

– Co masz na myśli?

– Wolę na razie nic o tym nie mówić. Na samą myśl ogarnia mnie przerażenie. Jednak chciałbym wiedzieć, gdzie są moi uczniowie. Nie wiesz, gdzie mogli się ukryć?

– Nie, naprawdę nie wiem. Domyślam się, że chciałbyś zapytać o to Serwiusza, chociaż wątpię, czy będzie mógł ci pomóc.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wstąpię do twojego domu, żeby z nim o tym porozmawiać.

– Oczywiście, przyjacielu. Nie chciałbym, żeby te wydarzenia oddaliły nas od siebie. Możesz mi zaufać, nawet jeśli ze względu na okoliczności nic ci wcześniej nie powiedziałem. Chyba rozumiesz, że musiałem natychmiast

poinformować o wszystkim Liwię Druzyllę.

– Oczywiście – powiedział przygnębiony Apollodoros.

– Ale skoro już tu jesteś, mam dla ciebie niespodziankę. W dostawie z Rzymu znalazłem coś, o co prosiłeś mnie od dawna. *Kobiety z Trachis* Sofoklesa. Daję ci je na dowód naszej przyjaźni!

Apollodoros ujął w ręce pergamin, który Ati podał mu z uśmiechem, ale nie podziękował mu, ani nawet na niego nie zerknął. W innych okolicznościach skakałby z radości, nawet jeśli miałoby się to skończyć bólem jego zmęczonych nóg. W tej chwili jednak interesował go tylko los dwojga młodych ludzi, przeciwko którym najwyraźniej skrzyknął się świat. Po chwili wahania poprosił przyjaciela, żeby przechował dla niego prezent, ponieważ nie chciał go zgubić w czasie poszukiwań Sulli i Adriany.

Długo krążył po dolnej części miasta. Przeszukał wszystkie zakamarki na przystani, zajrzał do magazynów, przeszedł wszystkie ulice. W końcu postanowił udać się do domu Kaenosa Likinosa. Ten odpoczywał na *triclinium* stojącym pośrodku atrium, które stanowiło prawdopodobnie jedyne chłodne miejsce w całym domu. Ojciec Sulli niechętnie otworzył nauczycielowi drzwi. Nie wyglądał na skorego do rozmowy.

– Wasz syn uciekł z Adrianą – poinformował go Apollodoros, wiedząc, że teraz musi wykorzystać szansę.

– Tutaj ich nie ma. Od kilku godzin jestem w domu i nikogo nie widziałem. Nie dziwi mnie ta wiadomość. Mój syn jest zdolny zniszczyć wszystko, co osiągnąłem w życiu, nawet naruszyć pamięć matki.

– Chyba przesadzacie. Sulla w tej chwili walczy o swoje szczęście i najważniejszą dla niego rzecz, miłość Adriany. Czy naprawdę wierzycie, że jest mordercą? Mogę was zapewnić, że mam dowody na to, iż nie zabił więziennych strażników.

– A Manniego? Możecie również powiedzieć z całą pewnością, że nie jest winny jego śmierci?

– Jeszcze nie mogę tego udowodnić. Niemniej wszystko wskazuje na to, że wasz syn wpadł w pułapkę albo stał się przypadkowym kozłem ofiarnym. Zamiast wylewać żal, moglibyście pomyśleć, jak mu pomóc. To wasz syn!

– Pomóc mu? Mistrzu Apollodorosie, chyba go nie znacie. Sulla nie potrzebuje niczyjej pomocy. Nigdy mnie o nią nie poprosił ani tego nie robi, jest na to zbyt dumny, i wiem, że taką postawę odziedziczył po mnie.

– Mylicie się!

Stary nauczyciel opuścił dom Kaenosa Likinosa nie dowiedziawszy się niczego. Chciał poprosić go, żeby pomógł mu szukać syna, ale ostatecznie powiedział mu tylko, żeby zastanowił się, jak mógłby pomóc Sulli, kiedy będzie po wszystkim. Nie miał wątpliwości, że kiedyś to nastąpi i wtedy Sulla i Adriana będą

potrzebowali wsparcia ojca i przyjaciela.

Przed łaźniami spotkał Trepsa, ale niewolnik nie miał żadnych nowych wieści. Na ulicach widać było wielu żołnierzy, którzy mijali ich energicznym krokiem, lecz nie wydawali się poszukiwać młodych zbiegów.

Tymczasem Lucjusz nadal czekał, aż Liwia Druzylla zakończy spotkanie z rzymskimi senatorami, a Wergiliusz zdawał się być tam piątym kołem u wozu.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. n.e.*

Czy pozostało mi jeszcze cokolwiek innego oprócz własnych historii i przeszłości, jaką próbuję odzyskać, być może po to tylko, żeby poczuć, że żyję? Zastanawiałem się nad tym wczoraj. Musiałem obudzić Nídię, która przysypiała, siedząc przy mnie, i kazałem jej położyć się we własnym łóżku. Nie mogłem zasnąć i chyba długo rozmawialiśmy, ale nie pamiętam o czym. Czasami zastanawiam się, czy szybko zapominając to, co się chwilę wcześniej wydarzyło, nie powiem albo nie zrobię czegoś kompromitującego, co będzie przeczyło mojemu wcześniejszemu zachowaniu. Nie mam jednak zbyt wiele czasu, żeby się tym zamartwiać. Wiem, że mógłbym zapytać o to Nídię, która jest na tyle inteligentna, że zrozumiałaby mój niepokój. Wtedy jednak przyznałbym się do swojej beużyteczności, a to najbardziej mnie przeraża. Jeśli okaże się, że nie mogę kontrolować teraźniejszości, jakiej mogę spodziewać się przyszłości?

Może właśnie dlatego postanowiłem opisać wydarzenia dziejące się wokół morderstwa Manniego, które naznaczyły moją młodość, pokazały mi prawdziwą ludzką naturę, a przede wszystkim mnie zmieniły.

Zaskoczyło mnie jednak i zdziwiło, że opisując moje pierwsze lata pobytu w Tarraco, najpierw cofnąłem się do wspomnień dzieciństwa w Ausie i pierwszego widoku ludzkiej krwi...

Strzała przeszła powietrze z prędkością światła. Ktoś wystrzelił ją z lasu. Tak, z lasu, który opuszczałem na zawsze, żeby spełnić marzenia o Tarraco. Stało się to w momencie, gdy nie spodziewaliśmy się żadnego niebezpieczeństwa. Nasza grupa miała za zadanie uzdrawiać, a nie przynosić śmierć. Antoniusz Musa nie chciał wracać na południe szlakiem Congost. Z Ausy dojechaliśmy do Tony, a następnie skręciliśmy na wschód i ruszyliśmy przez Collada de Sobrevia, mijając po drodze Montseny. Wszystkie te miejsca widziałem po raz pierwszy w życiu.

Strzała wbiła się prosto w plecy Andromikusa i żaden bóg nie postanowił temu przeszkodzić, rozpętując burzę, by zmienić tor jej lotu i uniknąć tak wielkiej niesprawiedliwości. Do tej pory pamiętam suchy dźwięk i krzyk Musy. Posypał się na nas grad strzał, ale żadna z nich nikogo nie trafiła i nie doleciała, aby dosięgnąć celu z precyzją, jaka często towarzyszy śmierci.

Jadący z nami żołnierze natychmiast zajęli odpowiednie pozycje, osłaniając

nas tarczami, chociaż było już za późno. Musa przytrzymał martwe ciało Andromikusa, żeby nie spadło na ziemię. Nadal na wspomnienie tych chwil ogarnia mnie przerażenie. Kiedy podjechałem bliżej, ujrzałem, że jeszcze niedawno śmiejące się oczy Andromikusa nie patrzyły już na mnie. Na chwilę odszedłem od niego i zbliżyłem się do mulicy niosącej bukłaki z wodą, chcąc poczuć w gardle orzeźwiający płyn, być może dlatego, że wciąż miałem w pamięci mój strumień i moje lasy.

– Złapaliście napastników? – zapytał Musa żołnierzy, którzy, kiedy wydarzyło się już najgorsze, pogalopowali do lasu; na jego twarzy widoczny był gniew wywołany śmiercią Andromikusa.

– W pobliżu nikogo nie ma. Możemy ich ścigać, ale jeśli ruszymy pieszo w głąb lasu, wybiją nas co do jednego – odpowiedział centurion, wiedząc, że sześć osób nie jest w stanie stawić czoła nieznanemu wrogowi.

– Czy też tak sądzisz, Perthusie?

To była pierwsza sprawa, w jakiej medyk zapytał mnie o zdanie; mam na myśli pierwszą poważną sprawę. A ja przytaknąłem, chociaż z jednej strony pragnąłem, żeby sprawcy otrzymali zasłużoną karę, a z drugiej obawiałem się, że ich znam. Może to był ktoś z mojej wsi albo spotkany kiedyś w Ausie. Wiedziałem, że wielu mieszkańców miasteczka nie pogodziło się obecnością Rzymian, których traktowali nadal jako najeźdźców. Najpierw musieli walczyć w niezliczonych wojnach z Kartageńczykami, teraz Rzymianie próbowali narzucić im swoje zasady. Stąd, pomimo że Rzymianie zamieszkiwali nasze ziemie już od dłuższego czasu, Ausetanicy często na nich napadali.

Musa ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy przyjął ze smutkiem moją odpowiedź. Przez chwilę sądziłem, że jest na mnie zły. Przecież byłem obcy, byłem Ausetanczykiem, barbarzyńcą. Jednak na widok zrezygnowanego wyrazu twarzy medyka zrozumiałem, że świat, w którym żyłem dotychczas, stał się przeszłością. Będąc celem napadu, stałem się takim samym Rzymianinem jak moi towarzysze podróży.

Centurion jednak nie podzielał tego przypuszczenia. Stał się niespokojny, jakby pragnął usłyszeć rozkaz, by ścigać zabójców do samego serca lasu i ich pozabijać. Prawdopodobnie moja rozważa uratowała mu życie, ale będąc rzymskim żołnierzem, codziennie nim ryzykował, nigdy nie wiedząc, kiedy dosięgnie go zabłąkana strzała.

Przejechaliśmy przez masyw Montseny i w końcu naszym oczom ukazała się via Augusta. To oznaczało, że opuszczaliśmy niebezpieczny obszar i być może nikt nie będzie nas ścigał. Na wszelki wypadek przez resztę drogi do Baetulo powzięliśmy wszelkie możliwe środki ostrożności. Żołnierze osłaniali nas po bokach, unosząc swoje tarcze w miejscach bardziej zalesionych. Ciało Andromikusa leżało na wozie z zapasami żywności, zawinięte kocem niczym



w całun. Jechaliśmy bardzo blisko siebie, jakbyśmy w ten sposób mogli uchronić się przed śmiercią. Jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że śmierć jest w stanie zaskoczyć człowieka bez względu na to, jak dobrze się ukrył...

W momencie gdy próbuję dokończyć historię Sulli i Adriany, po raz kolejny pamięć przenosi mnie do odległej przeszłości w Ausie. Być może dlatego, że ręka odmawia mi posłuszeństwa. Trudno mi poruszać stilusem z wystarczającą precyzją, żeby wyryć w woskowej tabliczce czytelne litery. Dlatego łatwiej mi jest odpływać we wspomnienia, które nie wymagają ode mnie wysiłku. Chociaż to chyba nie jest najlepszy moment na wspomnianie.

Wkrótce przyjdzie po mnie Nidia i musimy wyjść z domu. Nie byłem zachwycony pomysłem obejrzenia sztuki Plauta. Podoba mi się jego dosadny język, ale nie cierpię jego sprośnych dowcipów i tego, że obniża swój poziom, żeby zaspokoić widzów oczekujących farsy. Jednak mam ochotę znów usłyszeć zgiełk teatru, podziwiać scenografię i oceniać występ aktorów.

Nidia nie zjawiała się o umówionej porze, a może to moja świeca dogasa przed czasem. Obserwuję ją od kilku dni i wydaje mi się, że jej ubywa, ale może to ja, błędząc we wspomnieniach, tracę kontakt z rzeczywistością. Znowu gubię się w myślach po napisaniu zaledwie kilku zdań.

Jeżeli moje myśli układałyby się w jakąś logiczną całość, teraz powinienem wspomnieć czasy po śmierci Andromikusa i pozostałą część podróży do Tarraco. Jednak przez cztery dni nie wydarzyło się nic wyjątkowego z wyjątkiem jego egzekwii w Baètulo.

Nigdy nie obchodzili mnie zmarli. Jedyne, co możemy dla nich zrobić, to o nich pamiętać.

Natomiast pierwsze miesiące spędzone w Tarraco, zanim doszło do morderstwa Manniego, jak najbardziej zasługują na zapamiętanie. Może dlatego, że każdy krok był nowym odkryciem, doświadczeniem dla nadal oszołomionego i pogrążonego w smutku chłopaka.

Najpierw dowiedziałem się, że Musa nie będzie się mną zajmował przez cały czas. Za każdym razem, kiedy wzywały go obowiązki i zostawiał mnie samego, zaczynałem rozumieć słowa Andromikusa. W pierwszym okresie medyk wymagał ode mnie tylko jednego: żebym się uczył. I w ten sposób trafiłem do Apollodorosa, dzięki któremu poznałem dwie najważniejsze osoby w moim życiu: Sullę i Lukanosa. Z ich powodu moje starania, aby posłusznie wypełniać życzenia medyka, stały się niemal niemożliwe.

– Co robicie jeszcze w tej starej tunice? Apollo chyba nie chciałby was widzieć w takiej szacie w teatrze! – Nidia weszła do pracowni z pośpiechem, za którym nigdy nie nadążałem.

– Nawet jeśli przywdzieję purpurowe szaty, Apollo zawsze będzie widział we mnie przebierańca i nic na to w moim wieku nie poradzę – odpowiedziałem

z delikatną ironią, ale ona była zawsze skora do słownych potyczek.

– Mnie nie oszukacie. Widziałam, jak patrzycie na piersi kłaniających się na scenie aktorek. Macie szczęście, że wasz wzrok jest sprawniejszy niż pozostałe części ciała, inaczej mielibyście poważne kłopoty.

– Ach, Nídio, nie wiem, co masz na myśli mówiąc o pozostałych częściach mojego ciała. Czasami nawet ich nie czuję, jakbym patrzył na siebie, stojąc obok, albo był dzieckiem, któremu odmawia się kawałka ciasta.

– Nie mówcie bzdur! Gdzie jest tunika, którą przyniosłam wam rano?

To, co następuje chwilę później, było moim problemem przez długi czas, w zasadzie od dwudziestu lat, odkąd kupiłem Nídię od handlarza niewolników z Baktrii. Wówczas moje ciało reagowało jeszcze na bodźce, chociaż zaczynałem się w sposób widoczny starzeć. Nigdy jednak nie pozwalałem, żeby mnie ubierała, ani nie doprowadzałem do sytuacji prowadzących dalej, jak to zwykle robić wielu moich znajomych ze swoimi niewolnicami.

Jednak to było dawno. Teraz, nie stawiając żadnego oporu, stoję pośrodku izby i pozwalam jej robić ze mną, co zechce. Nídia zdejmuje ze mnie znoszoną tunikę i jej oczom ukazuje się moje starcze ciało. Wykorzystuję chwilę, kiedy pomaga mi założyć femoralia, żeby popatrzeć na jej widoczne pod tuniką piersi, soczyste i delikatne jak dwie pomarańcze, pomimo że niewolnica ma już na karku sześćdziesiąt lat.

Czy kupiłem Nídię, ponieważ wstydzilem się mieć w domu młodą dziewczynę, czy może uważałem, że kiedyś uda nam się do siebie zbliżyć? Niestety teraz dochodzę do wniosku, że po prostu starsze wiekiem niewolnice miały lepszą cenę, a mnie szkoda było wydawać pieniądze, które odkładałem na starość.

Między nami nigdy do niczego nie doszło, lecz nie było to spowodowane brakiem pożądania. Zawsze byłem niezwykle nieśmiały, co w dużej mierze utrudniało mi zaspokajanie moich potrzeb. Teraz jednak, bez względu na to, jak często mnie dotykała czy poprawiała pod ubraniem moje intymne części, tylko mój umysł jest w stanie wyobrazić sobie cielesne przyjemności, a co gorsze, przypomnieć sobie milczącą i z góry przegraną rywalizację, jaką prowadziłem z Sullą.

– Zaczekaj na mnie na dziedzińcu, zaraz przyjdę – powiedziałem Nídzie, kiedy mnie wystroiła w te wszystkie niepotrzebne szmaty, nawet w togę, którą dostałem od Musy i miałem na sobie tak niewiele razy, że nadal jest w dobrym stanie.

– Co jeszcze chcecie zrobić? Myślicie, że przedstawienie bez was się nie zacznie? Doskonale wiecie, że jeśli się spóźnimy, będzie wam trudno przepychać się przez wypełnione trybuny.

– Wiem, Nídio, ale to mi zajmie tylko chwilę, zgoda?

Wyszła, zostawiając mnie samego w pracowni. Wiem, że niewolnica, która rządziła moim życiem niczym reinkarnacja Akrisy, kocha mnie. Może dlatego, że od pierwszego dnia, kiedy przyprowadziłem ją do domu i wskazałem na wannę z czystą wodą, zawsze traktowałem ją z szacunkiem.

– Możesz się wykąpać, ale się nie spiesz. Jestem w stanie sobie wyobrazić, w jakim brudzie i nędzy byłaś przetrzymywana.

Nidia zatrzymała się pośrodku *triclinium* z kostką mydła w ręku, nie wiedząc, czy za moimi słowami nie ukrywał się jakiś inny cel. Z pewnością spodziewała się, że do niej podejść i zacząć starymi rękami dotykać jej nadal atrakcyjnego ciała. Jednak nie przeszkodziłem jej, kiedy przez dwie godziny pluskała się w wodzie, podśpiewując sobie, ani kiedy stanęła przede mną, pachnąc jak świeżo upieczone ciastko. Być może straciłem okazję, żeby być szczęśliwym, ale wtedy nie miałem jeszcze pojęcia, że pewne rzeczy zdarzają się tylko raz.

*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Oktawian August po raz kolejny odmówił rzymskim senatorom audiencji, przez co Liwia Druzylla zmuszona była spotkać się z nimi raz jeszcze. Czuła się urażona, że cesarz postanowił najpierw przyjąć niejakiego Krimagorasa z Mityleny, bez względu na to, z jak daleka przybył. Z pewnością jednak jej choremu mężowi dobrze robiły tego rodzaju wizyty, szczególnie jeśli gość przybywał z wieścią, że w mieście położonym na maleńkiej wyspie we wschodniej części imperium wybudowano w hołdzie cesarzowi świątynię, w której czczono go jak boga.

W głębi duszy Liwia nie dziwiła się, że Oktawian unikał spotkań z senatorami. Uwielbiał politykę, ale tematy debat, jakimi go raczyli, powtarzały się i były w stanie znudzić nawet najbardziej zainteresowanego rozmówcę. Podobnie było w przypadku senatorów Septimiusza Maksymusa i Tulliusza Domicjusza, którzy przemawiali, jakby chcieli wygrać konkurs krasomówczy.

Liwia Druzylla skupiła uwagę na Wergiliuszu, który prawie w ogóle się nie odzywał. Kazała swoim szpiegom obserwować *domus* duumwira, skąd wcześniej wychodził Lukanos, ale otrzymała właśnie nowe informacje i te spowodowały, że jeszcze bardziej pragnęła dowiedzieć się, co łączyło Wergiliusza – człowieka ambitnego i pozbawionego skrupułów – z synem Manniego, będącego według wszelkiego prawdopodobieństwa mordercą i zdrajcą Rzymu.

Biorąc pod uwagę rozkaz Oktawiana, o którym miała poinformować swoich rozmówców, zaspokojenie zżerającej Liwię ciekawości mogło nie być takie łatwe. Kiedy wreszcie znużyło ją wysłuchiwanie kolejny raz argumentów, dlaczego *Cessetania*, czyli tereny otaczające Tarraco i rozpościerające się od rzeki Ebro do Llerdy i od wzgórz Ausetanii aż po Baètulo i Barcino, powinny zostać zaadaptowane pod gaje oliwne, żona cesarza pokazała senatorom podpisany przez Augusta dokument, mocą którego pozbawiał Wergiliusza wszystkich funkcji, degradując go do zwykłego centuriona.

– To niemożliwe! Podważacie decyzje senatu przyznające mi ten urząd! – zawołał były duumwir z wściekłością, dając dwa kroki w przód.

– Radzę wam ostrożnie dobierać słowa, centurionie! – Liwia Druzylla nie miała zamiaru tracić żadnej okazji, żeby go upokorzyć. – Wiem, że niektórzy senatorowie tęsknią za dawną republiką, ale nastały nowe czasy, gdzie

współistnieją ze sobą dwie władze z wyraźnym podziałem obowiązków. I to ostatecznie Oktawian podpisał waszą nominację.

– Oczywiście! Władze współistnieją ze sobą, dopóki Oktawian ma w każdej kwestii ostatnie słowo! – wtrącił się Tulliusz Domicjusz.

W odpowiedzi Liwia Druzylla się skrzywiła. Cesarz wyraźnie nakazał jej, by dobrze potraktowała senatorów. Miał zamiar przyjąć ich dzień po zakończeniu ekzekwii Manniego, które ze względu na złe samopoczucie chorego cesarza były zbyt długo opóźniane. A cesarz chciał godnie pożegnać przyjaciela.

Nagle Liwia Druzylla zdała się całkowicie stracić zainteresowanie rozmówcami i nie przypadkiem stało się to w momencie, kiedy do sali audiencyjnej wszedł Lucjusz.

– W każdym razie cesarz poinformował mnie, że ma zamiar wysłuchać was w najbliższym czasie. Teraz priorytetem są egzekwie Manniego, na których, mam nadzieję, was nie zabraknie.

– Oczywiście. Jest dla nas zaszczytem móc oddać mu cześć, zanim wyruszy w ostatnią podróż – zapewnił Septimiusz w imieniu ich wszystkich.

Żona Oktawiana uznała audiencję za zakończoną i trzech mężczyźni opuścili pałac z mieszanymi uczuciami. Senatorowie przyjęli z nadzieją wiadomość o tym, że cesarz ich przyjmie, nawet jeśli musieli poczekać jeszcze kilka dni.

Wergiliusz natomiast zaabsorbowany był kłębiącymi się w jego głowie pomysłami, jak odzyskać utracone stanowisko i pozbyć się osób, które mogą go pograżyć. Obecnie jedynym jego wrogiem pozostawał Lukanos, chociaż nie miałby niczego przeciwko temu, aby również obaj senatorowie zniknęli przypadkiem pewnej nocy z Tarraco. Według byłego duumwira, skoro nadal nie znaleziono winnego ostatnich wydarzeń, nie byłoby trudno obarczyć edyla winą za śmierć ofiar.

Wergiliusz poprowadził senatorów do swojego domu. Wiedział, co teraz myślą: człowiek pozbawiony władzy bez żadnej konkretnej przyczyny nie był im już potrzebny do osiągnięcia ich celów. Chociaż wiedział, że przyda im się jeszcze choćby dla wygody. Byli jego gośćmi i trudno byłoby im znaleźć tej nocy inne lokum. Wiedząc o tym, szli za nim i próbowali uśmiechem i słowami pocieszyć go po tak nieoczekiwanej degradacji. Kiedy następnego dnia będą mieli wreszcie okazję porozmawiać z Oktawianem, wszystko wróci do normy. Jednak były duumwir ledwie ich słuchał. Odprawił tancerki, które na nich czekały, i oświadczył, że jest zmęczony, dlatego resztę dnia spędzi w swojej komnacie. Senatorowie wysłuchali go bez słowa sprzeciwu, nie mając zamiaru ściągać na siebie kolejnych kłopotów, zanim ich sytuacja nie stanie się jasna. Działania Oktawiana, nadal broniącego republiki z równie wielką pasją co hipokryzją, zagrażały celom senatu, czyli senatorów opierających się na władzy ludu – najbogatszego ludu – który faktycznie jako jedyny miał prawo zasiadania

w instytucjach państwowych.

Po co w takim razie cesarz deklarował powrót do rodzinnych wartości czy odnowę Rzymu, jeśli zgromadzi całą władzę w ręku? Ponieważ wszystko wskazywało, że tak się stanie. Mówiło się, że mianuje się dyktatorem i dożywotnim konsulem. Senat stanie się wtedy marionetką w jego rękach, a tacy ludzie jak Tulliusz czy Septimiusz Maksymiusz nic nie wskórają przeciwko Oktawianowi wspieranemu przez legiony.

Znalazłszy się sam w komnacie, Wergiliusz stracił wszelką chęć walki o przywileje dla prowincji Tarraconensis, którą jeszcze niedawno władał w marzeniach według własnego widzimisie. Teraz musi skupić się na ratowaniu skóry, a potem zastanowi się, jak odzyskać wpływy. Tymczasem los zesłał mu rozwiązanie problemów szybciej niż się tego spodziewał. Słyszając pukanie do drzwi komnaty, wstał i przyświecając sobie lampką oliwną, poszedł sprawdzić, o co chodzi.

– Panie! – zawołał żołnierz o drobnej posturze, o którego okrucieństwie na polu walki krążyły jednak legendy.

– Co się stało? Wydałem wyraźny rozkaz, żeby mi nie przeszkadzano!

– Tak, panie, ale młody Lukanos, syn gubernatora, nalega, by z wami porozmawiać.

– Powiedz mu, że przyjmę go w *triclinium*, zaraz tam przyjdę. I... żołnierzu.

– Wergiliusz nie był w stanie spamiętać imion nawet najbliższych sobie osób. – Czy przyszedł sam?

– Wydaje mi się, że tak, panie. Do domu wszedł sam. Czy mam się co do tego upewnić?

– Nie trzeba. Zaraz przyjdę.

Wergiliusz otworzył skrzynię, gdzie przechowywał najcenniejszą broń. Dzięki temu podczas podróży miał ją zawsze na oku. Wybrał cienki i niezmiernie ostry sztylet, który wykuto na jego zamówienie na Sycylii, po czym wyszedł z sypialni, by spotkać się ze współnikiem.

*Wąwóz Farreres, lato 26 r. p.n.e.*

Lukanos poszedł sam na spotkanie z Atim. Z oczywistych powodów: zamiast szukać towarzystwa, wołał go unikać. Żołnierze zjawili się w domu gubernatora, żeby go aresztować, wkrótce po tym, jak Serwiusz przedstawił swoją wersję wydarzeń w pałacu. Na szczęście był wtedy w ogrodzie, zastanawiając się, jak komuś udało się zabić tak doświadczonego i niebezpiecznego człowieka, jakim był Alteriusz. Słyszając, po co przyszli żołnierze, przeskoczył ogrodzenie w tym samym miejscu, w którym robił to Sulla, żeby spotkać się z Adrianą, a następnie puścił się biegiem w stronę bramy Roser. Chciał tamtędy uciec z miasta, lecz okazało się, że na ulicach było więcej patroli niż zazwyczaj, więc schował się za kamiennymi blokami, które Oktawian kazał przywieźć z kamieniołomu w Mèdol, żeby nadbudować mury w obawie przed atakami. Niedaleko tego miejsca znajdował się dom, w którym mieszkał Wergiliusz, i Lukanos pomyślał, że chwilowo była to jego jedyna droga ucieczki. Brakowało mu Alteriusza i jego zdecydowania w najtrudniejszych chwilach, kiedy wydawało się, że nikt nie znalazł odpowiedniego rozwiązania, nawet Manni. Jednak przecież sam posłał go na śmierć.

Wergiliusz zjawił się niemal natychmiast. Miał na sobie płaszcz legionisty. Drugi podał Lukanosowi.

– Załóż go! Słyszałem, że jesteś w niebezpieczeństwie. Wywiozę cię z miasta i pokażę coś, o czym być może nie wiesz.

– Ty mi pomożesz w ucieczce? Jeszcze do niedawna posądzalem cię o odmienne intencje!

– W takim razie, po co przyszedłeś do mojego domu?

Edyl nie odpowiedział. Jeśli nie zaufa duumwirowi, będzie musiał stawić czoła żołnierzom Oktawiana. Włożył płaszcz i pozostałe części ubioru, jakie podał mu legionista o podobnym co on wzroście. Kiedy się ubrał, przypominał jednego z sześciu czekających na ulicy ludzi Wergiliusza, między których się wmieszał.

Wyjazd z Tarraco okazał się o wiele prostszy, niż przypuszczał. Strażnicy pilnujący bramy Roser przepuścili ich bez problemu. Wergiliusz jechał na czele, wyglądając majestatycznie w białym płaszczu i hełmie ozdobionym bażancimi piórami.

Jeźdźcy ruszyli szalonym galopem w stronę wzgórz otaczających miasto, a gdy dotarli do celu podróży na spoconych, chociaż gotowych do dalszej drogi wierzchowcach, Wergiliusz zwrócił się do jadącego wśród żołnierzy Lukanosa:

– Nie musisz się już chować. Na terenach poza miastem nawet zbiegowie mogą czuć się bezpiecznie.

– Przecież tutaj też możemy spotkać cesarskich legionistów – odpowiedział Lukanos.

– Nikt nas nie będzie ścigał. Moi ludzie odstawią cię całego i zdrowego na przedmieścia Llerdy, gdzie przyjmą cię do swego domu moi zaufani przyjaciele. Zaczekasz tam na mój powrót. Jednak wcześniej, jak już wspomniałem, chciałbym pokazać ci postępy poczynione przez Rzymian.

– Tylko ty i ja? – zapytał Lukanos nieufnie, choć z lekką rezygnacją w głosie.

– Tak, tylko my. Musimy ufać sobie i wierzyć w nasze porozumienie, a to, co chcę ci pokazać, z pewnością cię ucieszy.

– Ruszajmy więc!

Lukanos podążył za Wergiliuszem szlakiem wijącym się wśród sosnowych lasów i rozsianych rzadko wiosek. Mimo że była to bita droga, można było na niej rozpoznać ślady kół wozów przewożących jakieś ciężary. Kiedy dotarli na najwyższe wzgórze, mogli w oddali dostrzec jedynie mury Tarraco oraz wieże Minerwy i Cabiscoł. Dogasające promienie zachodzącego słońca rozjaśniały zazwyczaj ciemny granat morza, malując jednocześnie miejskie miasta i wieże złotym odcieniem. Lukanos patrzył na ten wspaniały widok miasta, które nadal strzegło jego sekretów.

Przejechali jeszcze krótki odcinek i zatrzymali się przed wąwozem Farreres. Akwedukt zaprojektowany przez architektów Oktawiana znajdował się na pierwszym etapie budowy. Oczywiście duża ilość porzrzucanych pojedynczych bloków skalnych i wszelkiego rodzaju materiałów powodowała, że widok nie robił ogromnego wrażenia, ale wysokość wybudowanych do tej pory arkad dobitnie świadczyła, że budowla będzie jedną z najwspanialszych konstrukcji, dzięki którym Tarraco miało stać się drugim po Rzymie najwspanialszym miastem imperium rzymskiego.

– Dlaczego nikogo tu nie ma? – zapytał Lukanos, zaskoczony panującą wokół ciszą.

– Z powodu ostatnich wydarzeń nie znasz najświeższych wieści, przyjacielu. Jutro odbędą się egzekwie twojego drogiego ojca, ale domyślam się, że wolisz w nich nie uczestniczyć.

– Mogę być uznany za zdrajcę Rzymu – Lukanos odpowiedział z wahaniem – ale to był mój ojciec... Dziwi mnie to, że nie ma tutaj nawet strażników. Ktoś przecież mógłby ukraść materiały budowlane.



– Ach, mówisz jak edyl... Strażnicy pewnie drzemą gdzieś w pobliżu, jak to bywa w dni wolne od pracy. Oktawian ogłosił, że pogrzeb gubernatora potrwa trzy dni – odpowiedział Wergiliusz, gratulując sobie w myślach świetnej roboty, jaką zrobili jego ludzie, pozbywając się wcześniej pilnujących budowy ludzi.

– Po co tu przyjechaliśmy? Dlaczego tak bardzo chciałeś pokazać mi ten akwedukt?

– To proste, przyjacielu. Symbolizuje on przyszłą potęgę Tarraco. Gdy poprowadzi do miasta dużą ilość wody, zostaną tam wzniesione nowe budowle, a bogaci Rzymianie zaczną osiedlać się na terenach wolnych od wojen i dobrze zarządzanych. Poza tym handel oliwą przyciągnie w te strony różnych ludzi i dzięki nam stanie się jedną z podstaw gospodarki imperium. Te kamienie są ku temu pierwszym krokiem.

– Zgadzam się z tobą, Wergiliuszu, chociaż wątpię, czy w tej chwili mógłbym ci się do czegoś przydać. Sprawy bardzo się skomplikowały i będę musiał ukrywać się przez jakiś czas – powiedział syn Manniego, dodając z cieniem nieufności w głosie: – Jednak jestem przekonany, że będziesz umiał zadbać o nasze interesy...

– Zatoszczę się o wszystko, drogi Lukanosie – odrzekł Wergiliusz, wbijając cienki sztylet w bok syna gubernatora i przeszywając jego serce.

Lukanos odwrócił się i spojrzał na współnika, ale atak Wergiliusza był tak szybki i celny, że nie zdążył nawet zauważyć, iż nie należy już do świata żywych. Byłemu duumwirowi wydało się, że dostrzegł na jego twarzy drwiący uśmiech, ale to nie miało już dla niego znaczenia. Podniósł następnie ciało współnika i wrzucił je do dołu bez zbędnych ceremoniałów. Pamiętając jednak o tradycji, włożył Lukanosowi do ust monetę, którą nieboszczyk będzie mógł zapłacić za podróż swojej duszy przez Styks. Zastanawiał się, czy syn Manniego dostanie się przed oblicze bogów, ponieważ intuicja podpowiadała mu, że po tym, co zamierzał zrobić, on sam nigdy tego nie dostąpi.

Na miejscu szybko pojawili się jego żołnierze i pomogli mu zasypać dół ziemią w miejscu, gdzie za jakiś czas wzniesiono jeden ze słupów akweduktu.

*Tarraco, lato 26 r. p.n.e.*

Apollodoros stanął na przystani w cieniu statku, którym dowodził Kaenos Likinos. Chciał jeszcze raz z nim porozmawiać, nie mogąc uwierzyć, że żeglarz nie miał żadnej wiadomości o synu. Tym razem jednak stary nauczyciel poprosił Trepsa, by mu towarzyszył. Ich plan ponownego przeszukania miasta i spotkania się w porcie nie dał żadnych rezultatów. Po Sulli i Adrianie nie było nigdzie śladu.

Rankiem dotarły do niego niezwykle niepokojące wieści. Liwia Druzylla stwierdziła, że Lukanos postradał zmysły, ale nikt nie mógł pojąć, co go skłoniło do dokonania zabójstwa. Pretorianie, którzy dzień wcześniej dostali od niej rozkaz zatrzymania młodego edyla, wrócili z niczym. Lukanos wyparował niczym kamfora, a wraz z nim nadzieje na szybkie rozwiązanie sprawy.

Apollodoros zastanawiał się, co mogło być źródłem kryzysu, jaki najwyraźniej ogarnął Tarraco. To prawda, że Sulla i Adriana uciekli, a udowodniony przez pomocnika Atiego związek Lukanosa – który również zniknął – z trzema martwymi mężczyznami z portowego magazynu świadczył niezbicie, że syn Manniego miał do ukrycia jakąś tajemnicę. Jednak stary nauczyciel nadal nie chciał dopuścić do siebie myśli, że jego uczeń miał coś wspólnego z zabójstwem ojca. Nic na to nie wskazywało oprócz epizodu, którego świadkiem była Liwia Druzylla, ale stary nauczyciel nie przywiązał do niego dużej wagi, jakby nie chciał dokładać sobie kolejnego zmartwienia do i tak już trudnej sytuacji. Żona Oktawiana przypadkiem odkryła, że Lukanos spotkał się z Wergiliuszem, duumwirem Llerdy, uważanym za karierowicza. W ich towarzystwie widziała również dwóch rzymskich senatorów. Kiedy indziej zaprosiłaby ich wszystkich do pałacu i wydała ucztę, ale Apollodoros przebywał już zbyt długo wśród rzymskiej arystokracji, aby nie zauważyć, że tym razem sprawy przybrały dziwny obrót.

Widząc zbliżającego się Trepsa i po mało entuzjastycznym powitaniu domyślił się, że nie ma sensu pytać go o postępy w poszukiwaniach Sulliego i Adriany. Zadał mu więc inne dręczące go pytanie:

– Co łączy dwóch rzymskich senatorów, Wergiliusza i młodego Lukanosa? Nie za bardzo rozumiem tę znajomość. O duumwirze słyszałem, że idzie po trupach do celu, ale Lukanos? Co może mieć z nimi wspólnego?

– Też się nad tym zastanawiam. Z tego co słyszałem, senatorowie przybyli tu, żeby zaproponować cesarzowi powiększenie obszarów gajów oliwnych. Rzym potrzebuje więcej oliwy i uważają, że tereny otaczające Tarraco doskonale nadają się do uprawy oliwek.

– To oznacza, że Wergiliusz wyczuł w tym korzystny dla siebie interes. To do niego podobne.

– Tylko w jaki sposób Lukanos może przydać się w osiągnięciu celów senatu?

– Oczywiście, że może, tym bardziej że wykazywał duże zainteresowanie dziełami dotyczącymi agrokultury. Nie dziwi mnie to, biorąc pod uwagę, że Manni nie chciał słyszeć o rozszerzeniu upraw.

– To nas prowadzi do przerażającej konkluzji, ale wiem, że zastanawiacie się nad nią już od dłuższego czasu. Czy naprawdę wierzycie, że Lukanos mógł zamordować własnego ojca?

– Ty to powiedziałaś. Jednak wszystko na to wskazuje. Lukanos, lub ktoś działający na jego zlecenie, pozbył się niewygodnego gubernatora, który nie zaspokajał żądań Rzymu.

– To bardzo odważna hipoteza. Nie sądzę, żeby nawet sama Liwia Druzylla odważyła się ją postawić. Lukanos jest rzymskim obywatelem i być może śmierć trzech opryszków uszłaby mu płazem, ale zabójstwo Manniego... Poza tym jeszcze do niedawna był waszym uczniem!

– To mnie teraz nie martwi, chociaż wiem, że w przyszłości będę się musiał głęboko nad tym faktem zastanowić. Tymczasem niepokoi mnie coś innego. Jeśli Lukanos przyczynił się do śmierci ojca, Wergiliusz i senatorowie mogą być również w nią zamieszani.

– To oznacza spisek przeciwko cesarzowi, ponieważ to on mianował Manniego gubernatorem.

Zamilkli, tymczasem nieopodał robotnicy czyścili i naprawiali statek Kaenosa Likinosa, przygotowując go do kolejnej podróży. Podczas ostatniego rejsu w wyjątkowo trudnych warunkach pogodowych w kadłubie powstało kilka przecieków i w obawie, że pęknięcia mogą się powiększyć, zatykano je pakułami i smołą. Ojciec Sulli właśnie schodził mostkiem łączącym pokład z przystanią i wydawał rozkazy robotnikom.

Apollodoros i Trepso podeszli do niego.

– Wiem, po co przyszliście – rzekł Kaenos na ich widok – ale nie mam żadnych wieści o synu.

– Nie mamy zamiaru was nękać, drogi przyjacielu – odpowiedział Apollodoros. – Chciałbym tylko dowiedzieć się, czy przemyśleliście moją propozycję.

Żeglarz doskonale zrozumiał, co nauczyciel miał na myśli. Chciał, aby

pomógł Sulli w ucieczce, jeśli nie uda się udowodnić jego niewinności. Oczywiście, że robi to dla syna, nie rozumiał jednak zainteresowania nauczyciela i towarzyszącego mu cesarskiego zausznika losem miejscowego chłopaka, który nie był rzymskim obywatelem. Swoją drogą Kaenos, który ryzykował życiem w czasie setek podróży i służąc wiernie Rzymianom, od lat bezskutecznie oczekiwał nagrody w postaci przyznania mu obywatelstwa. Jeśli udzieli synowi pomocy, prawdopodobnie na zawsze straci na to szansę.

– W czasie najbliższej pełni wypływam do Ostii. Nie byłoby trudno ukryć Sullę na jednym z okrętów – odezwał się, zauważając wyczekujące spojrzenie Apollodorosa.

– A jeśli podróżnych będzie dwoje?

Pytanie Trepsa zawisło w wyjątkowo gorącym powietrzu tego dnia. Kaenos nie miał najlepszego zdania o dziewczynie, która łamie zasady współplemieńców, żeby związać się z synem żeglarza. Jednak skinął głową na znak, a wtedy Apollodoros położył mu rękę na ramieniu, wyrażając tym gestem milczącą, lecz szczerą wdzięczność.

Problem w tym, że nikt nie wiedział, gdzie ukryli się młodzi uciekinierzy.

Chociaż następnego dnia miały odbyć się egzekwie gubernatora Manniego, cesarz znalazł czas, żeby przyjąć senatorów. Tymczasem żaden z nich się nie pojawił, a tym bardziej Wergiliusz, którego Liwia Druzylla kazała szpiegować, aby upewnić się w podejrzeniach. Cesarscy żołnierze nie znaleźli Tulliusza Domicjusza ani Septimiusza Maksymusa w domu duumwira, który według informacji docierających do pałacu zachowywał się, jakby nadal sprawował urząd, jakiego został pozbawiony. W swojej skrajnej bezczelności zadeklarował pomoc w poszukiwaniach senatorów, chociaż ostatecznie był w stanie jedynie powiedzieć, że wyszli z domu wcześniej rano z zamiarem przespacerowania się po mieście przed audiencją u cesarza.

Na wieść o dwóch kolejnych zaginionych Oktawian poczuł się gorzej i Liwia znowu musiała sama zmierzyć się z sytuacją. Trudno będzie wyjaśnić senatowi, że w mieście, gdzie zamieszkiwał cesarz, dwóch znanych senatorów zaginęło bez wieści. Jednak takie były fakty, ale brakowało jakichkolwiek wskazówek, które pomogłyby żonie cesarza zdecydować, jak ma dalej działać. Jej szpiedzy donieśli, że Wergiliusz i kilku jego ludzi przez cały poprzedni dzień przebywali poza Tarraco, ale wieczorem wrócili. Mogła wydać rozkaz pojmania byłego duumwira, nie mogła jednak mu zarzucić niczego poza tym, że jego projekty handlowe miały jedynie na celu dobrobyt Rzymu. Poza tym cieszył się dużym szacunkiem wśród żołnierzy.

Liwia opadła na sofę w *triclinium*, gryząc rąbek swojej stoli, nie przejmując się tym, że najważniejszej kobiecie w imperium nie wypadało tego robić. Z zamyślenia wyrwało ją pojawienie się Trepsa, który zawsze przynosił informacje zmieniające bieg najtrudniejszych sytuacji.

– Czy wiesz coś o Adrianie?

– Nie, nadal nie ma śladu po niej ani Sulli. Właśnie dowiedziałem się, że zniknęli również dwaj rzymscy senatorowie. Podobno Wergiliusz powiedział żołnierzom, że to sprawa Sulli i gdyby Rzym pilnował swoich więźniów, nie byłoby tylu śmiertelnych ofiar.

– To bardzo w jego stylu. Domyślam się, że nie może pogodzić się z degradacją...

– Jeśli mogę wyrazić moje zdanie, to myślę, że dążący do władzy człowiek, który nagle staje się zwykłym centurionem, może stać się jedynie bezlitosnym wrogiem – odrzekł niewolnik, doskonale orientujący się w stosunkach panujących w najwyższych warstwach rzymskiego społeczeństwa.

– Twoim zdaniem za spiskiem stoi Wergiliusz, prawda?

– Uważam jedynie, że morderstwa i zaginięcia mają ze sobą jakiś związek, Liwio. Tego samego zdania jest też Apollodoros. W obu wypadkach wskazówki prowadzą do Wergiliusza albo Lukanosa. Najprawdopodobniej to syn Manniego zabił z zimną krwią i okrucieństwem tych mężczyzn w portowym magazynie, a śmierć gubernatora i zniknięcie senatorów było bardzo na rękę Wergiliuszowi.

– Twoje argumenty wydają mi się rozsądne, ale prowadzą do przerażającego wniosku. Ilu ludzi musi jeszcze zginąć? I w jakim celu?

– Rzym stał się ogromnym miastem i aby przetrwać, potrzebuje wysiłku całego imperium. Istnieją ludzie pozbawieni skrupułów, którzy chcą to wykorzystać, i nie powstrzyma ich śmierć jednego czy dwóch ludzi. Wybaczcie moją szczerość, ale tak właśnie myślę.

– Jestem ci za nią wdzięczna, ale to oznacza, że możemy pokonać wroga jedynie przy użyciu drastycznych środków. Jutro podczas egzekwii Manniego będzie najlepszy moment, żeby zacząć działać. Wszyscy będą obecni, nawet Wergiliusz.

– Oczekuję waszych rozkazów, pani – odpowiedział Trepto, ale żona Oktawiana uznała, że później zastanowią się nad kolejnymi krokami.

Tymczasem w innej części miasta Apollodoros szedł do swojego domu. Stracił nadzieję, że czegokolwiek się dowie, i stwierdził, że być może w ogóle nie powinien się wtrącać do tej sprawy. Był nauczycielem, człowiekiem zajmującym się literaturą, a nie skomplikowanymi konfliktami rządzących. Zgrzeszył próżnością, myśląc, że jego śledztwo pomoże młodym uciekinierom. Teraz stał przed *insula*, w którym mieszkał chłopak z gór Ausy, Perthus. Starego nauczyciela zdziwiło, że Antoniusz Musa nie wziął go do siebie po tym, jak Liwia Druzylla nie zgodziła się ulokować go w pałacu. Jednak nieufność utrzymująca się pomiędzy Rzymianami i rdzennymi mieszkańcami Półwyspu Iberyjskiego nadal dzieliła oba społeczeństwa. Chodziły słuchy, że cesarz poczuł się lepiej dzięki naturalnym środkom sporządzanym właśnie przez Perthusa, ale Apollodoros nie lubił słuchać plotek, wiedząc, że mieszkańcy miasta zawsze woleli przypisywać sukcesy zwykłym ludziom niż mędrcom.

Zatrzymał się przed bramą wejściową do *insula*, w której bawiło się kilkoro wychudłych dzieci, co w tej dzielnicy nie było rzadkim widokiem. Apollodoros przypuszczał, że podczas gdy on szukał Sulli i Adriany po całym mieście, Perthus pewnie wiele razy przychodził na lekcje do jego domu i w końcu doszedł do wniosku, że nauczyciel o nim zapomniał. Czuł się trochę winny, dlatego teraz pod

pretekstem podziękowania Perthusowi za przysługę, jaką wyświadczył mu poprzedniego wieczoru, przekazując wiadomość Adrianie, Apollodoros zaczął wspinać się po schodach na trzecie piętro stanowiące nadbudówkę. Dotarł tam tak zmęczony, że musiał przysiąść na ostatnim stopniu.

W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi, ale kiedy serce zaczęło bić mu w normalnym tempie, usłyszał dochodzące z mieszkania szepty. Dwoje ludzi rozmawiało po cichu, lecz po chwili nauczyciel usłyszał wyraźnie wzburzony kobiecy głos.

– Jestem tu z tobą bardzo szczęśliwa, Sullo, ale nie możemy spędzić reszty życia w ukryciu. Wreszcie ktoś nas znajdzie, a co najgorsze, zaszkodzimy tym Perthusowi, który okazał nam tyle dobroci...

To mówiła Adriana! Apollodoros nie miał co do tego żadnych wątpliwości! A drugą osobą z pewnością był Sulla! Stary nauczyciel, zapominając o trudzie, z jakim dotarł na górę, zerwał się na równe nogi z energią, której nie czuł od dawna. Mieszkanie nie miało drzwi, a poszczególne pomieszczenia oddzielone były od siebie zasłonami. Pewnym ruchem odsunął jedną z nich i ujrzał dwoje młodych ludzi leżących na macie.

– Apollodoros! – wykrzyknął przerażony Sulla.

– Cicho, chłopcze, chyba nie chcesz, żeby ktoś nas usłyszał. Najpierw musisz mi powiedzieć, jakie macie plany.

Adriana rzuciła się nauczycielowi na szyję i długo stała do niego przytulona. Tymczasem Sulla opowiadał mu, że przez cały czas ukrywali się w tym miejscu, tak niedaleko jego domu, ale nie mieli odwagi ponownie go niepokoić i sprowadzać na niego kłopoty, gdyby złapały ich krążące po ulicach patrole.

– Martwiłem się o was. Czy to Perthus znalazł wam tę kryjówkę?

– Tak – odpowiedziała Adriana, wypuszczając go z objęć – i co chwilę wymyśla jakiś powód, żeby zostawić nas samych. Teraz wyszedł po jajka i nie ma go od godziny.

– O niego się nie martw – stwierdził Apollodoros. – Ten chłopak da sobie radę.

Liwia Druzylla zawsze była rozdrażniona, kiedy musiała uczestniczyć w czuwaniu nad jakimś zmarłym. Nie znosiła szlochów *praeficae*, zatrudnianych na tę okazję płaczków, które zmieniały uroczystość oddawania szacunku zmarłemu w komedię. Główną atrakcją były ich zawodzenia i rywalizacja w robieniu większego zgiełku. Z tego powodu żona cesarza w swoim testamencie wyraźnie podkreśliła, że po śmierci nie życzyła sobie takiego przedstawienia. Przez kilka dni od zabójstwa Manniego miasto wrzało od domysłów i komentarzy, nic więc dziwnego, że egzekwie gubernatora stały się publicznym wydarzeniem, po którym spodziewano się największego przepychu godnego urzędu sprawowanego przez zmarłego i czyniącego zadość tradycji. Wszelkie ograniczenia byłyby poważnym błędem.

Poprzedniej nocy Oktawian August czuł się wyjątkowo źle i mimo milczącej wściekłości Liwii Druzylli, kategorycznie odmówił uczestnictwa w pogrzebie. Ze względu na zwłokę w pochówku trzeba było zabalsamować ciało gubernatora, co wywołało protesty. Balsamowanie zwłok uważane było przez Rzymian za barbarzyńską praktykę, której większość ludu nie rozumiała. Jednakże nawet podjęcie tak niepopularnej decyzji nie przekonało cesarza do uczestniczenia w ceremonii. Zatem pod jego nieobecność to Liwia zmuszona była reprezentować najwyższą władzę w Tarraco. Rozmowa, którą przeprowadziła późną nocą z Trepso, doskonale podsumowywała sytuację.

– Uważasz, że Lukanos naprawdę zniknął?

– Nie jestem pewien, czy z własnej woli, to znaczy, czy uciekł przed oskarżeniem o zabójstwa, czy coś mu się stało. Tak czy inaczej, nie sądzę, żeby zjawił się na pogrzebie. Jednak nie tylko to was niepokoi, prawda?

– Masz rację, Trepso, ale, szczerze powiedziawszy, nie wiem nawet, co jest moim największym zmartwieniem. O zniknięciu senatorów niedługo będzie głośno w całym Rzymie i sprowadzi to na nas poważne kłopoty. Nie wiem też, co knuje Wergiliusz, ale jestem pewna, że będzie obecny na egzekwiach. Choć według ciebie jest współwinny wszystkiego, co się wydarzyło, nadal tak naprawdę nie wiemy, jak bardzo jest w to zamieszany...

– Pani...



– Nie, pozwól mi skończyć! Oktawian ma nawrót choroby, co wyłącza go na jakiś czas z rządu, a jego przyjaciel Agrypa nie kwapi się do pomocy. Pozostali zaufani ludzie są w Rzymie albo na północy półwyspu, być może niektórzy już nie żyją. Czuję, że zostałam sama, Trepsie.

Niewolnik nie odpowiedział Liwii od razu. Pogrążony w myślach zaczął krążyć po sali audiencyjnej.

– Pozwolę sobie zauważyć, że wasze nastawienie jest nieco przesadzone, pani. Macie pod waszymi rozkazami najlepsze wojsko na świecie, które również jutro stanie na wysokości zadania. Poza tym wiem, że Oktawian osobiście wydał rozkaz pretorianom, by w czasie pogrzebu mieli oczy i uszy szeroko otwarte.

– Tak, masz rację, ale żołnierze i pretorianie radzą sobie doskonale na polu walki albo podczas poważnego kryzysu. Tym razem jednak nie wiemy, z czym tak naprawdę mamy do czynienia. Morderstwa, zaginięcia, ale żadnej konkretnej wskazówki oprócz urazy Wergiliusza, który jednak był do tej pory szanowanym Rzymianinem, odnoszącym zwycięstwa w bitwach, za co Oktawian często go nagradzał.

– Mogę was jedynie zapewnić o mojej lojalności. Może mógłbym zorganizować kilku ludzi, żeby wzmocnić ochronę w najtrudniejszych momentach. Najbardziej niepokoi mnie wasza obecność na forum, na którym zbierze się całe miasto. Jednak w tym celu musiałbym dostać od was jednoznaczny rozkaz...

– Nie, Trepsie. Nie obarczę cię taką odpowiedzialnością! – zawołała Liwia Druzylla ku zaskoczeniu niewolnika. – Prawdopodobnie jesteś najodpowiedniejszą do tego osobą, ale mam dla ciebie inne zadanie, moim zdaniem znacznie ważniejsze.

– Zrobię, co rozkażecie...

– Chcę, żebyś wmieszał się w tłum i był moimi oczami i uszami. Tylko wtedy poczuje się bezpieczna.

Trepsie spojrzał uważnie na swoją panią. W jej oczach dostrzegł szczególny blask stanowczości i może czegoś jeszcze, czego niewolnik wolał się nie domyślać. Powierzyła mu idealne zadanie; będzie mógł postępować według własnego uznania, rozglądać się i nasłuchiwać. Skinął w milczeniu głową, doceniając w duchu ten godny podziwu gest z jej strony.

Kilka godzin później stanął przed domem gubernatora, mając konkretny plan. Zamierzał z najwyższą czujnością obserwować wszystkich aktorów mającego się odbyć przedstawienia i wiedział, że był idealną osobą do tego rodzaju misji. Czuwanie nad zmarłym odbywało się w atrium. Zwłoki gubernatora znajdowały się w idealnym stanie, jak gdyby od jego śmierci upłynęło zaledwie kilka godzin. Na miejscu obecne były już płaczki i niektóre lokalne osobistości. Podobno przez chwilę widziano również Oktawiana w towarzystwie Agrypy, ale cesarz szybko wrócił do pałacu.

Trepso pomyślał, że uroczystość nie miała większego sensu, jeśli nie uczestniczyła w niej Adriana, więc kiedy zmęczyło go zawodzenie płaczk, postanowił pójść do domu Apollodorosa uznając, że żadna z interesujących go osób nie zjawi się już na czuwaniu. Trepsa szczególnie intrygowały ruchy byłego duumwira Llerdy. Kazał szpiegom obserwować jego dom i wszystko wskazywało na to, że Wergiliusz nie opuszczał budynku, być może jeszcze śpiąc.

Śpiąc! Westchnął i zamknął oczy, na chwilę tracąc czujność, czego na szczęście nikt nie zauważył.

Zgodnie z ustaleniami Adriana i Sulla przenieśli się do *domusu* Apollodorosa, stanowiącego o wiele pewniejszą kryjówkę niż skromne poddasze w *insulae*, gdzie mieszkał Perthus. Ponad dwunastu zaufanych strażników Liwii Druzylli okrążyło dom z jasnym rozkazem, żeby nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo. Tylko Trepso i stary nauczyciel mogli przekraczać tę blokadę. Niewolnik uznał, że Liwia podjęła trafną decyzję. Mimo że żołnierze pilnujący domu Apollodorosa zwracali na siebie uwagę, jednak po młodych uciekinierach można było oczekiwać wszystkiego oprócz rozsądku. Trepso dał znak centurionowi i zapukał w umówiony sposób do starych drewnianych drzwi.

– Czy to ty, Trepso? – zapytał z wnętrza nauczyciel tonem zdradzającym zadowolenie.

– A kto inny zna hasło? Czy wszystko w porządku? – odpowiedział niewolnik, przechodząc do atrium, w którym zastał również Lucjusza.

– W porządku, ale cieszy nas, że przyszedłeś. Właśnie dyskutowaliśmy i przyda nam się poznać twoje zdanie.

Apollodoros wskazał mu sofę, która zdawała się czekać, żeby na niej usiadł. Adriana i Sulla, trzymając się za ręce, usiedli naprzeciwko. Niewolnik miał wrażenie, że zawsze gdy ich widział, przytulali się do siebie, co tylko upewniało go w przekonaniu, iż bardzo się kochali. Tymczasem Lucjusz kręcił się w pobliżu, co jakiś czas wchodząc na taras *domusu*, żeby rzucić okiem na zewnątrz.

– Byłem na czuwaniu w domu gubernatora, gdzie panowała bardzo spokojna atmosfera – odezwał się Trepso, czekając aż ktoś mu powie, o czym dyskutowali przed jego przyjściem.

– Adriana się martwi – rzekł smutno Sulla – że za kilka godzin wyruszy orszak pogrzebowy, a jej tam nie będzie.

– Chcesz powiedzieć, że Adriana chce zaryzykować i wyjść do setek ludzi? To chyba nie jest najlepszy pomysł!

– Ja będę ją ochraniał! – zawołał chłopak, powodując, że z ust Trepsa natychmiast zniknął uśmiech.

– Wiesz już, do czego cię potrzebowaliśmy? – Apollodoros podał mu kubek z miodem pitnym, za którym niewolnik nie przepadał, ale zaczynał się przyzwyczajać.

– Tłumaczyłem im, że to szaleństwo – wtrącił się Lucjusz, stając na środku atrium.

Trepso zastanowił się przez chwilę. Odkąd Lukanos zniknął, bez względu na przyczynę, Adriana mogła czuć się bezpiecznie. Bardziej martwił się o Sullę.

– To rzeczywiście szalony pomysł, ale sądzę, że wszyscy rozumiemy, co czuje w takiej sytuacji córka – stwierdził niewolnik autorytarnie. – Nie możemy jedynie pozwolić, żeby Sulla się ujawniał. Jeśli Adriana chce pożegnać ojca, dopilnujemy, żeby była bezpieczna.

Apollodoros się zamyślił. Logika podpowiadała mu, że Trepso miał rację, chociaż na samą myśl o tym, że dziewczyna miałaby wejść w tłumy zebrane na pogrzebie, obał go zimny pot, który otarł rąbkiem tuniki.

– Będę przy niej – powiedział Lucjusz.

– Ja również – stwierdził Apollodoros – nawet jeśli żaden ze mnie ochroniarz.

– Wspaniale – odezwała się Adriana – ale kto zostanie z Sullą?

Wszyscy obecni nagle zamilkli. W końcu Trepso powiedział, że sprowadzi ludzi, ci zaś będą pilnowali domu od środka, na wypadek gdyby komuś udało się przedrzeć przez blokadę żołnierzy pełniących straż na zewnątrz. Niewolnik miał na myśli pretorian, a w zasadzie jednego z nich, który wielokrotnie udowodnił swoją odwagę.

– Jednak będziecie mogli uczestniczyć tylko w modlitwie na forum – zwrócił się do Adriany.

– Nie chcę w niej tylko uczestniczyć, ale ją odmówić – odpowiedziała.

Żaden z mężczyzn nie odważył się zaprotestować.

Trepso wyszedł, żeby załatwić pewną sprawę dla Liwii Druzylli, a młodzi, rozmawiając dalej, udali się do sypialni dla gości, którą traktowali już jako własną. Apollodoros tymczasem nawet się nie spostrzegł, kiedy przysnął w *triclinium*.

Słońce świeciło już wysoko na niebie, gdy obudziło go walenie w drzwi. Po otwarciu ich ujrzał kilku pretorian, którzy, stosując się do wskazówek Lucjusza, rozeszli się po domu. Stary nauczyciel rozpoznał w ich dowódcy jednego z osobistych strażników cesarza i z podziwem pomyślał o wpływach, jakie Terpso miał w pałacu.

– Jestem Marek Awidiusz – przedstawił się ten sam trybun, który stanął na drodze senatorom chcącym dostać się do łaźni.

– Poznaję was, witajcie – odpowiedział Apollodoros. – Sądziłem, że w takim dniu jak ten będziecie czuwać nad bezpieczeństwem Liwii Druzylli.

– Cesarzowa zmobilizowała cały legion do pilnowania porządku na ulicach Tarraco. Otrzymałem bezpośrednio od niej rozkaz, by towarzyszyć córce gubernatora na forum. Powiedziano mi również, że kilku moich ludzi powinno zostać w tym domu, żeby czuwać nad bezpieczeństwem waszego ucznia, Sulli Likinosa.

– Wszystko się zgadza, trybunie, ale sam nie wiem...

– Nakazano mi również dyskrecję – dodał Marek Awidiusz, zanim Apollodoros zdążył podzielić się z nim wątpliwościami. – Trepso wyjaśnił mi szczegółowo, jaki plan Liwia Druzylla ma w stosunku do tego młodzieńca.

– W takim razie nie mam nic do dodania. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę z wami na forum.

Marek Awidiusz nie odpowiedział. Zamiast tego zwrócił się do Adriany, prosząc ją, żeby w żadnym wypadku nie wychodziła poza krąg, jaki utworzą wokół niej pretorianie, by mogła zmówić modlitwę za ojca. Dziewczyna skinęła głową na znak zgody z powagą na twarzy. Chwilę później cała komitywa w szyku bojowym, jakby w gotowości na atak barbarzyńskich wojsk, ruszyła przez miasto.

Apollodoros, mimo że spodziewał się czegoś podobnego, był wielce zaskoczony atmosferą panującą w mieście. Mieszkańcy Tarraco tłumnie wyszli na ulice i kierowali się w to samo miejsce co oni. Pretorianie z trudnością torowali

sobie drogę w tym ludzkim potoku.

Stary nauczyciel przyznał w duchu rację Trepsowi: może i żołnierze przygotowani byli do frontalnego ataku, ale w tak wielkim tłumie próbującym dostać się na forum, a następnie do świątyni, zabójca miał idealne pole do działania.

Pretorianie prowadzili ich wśród krzyków i skarg mijanych gapiów, aż wreszcie zatrzymali się przed ołtarzem, na który Adriana weszła w towarzystwie Liwii. Dziewczyna wydała z siebie jęk na widok ciała Manniego leżącego pośrodku świątyni na kamiennym podwyższeniu. Apollodoros, wiedząc, że jego uczennica jest bezpieczna, zaczął rozglądać się wokół siebie, z łatwością rozpoznając wśród zgromadzonych twarze najważniejszych miejscowych osobistości, jak również przyjezdnych, takich jak edyla Barcino, prefekta Empúries... Na egzekwie zjechała się większość Rzymian sprawujących kontrolę nad terytoriami przyległymi do Tarraco. W samej świątyni zebrał się taki tłum, że trudno byłoby kontrolować każdy ruch czy spojrzenie. W pobliżu drzwi dostrzegł Trepsa przyglądającego się osobom mającym przywilej wejścia do panteonu i tym znajdującym się już wewnątrz. Wpatrywał się szczególnie w miejsce, jakiego nie zdołały dokładnie oświetlić oliwne lampy. Apollodoros zauważył, że niewolnik próbował bezskutecznie przepchnąć się w tamtą stronę. Ponieważ miejsce to znajdowało się bliżej ołtarza, na którym stała Liwia Druzylla i Adriana w towarzystwie kilku generałów, nauczyciel wciąż nie mając pojęcia, co lub kto przykuł uwagę Trepsa, dotarł tam pierwszy. Nagle zrozumiał, że Trepsa obserwował ukrytą w cieniu postać, która przesuwiała się przy ścianie w głębi świątyni w stronę ołtarza. Natychmiast rozpoznał orli nos Wergiliusza i się przeraził. Wiedział, że niewolnik żony Oktawiana nie do końca wierzył w uwikłanie byłego duumwira w morderstwa, więc być może nie widział niczego dziwnego w fakcie, że Wergiliusz zbliżał się do ołtarza, chcąc zapewne złożyć kondolencje Adrianie. Przekonywał się w duchu, że w takim miejscu nikt nie odważyłby się na żaden desperacki ruch, chociaż mordercy często działali wbrew logice. Czy kilka lat wcześniej Brutus nie udowodnił tego w senacie?

Wergiliusz był coraz bliżej, podczas gdy Trepsa nadal próbował przedrzeć się przez blokujący go tłum. Świątynia pękała w szwach, a stojący przed wejściem żołnierze bezskutecznie usiłowali powstrzymać wciąż napływających żałobników.

Wreszcie nadeszła przez wszystkich oczekiwana chwila. Adriana wstała i osłaniana przez pretorian zeszła schodami, by podejść do katafalku, na którym spoczywał Manni. Ponieważ żołnierze z trudem robili jej wąskie i bezpieczne przejście wśród zebranych, wydawało się, że trwało to niezmiernie długo. Trepsowi wreszcie udało się zbliżyć, a Apollodoros podziwiał piękno bijące od jego uczennicy powoli schodzącej z ołtarza. Adriana dotknęła rękami katafalku i oparła się o niego. Przez świątynię przebiegł szmer wyrażający podziw i smutek, jak

gdyby ktoś nagle przerwał śpiew. Apollodoros patrzył, jak jego uczennica wyjęła spod tuniki niewielki pergamin, gdzie ubiegłej nocy spisała z Sullą swoją mowę. Bardzo chciał jej posłuchać, ale nagle poczuł, że ktoś chwycił go za ramię.

– Apollodorosie – odezwał się cicho Trepso, który wreszcie do niego dotarł.  
– Widziałeś Wergiliusza?

– Tak, ale straciłem go z oczu – stary nauczyciel poczuł wstyd z powodu swojej nieuwagi. Na widok Adriany zapomniał przez chwilę o powierzonym mu zadaniu. Trepso ruszył w kierunku ołtarza, korzystając z przejścia, które pozostawili za sobą pretorianie. W tej samej chwili Apollodoros ponownie ujrzał Wergiliusza idącego wraz z innymi osobistościami, które podeszły bliżej Adriany. Stary nauczyciel, widząc przez chwilę cień duumwira za Liwią Druzyllą, krzyknął, ale cisza towarzysząca schodzącej z ołtarza Adrianie w tym czasie zmieniła się w rosnący zgielk. Tymczasem Trepso wpadł niczym oszalały byk w krąg wysokich rzymskich urzędników i, pchnąwszy na bok Liwię Druzyllę, stanął oko w oko z Wergiliuszem. Apollodoros widział jedynie dwa splecione z sobą cienie, z których raz po raz jeden upadał na ziemię. Wokół zdrajcy zebrali się generałowie Oktawiana na czele z Agrypą, swoją posturą wyróżniającym się wśród pozostałych. Apollodoros ze swojego miejsca dojrzał, jak przyparty do ściany ołtarza Wergiliusz uniósł ręce i domyślił się, że jego miecz pozostał wbity w ciało Trepsa.

46.

## PERTHUS

*Tarraconensis, 44 r. n.e.*

Budowa teatru rozpoczęła się za panowania Oktawiana, na krótko przed moim przyjazdem do Tarraco. Dlatego uśmiecham się, kiedy ktoś sugeruje, że teatr jest stary.

W końcu, po krótkim pobycie w Baëtulo, zostaliśmy zaproszeni, by odbyć pozostałą część podróży na pokładzie jednego ze statków handlowych powracających z Rzymu. Musa, prawdopodobnie chcąc uniknąć trudnych szlaków na wybrzeżu, a może po śmierci Andromikusa nie chcąc wystawiać się na kolejne ryzyko, chętnie na to przystał. Dlatego dotarliśmy do Tarraco przez port, zamiast wjechać jedną z wielkich miejskich bram. Przepływając statkiem w pobliżu placu budowy, od razu zauważyłem, że konstrukcja nie przypominała otaczających ją domów z kamienia i zaprawy. Kolumny wzniesione przed wejściem sprawiały, że bardziej przypominała świątynię niż teatr, chociaż ja do tej pory nigdy żadnego nie widziałem. Tylko Akrisa wspominała mi, że Grecy mieli w zwyczaju opowiadać historię przed zgromadzonym tłumem i że Rzymianie po podbiciu Grecji przejęli jej kulturę.

Matka zawsze mnie zaskakiwała. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób dowiadywała się takich rzeczy, mieszkając samotnie wśród lasów. Będąc w Ausie, rzadko kiedy rozdzielaliśmy się ze strachu przed złodziejami i Rzymianami. Jednak kiedyś pomyślałem, że być może jej przyjaciółka Belinda, która spędziła wiele lat w Carthago Nova, opowiadała jej o tym, podczas gdy ja biegałem po lasach i górach.

Im jestem starszy, tym z większym dystansem słucham opinii o teatrze, chociaż chwilę później pogrążam się w swoich myślach. Problem w tym, że wspominając o wieku teatru ludzie nie mają tylko na myśli budowli, ale również spektakle, jakie najbardziej wpływowi mieszkańcy miasta chcieli przywieźć z Rzymu. Do Tarraco w końcu dotarł też cyrk mający śmierć i krew jako głównych bohaterów. W ten oto sposób dosadny i przesłodzony Plaut stał się dla nas wybitnym przedstawicielem kultury, którą tracimy. Mówię o tym, jakby mnie to obchodziło i myślę, że i stamtąd, gdzie wkrótce się znajdę, będę miał wpływ na przyszłość. Przecież tak nie będzie, a częściowo już nie jest. Już jakiś czas temu doszedłem do bolesnego wniosku: obchodzi nas tylko miejsce, w jakim żyjemy,

i otaczający nas w danej chwili ludzie. Jeśli wspominał teraz lasy Ausy, to tylko dlatego, żeby przypomnieć sobie tego Perthusa, który miał przed sobą całe życie, swoje marzenia i plany. W rzeczywistości o moich korzeniach zapomniałem zaraz po śmierci Akrisy.

Co ciekawe, wiadomość o odejściu na tamten świat mojej matki otrzymałem z Rzymu, gdzie Antoniusz Musa przeniósł się za Oktawianem, czyniąc mnie odpowiedzialnym za dostawy zamawianych przez siebie ziół. W liście napisał mi, że pewien jego znajomy kupiec słyszał w Barcino o śmierci znachorki, która rzekomo pomogła w wyleczeniu samego cesarza. A ponieważ Musa opowiedział mu wcześniej o nas, kupiec z łatwością domyślił się, kim była.

Jednak śmierć matki była tylko pierwszym krokiem w kierunku uczuciowego znieczulenia. Tak samo jak stopniowo zacząłem zapominać o Ausie po odejściu Akrisy, również śmierć wszystkich przyjaciół z tamtych czasów spowodowała, że traciłem coraz bardziej zainteresowanie otaczającym mnie światem.

Dopóki pozostali żyli, dzieliliśmy ze sobą kilka sekretów, być może zawstydzających dla tych, którzy są mniej doświadczeni w poszukiwaniu prawdy. Jednak prawda jest jak prąd wody w rzece: przy brzegu niewinnie obmywa ziemię, skały i korzenie, podczas gdy tak naprawdę zbiera małe fragmenty, które ciągnie za sobą, czyści i poleruje. Możemy się tylko tego domyślić, patrząc jak na różnych głębokościach zmienia się kolor wody. Prawda zmienia się w takim samym tempie, więc biada temu, kto sądzi, że jest niezmienna jak nieruchome odbicie w lustrze.

Wiele razy proponowano mi, żebym przeniósł się do Rzymu, a swoje obowiązki przekazał komuś młodszemu. Schorowany i pełen rozterek Oktawian pod koniec życia chciał mnie mieć u swego boku, ale zaakceptował moją decyzję, wiedząc, że kochałem Tarraco, jego światła, ulice i place i czułem się tu bezpiecznie. Myśl o podróży do Rzymu i rozpoczęciu wszystkiego od nowa była zbyt wielkim obciążeniem dla spokojnego i zadowolonego z życia człowieka, jakim się stałem.

Teraz obchodzi mnie już tylko to, by dotrzeć do teatru i jeszcze raz usłyszeć panujący w nim zgiełk. Wiem, że komedia Plauta dotyczy tematów, które przepełnią mnie nostalgią. Nigdy nie doświadczyłem wielkiej miłości. Fakt, w moim życiu nigdy nie brakowało kobiet, a nawet na jakiś czas stałem się częstym bywalcem burdeli i gdybym chciał, mógłbym znaleźć sobie kobietę odpowiedniego stanu albo po prostu kupić młodą niewolnicę, na przykład jedną z tych Bretonek, które tak bardzo mi się podobają. Jednak jest już na to wszystko za późno.

To paradoksalne, iż dożywając osiemdziesięciu ośmiu lat, nie mam przy sobie nikogo bliskiego. Może dlatego, że zbyt długo moje myśli krążyły wokół Adriany, chociaż od początku wiedziałem, że nie mam u niej szans.

– Trudno wam będzie oglądać przedstawienie z zamkniętymi oczami – odezwała się Nídia, prawdopodobnie sprawdzając, czy jeszcze żyję.



– Doszliśmy już do teatru?

– Na wszystkich bogów Olimpu! Już od godziny siedzimy w rzędzie niedaleko sceny, zgodnie z waszym upodobaniem.

Powiedziała to z oburzeniem. Z pewnością zauważyła, że coraz częściej odpływam myślami w przeszłość i że jestem już jedną nogą w grobie. Jednak nie przeszkadza mi to. Kiedy dam jej list, który skrywam pod tuniką, będzie potrafiła docenić mój gest.

Wiem, że znajdujemy się w teatrze. Słyszę głosy widzów, krzyki i kłótnie o najlepsze miejsca. Ale co mnie to obchodzi. Wiem, że Nidia ma jeszcze dość siły, żeby odeprzeć każdy atak. To ona pierwsza spostrzeża, że na scenę wyszli aktorzy i każe mi otworzyć oczy, bym nie przegapił początku. Wyteżam słuch – nieliczne, co mi zostało w dobrym stanie – by wśród zgłupiałej publiczności usłyszeć aktorów.

Chętnie podzieliłbym się z nią całą moją wiedzą na temat Plauta, ale boję się powtarzać. Być może zrobiłem to już kiedyś, przy okazji innego przedstawienia, i nie dowiedziałyby się niczego nowego. Nidia ma swoje ulubione pytanie:

– Co tam ostatnio słysząc u...?

Od pewnego czasu przestałem być z czymkolwiek na bieżąco. Wszystko, co wiem o Plaucie, przeczytałem w *De comoediis Plautinis* Warrona i dowiedziałem się z jego komedii. Początkowo podziwiałem jego talent do adaptacji sztuk Menandra czy Filemona i upór, z jakim pozbywał się parabazy charakterystycznej dla tragedii. Wydaje mi się jednak, że popularność jego twórczości nie wynikała jedynie z dobrych przekładów greckich autorów, ale również z bogatemu metrum, jakie moim zdaniem umożliwia łacina.

Przedstawienie się zaczyna. Słuchamy prologu jednej z najsławniejszych Plautowskich komedii miłosnych. Trochę mnie martwi, że każda jego sztuka ma szczęśliwe zakończenie, chociaż czasami trochę wymuszone, lecz jestem przekonany, że Nidii przypadną do gustu niekończące się dialogi *Amfirtiona*, dzięki którym historia bohaterów staje się coraz bardziej zawiła.

Nie pomyliłem się. Moja niewolnica wzrusza się, kiedy Jupiter zakochuje się w młodej Alkmenie, chociaż nie może zrozumieć, jak to możliwe, że bóg przybiera postać jej męża.

– Jupiter ma tę samą maskę co mąż Alkmeny! – woła ze zdziwieniem.

– Jupiter jest przecież bogiem i jest zdolny nie tylko do tego.

– A Alkmena nie zauważyła różnicy?

– Bóg z pewnością upodobił się do Amfirtiona w idealny sposób.

– Trudno mi w to uwierzyć...

Nie dokończyła zdania. Mąż bohaterki powraca z wojny, ale Nidia nadal ma na twarzy wyraz niedowierzania. Kiedy tłumaczę jej wszystkie okoliczności, wpatruje się we mnie wnikliwie. Jest tak bardzo zaabsorbowana sztuką, że nie zauważa, iż powoli znów przymykam oczy. Czuję nagle zmęczenie i zapadam

w drzemkę, jakby ktoś mi poradził, że to pozwoli mi odzyskać siły, nawet kosztem przegapienia zakończenia przedstawienia. Zamykam oczy i widzę Akrisę, która w chacie przygotowuje wywar z bukwicy. Sen jest tak realistyczny, że czuję nawet zapach gotujących się ziół. A kiedy matka mówi mi, że wywar jest już gotowy i mogę go wypić, gdy tylko przestygnie, odpowiadam:

– Dobrze, matko, ale tylko odrobinę. Dzisiaj mam mało czasu. Muszę oddać to mojej przyjaciółce, jedynej, która mi pozostała.

– Mówiliście coś? Znów się zdrzemnęliście? – pyta Nídia. – Czy przez całe przedstawienie mam was co chwilę szturchać? Co to za papier? Przecież to testament, który trzymacie pod siennikiem w waszej pracowni. Wiem, że zapisaliście mi cały majątek. Jednak zapewniam was, że nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie po waszej śmierci. Przeżyliśmy razem tyle lat, nauczyliście mnie tak wielu rzeczy, o których bez was nie miałabym pojęcia. Dlaczego nalegacie? Nie sądzicie, że to nie jest właściwy moment?

– To jedyny moment, Nídio. Postaraj się być szczęśliwa...

– Może to zabrzmie dziwnie, ale ja już jestem szczęśliwa, mogąc dzielić z wami takie chwile. Uważam was za przyjaciela, chociaż zdaję sobie sprawę, że jestem tylko niewolnicą, którą uratowaliście od haniebnego losu. Czuję... Perthusie? Perthusie? Perthusie!

Tak, słyszę ją. W moich uszach rozbrzmiewa jej krzyk, chociaż nie mam już sił odpowiedzieć. W końcu nastaje cisza. Teraz już rozumiem słowa matki i żałuję, że nie dostałem drugiej szansy, by móc powiedzieć Nídi, jak coś się we mnie poruszyło, kiedy zobaczyłem ją w brudnych łapach handlarza niewolnikami i że nie kupiłem jej tylko po to, by opiekowała się mną na starość. Dochodzę jednak do wniosku, że może ona o tym wiedziała, i ponownie czuję zapach bukwicy, napar rozgrzewa moje ciało, a może również duszę...

## Epilog

*Tarraco, 44 r. p.n.e.*

*Droga Nídio,*

*Jeśli wszystko wydarzyło się zgodnie z moimi przewidywaniami, a w tym wypadku raczej nie mogłem się pomylić, kiedy przeczytasz ten list, mnie już nie będzie. Pomimo to, jeśli bogowie będą mi przychylni, stanę się szczęśliwym człowiekiem. Być może po raz pierwszy uznam, że zrobiłem coś dobrze.*

*Wiem, że nie jest to dla ciebie ważne i nigdy mnie o to nie pytałaś, ale pozostawiam ci cały majątek. Nie jest to żadna nagroda za Twoją dobroć i zrozumienie, które okazałaś, zajmując się moim schorowanym ciałem; po prostu taki miałem kaprys – jeden z niewielu, na jakie mogłem sobie w życiu pozwolić.*

*Twoja opieka nade mną nie ma więc z tym nic wspólnego. Czynię to przede wszystkim z wdzięczności za twoje towarzystwo, możliwość dzielenia się z Tobą moimi myślami, zmartwieniami oraz – dlaczego nie – wymysłami starca, który nigdy nie uważał cię za swoją własność. Potrzebowałem niewolnicy, która miała się mną opiekować i pomagać mi łatwiej znieść trudy starości, a spotkałem przyjaciółkę, towarzyszkę, która stała się moją przewodniczką przez tych kilka niezapomnianych lat.*

*Możesz zrobić z domem co zechcesz, chociaż podejrzewam, że będziesz nadal udzielać podróżnym noclegów, co uważam za doskonały pomysł. Zostawiam ci również trochę pieniędzy, wiesz gdzie. Na cokolwiek je przeznaczysz, zgadzam się, jeśli w ogóle można wyrażać na coś zgodę, będąc w zaświatach. Chcę cię jedynie zapewnić, że pozostawiam ci w tej kwestii wolność decyzji.*

*Nie chciałbym jednak opuszczać cię, nie zdradzając ci kilku sekretów, które skrzętnie przez długi czas ukrywałem nawet przed samym sobą. Podczas naszego wieloletniego życia pod jednym dachem nieraz opowiadałem ci o wydarzeniach tamtego lata, kiedy całym Tarraco wstrząsnęły straszne morderstwa i zniknięcia, które tak naprawdę nigdy nie zostały wyjaśnione. Dlatego uznałem, że muszę ci wszystko wyznać.*

*Opisanie nieznaney ci części mojej historii – jak przybyłem do Tarraco z moich rodzinnych stron – zajęło mi ponad miesiąc. Niemniej kiedy skończyłem, okazało się, że to jeszcze nie wszystko. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale w moim życiu zdarzyły się rzeczy, o jakich nie mogę tak po prostu napisać, żeby każdy mógł*

się o nich dowiedzieć. Przez całe życie czułem rosnące niezadowolenie z własnego postępowania w stosunku do tych, którzy mi pomagali i bez wątpienia mogłem nazwać ich moimi przyjaciółmi. Dlatego postanowiłem o wszystkim opowiedzieć. O przyjaźni, mojej niezdolności do bycia lojalnym i strachu przed utratą uzyskanego przeze mnie wśród ludzi szacunku.

Jednak dość już gadania. Nie chcę, żeby moja śmierć cię zasmuciła, i mam nadzieję, że przeczytasz te słowa, kiedy tylko odejdę. Nie mam zamiaru zamęczać cię kolejnym z moich długich przemówień, w których – przyznaję – rzadko mówiłem prawdę. Nadszedł moment, żeby ci ją wyjawić. Zasłużyłaś na to.

Mój dotychczasowy słowotok miał prawdopodobnie na celu oddalić chwilę, kiedy poznasz całą prawdę o mnie. Możesz podzielić się tą wiedzą z kim chcesz. Chociaż zdarzenia, o których opowiem, są tak odległe, iż wątpię, by moje wyznanie na cokolwiek się przydało. Odnoszę nawet wrażenie, jakby to się przydarzyło komuś innemu. Jednak stałaś mi się bliska – wreszcie to powiedziałem – i nie chcę, żeby pamięć o mnie opierała się na kłamstwach.

Z żalem muszę przyznać, że stałem się kimś innym, niż oczekiwałem. Miałem szczęśliwe dzieciństwo, chociaż bałem się jakichkolwiek zmian i nie lubiłem, kiedy wokół mnie panowało zamieszanie. Pomijając towarzystwo matki, wychowywałem się w odosobnieniu. W konsekwencji nie nauczyłem się rozwiązywać problemów, które stawiało przede mną życie.

W tamtym okresie byłem świadkiem pierwszej śmierci. Być może uczeni w prawie znaleźliby odpowiednie słowa, by określić mój stan: nie byłem jej winny, ale przez całe życie tak czułem.

Czy pamiętasz chłopaka przybyłego z Antoniuszem Musą do mojej wioski? Andromikusa? Tego, którego w drodze powrotnej do Tarraco przeszła zabłąkana strzała? To wydarzenie mnie przeraziło. Przyznaję to szczerze, choć napawa mnie strachem brutalność moich słów: mogłem uratować go od śmierci. Przed wyruszeniem w tę długą podróż, kiedy po raz kolejny przytulałem się do matki, oprócz wielu jej rad, o których ci już kiedyś opowiadałem, powiedziała coś jeszcze:

– Przede wszystkim, mój synu, podczas podróży musisz trzymać się z dala od Andromikusa!

Często zastanawiałem się nad tymi słowami. Co chciała mi przez to powiedzieć? Ale nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem. A potem pojawiła się strzała, zabijając Andromikusa, którego zdążyłem polubić, mimo że spędziliśmy ze sobą niewiele czasu. Kiedy ranny spadł z konia, zrozumiałem znaczenie słów matki: chciała, bym to ja stał się najbliższą osobą dla Antoniego Musy, przewodnika we właśnie rozpoczynającej się przygodzie mojego życia. Paradoksalnie medyk nigdy nie stał się dla mnie kimś ważnym. Prędko zapomniał o złożonej obietnicy, czego nie mam mu za złe. Jestem pewien, że moja obecność przypominała mu o Andromikusie i dlatego przekazał mnie pod opiekę nauczycielowi Apollodorosowi

*z Efezu, jednemu z niewielu dobrych ludzi, jakich poznałem.*

*Tak wydarzyła się pierwsza śmierć, za którą czuję się odpowiedzialny. Mógłbym twierdzić, że jestem niewinny, bo przecież nie mogłem podejrzewać, jakie znaczenie kryło się w tych słowach...*

*– Trzymaj się od niego z dala!*

*I tak właśnie zrobiłem. Trzymałem się z daleka przez ponad siedemdziesiąt lat. Nadeszła pora, żeby się do niego zbliżyć.*

*Z pewnością jednak uznasz, że kolejna śmierć, której byłem świadkiem, jest o wiele ważniejsza. Dotknęła mnie w sposób bardziej bezpośredni, przejmujący i bolesny. Moim zdaniem była wynikiem panującej wokół chciwości lub złego osądu ludzkiego szczęścia.*

*Już niewiele osób pamięta o zabójstwie Manniego. Sądzę, że kilku kronikarzy wspomniało o nim w swoich traktatach, ale historia szybko oddala w niepamięć tych, którym zabrakło czasu, aby pozostawić po sobie niezatarty ślad swoich rządów. Ojciec Adriany nie zdążył dokonać czegoś znaczącego, zanim zginął z rąk zdrajcy. Moich rąk.*

*Mógłbym przyznać, że śmierć Andromikusa i wpływ, jaki miało na mnie nowe życie w Tarraco, tak różniącym się od mojej górskiej wioski czy maleńkiej i w tamtych czasach Ausy, całkowicie poprzewracało mi w głowie. Jednak to nieprawda.*

*Zabiłem gubernatora, ponieważ byłem zakochany i chciałem znaleźć szczęście u boku Adriany. Co ja wtedy mogłem wiedzieć o szczęściu?!*

*Nigdy nie poznałem podobnej dziewczyny. Za każdym razem, kiedy nasze spojrzenia się spotykały i patrzyła na mnie rozpromieniona, co odbierałem jako dowód przyjaźni oraz szacunku dla mojego opiekuna, który polecił mnie jako ucznia Apollodorosowi. Jednak to mi nie wystarczało. Zakochałem się w niej bez opamiętania. Byłem nią zafascynowany!*

*Jednocześnie wiedziałem, że nigdy nie będzie moja. Już dawno zrozumiałem, że Adriana oddała serce Sulli, i nie mogłem nic na to poradzić. W swojej ignorancji sądziłem, że na przeszkodzie jej szczęściu stoi jedynie jedna osoba, Manni.*

*Pewnego dnia zostałem wezwany do domu gubernatora, który chciał się dowiedzieć, czy potrafię wyleczyć ropnie, które pojawiły mu się pod paznokciami. W życiu nie widziałem niczego podobnego i mogłem mu jedynie poradzić, żeby przemywał je codziennie naparem z werbeny. Jednak mój pacjent nigdy nie przekonał się o skuteczności leczenia.*

*Przed wyjściem usłyszałem rozmowę, jakiej wolałbym nigdy nie usłyszeć. Manni rozmawiał z zaufanym centurionem, Lucjuszem, na temat uczucia, które łączyło Adrianę i syna pewnego żeglarza. Miał poważne zarzuty wobec Sulli, ale przede wszystkim w stosunku do jego ojca, Kaenosa Likinosa. Uważał go za obcego, człowieka próbującego za wszelką cenę wspiąć się po drabinie społecznej*

rozwijającego się Tarraco. Lucjusz prawie w ogóle się nie odzywał.

Poczułem ogromny ból i w tej samej chwili pomyślałem, że szczęście Adriany było zagrożone, a tylko ja wiedziałem, że gubernator znał jej tajemnicę i, co najgorsze, zamierzał wysłać ją do Rzymu i wydać za mąż za syna jednego z senatorów.

I stało się. Pewnego wieczoru, spacerując samotnie po forum, bez kłopotu zbliżyłem się do Manniego. Najwyraźniej lubił chodzić po mieście pod osłoną ciemności, zastanawiając się, w jaki sposób lepiej spełniać życzenia cesarza.

Z łatwością wbilem mu w pierś nóż, który zabrałem z domu Apollodorosa nie dlatego, iż ta stara i zardzewiała broń wyjątkowo przypadła mi do gustu, ale z racji tego, że bałem się chodzić nieuzbrojony. Szybko zdałem sobie sprawę, że tamtej nocy nie tylko ja wyszedłem do miasta w konkretnym celu.

Przy konającym gubernatorze jako pierwszy zjawił się Sulla i z charakterystyczną dla siebie dobroduszością, która sprowadziła na niego poważne kłopoty, uniósł ciało Manniego niczym najbliższego przyjaciela, nie mając pojęcia, że gubernator zawsze życzył mu jak najgorzej. Niedługo później pojawili się ci nędznicy, trzech typów spod ciemnej gwiazdy, obserwujących z ukrycia, jak żołnierze aresztowali Sullę. Kilka dni później znaleziono ich martwych w portowym magazynie, zanim zdążyli komukolwiek opowiedzieć, co widzieli.

Resztę historii już znasz z naszych wcześniejszych rozmów. Wszyscy sądzili, że zabójcą Manniego był jego syn; zresztą on sam sądził, że to jego najemnicy zadali śmierć gubernatorowi. O losach Lukanosa i senatorów dowiedziałem się o wiele później od żołnierzy, którzy towarzyszyli Wergiliuszowi w drodze do akweduktu, a umierali na moich rękach z zupełnie nieistotnych w tej chwili powodów. Nie wyjawiałem nigdy tych tajemnic ze strachu o własne bezpieczeństwo.

Śmierć gubernatora nie pomogła w powstrzymaniu tych, którzy chcieli zmienić Cessetànię w gaj oliwny. Oktawian, być może przez pamięć swojego przyjaciela Manniego, wydał bardzo surowe restrykcje w tej kwestii, lecz wkrótce nikt ich nie przestrzegał. W Tarraco i na otaczających je obszarach zwiększono produkcję oliwy, chociaż miejscowi rolnicy nie za wiele na tym skorzystali. W tamtych czasach majątki niektórych obywateli miasta zbudowano na nędzy i niewolniczej pracy rzeszy wieśniaków.

Często żałowałem mojej błędnej interpretacji faktów. Moje działania nie były w tym pomocne. Nie znam dalszych losów Sulli i Adriany, którzy wyruszyli w podróż do Rzymu pod ochroną Liwii Druzylli. Nie wiem, czy byli szczęśliwi, czy nadal są, chociaż prawdopodobnie już nie żyją.

Jedynie Apollodoros pozostał w Tarraco. Przekonany o moich możliwościach – zawsze byłem pilny, chociaż brakowało mi talentu – przez pewien czas udzielał mi lekcji, aż w końcu stał się moim bliskim przyjacielem. Stary nauczyciel żył długo, w odróżnieniu od Atiego, który zostawił swój stragan

*z książkami Serwiuszowi umięjącemu zdobyć każdy utwór, o jaki prosił go mistrz z Efezu. Jednak wszyscy już nie żyją.*

*Zostało mi już niewiele czasu, moja kochana. Powinienem napisać, że dopóki Cię nie poznałem, nie wiedziałem, co znaczy miłość ani przyjaźń, chociaż było już na nie za późno, ponieważ moje siły nie nadążały za pragnieniami. Ale jakie ma to teraz znaczenie?*

*Życzę Ci szczęścia...*

*Perthus z Ausy*

Półwysep Iberyjski, cesarz Oktawian August wraz ze swoją małżonką Liwią Druzyllą tworzą z miasta Tarraco (dzisiejszej Tarragony) przyczółek, z którego mają zamiar podbić pozostałą część półwyspu.

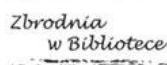
Podczas gdy cesarskie wojska walczą przeciwko ludom północnej Hiszpanii, cesarz rozpoczyna w Tarraco liczne budowy, żeby docelowo stworzyć najwspanialsze miasto w basenie Morza Śródziemnego.

Tarraco jest sławne z panującego w nim spokoju i bezpieczeństwa, dlatego też cesarz postanawia tam osobiście zamieszkać, pozostawiając Rzym pod kontrolą Senatu i swoich zaufanych ludzi.

Jednak pozorny spokój niszczy niespodziewane zabójstwo gubernatora Manniego...

**XULIO RICARDO TRIGO** (Betanzos, A Coruña, 1959) pisarz i poeta piszący w języku hiszpańskim i katalońskim. Opublikował wiersze oraz czternaście książek, m.in. *Després de l'oblit*, *La passió d'Alexandra*, *Els secrets de la reina* czy opublikowane przez Bellonę *Mgły nad portem w Barcelonie*. Jest wielokrotnym laureatem nagród literackich (Premio Ausiás March, Maria Mercè Marçal, Miquel de Palol czy Joanot Martorell). Na co dzień współpracuje z mediami, pracował w takich gazetach jak „El Temps”, „Diari de Barcelona”, „El Periódico de Catalunya”, „La Vanguardia” i „Serra d'Or”. Pisze od 1993 roku, jednocześnie prowadząc dwa blogi: *El violinista celest* oraz *Días flotantes*, o tematyce literackiej i artystycznej. Jest również tłumaczem na kataloński i hiszpański wielu książek autorów galicyjskich i portugalskich. Od 2005 roku mieszka w Tarragonie, w której właśnie dzieje się akcja książki.

Patronat medialny:



[www.ksiegarnia.bellona.pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)